

Szanowni Czytelnicy!

Oto pierwszy numer czasopisma społeczno-kulturalnego „Nowe Zagłębie”. Pomysł jego stworzenia zrodził się wśród członków Związku Zagłębiowskiego w 2004 roku, w sytuacji gdy dwa lata wcześniej zniknął wydawany w latach 1998–2002 tygodnik „Nowe Zagłębie” oraz czasowej nieobecności „Wiadomości Zagłębia”. Długo się zastanawialiśmy, czy w trudnych warunkach rynkowych i przy wszechobecnych tabloidach jest szansa dla takiego pisma. Twierdzącą odpowiedź wynikała z panoramicznej oceny sytuacji społecznej oraz politycznej nie tylko w Polsce, ale i regionie środkowoeuropejskim. Teraz bowiem następuje odtwarzanie zapomnianego świata wartości lokalnych i regionalnych, któremu wtóruje odciążenie napięć z przeszłości, pokonywanie dawnych animozji w wielokulturowych zbiorowościach i tzw. pogranicza. Reaktywowany samorząd terytorialny ożywia wspólnoty stające się samodzielnymi bytami gospodarczymi, społecznymi i kulturalnymi. Odradza i wzmacnia – posługując się jednym z pojęć współczesnej nowomowy – kapitał społeczny, w tym również kulturowy ludzkiej zbiorowości naszego województwa. Owa różnorodność, w stosunku do preferowanej w przeszłości ideologiczno-politycznej jedności, stanowi dzisiaj atut i jeden z istotnych czynników rozwoju województwa śląskiego. Ważnym składnikiem tej mozaiki jest Zagłębie Dąbrowskie, wyrosłe na gruncie rozwoju kultury przemysłowej, która wpięrow stworzyła zagłębiowską inteligencję techniczną, a następnie naukową, kulturalną i – wreszcie – artystyczną.

Dzisiaj w naszym regionie mieszka i tworzy kilkuset pisarzy, poetów, artystów wielu sztuk, uczonych i intelektualistów, animatorów, a także organizatorów życia kulturalnego. W miastach zagłębiowskich zlokalizowane są cztery wydziały dwóch uczelni państwowych oraz sześć wyższych niepaństwowych szkół zawodowych. W większości miast i gmin ukazuje się po kilka gazet lub czasopism wydawanych przez rozmaite instytucje i organizacje. Są zatem przesłanki do stworzenia regionalnego czasopisma zamykającego etap rozproszonego, lecz olbrzymiego w sensie ilościowym i jakościowym dorobku wydawniczego oraz artystyczno-publicystycznego.

Misją naszego czasopisma jest więc prezentacja twórczości i dorobku kulturalnego oraz integracja opiniotwórczych środowisk, liderów społeczności lokalnych czy organizacji pozarządowych oraz kształtowanie poczucia tożsamości i identyfikacji regionalnej wśród wszystkich mieszkańców szeroko rozumianego Zagłębia Dąbrowskiego do których też adresujemy nasze czasopismo: – od Sosnowca i Jaworzna w południowej części regionu, przez powiaty będziński i zawierciański w części centralnej, aż po powiaty olkuski i myszkowski na północy. Zagłębiowski regionalizm na wiele korzeni, dlatego nie jest hermetyczny. Nie jest wrogi sąsiadom, ale przyjazny tym, którzy są Zagłębiakami z urodzenia, lecz i wyboru.

Oddając w ręce Państwa pierwszy numer Nowego Zagłębia, prosimy o krytykę przedstawionej zawartości, aby uzyskać zgodność naszych dążeń z oczekiwaniami Czytelników.

Serdecznie zapraszam do współpracy

Marek Barański

Nowe Zagłębie – czasopismo społeczno-kulturalne. Nakład 1500 egz.

ISSN: 1689-5282 Nr indeksu: 2028

WYDAWCA: ZWIĄZEK ZAGŁĘBIOWSKI

Redaguje zespół. MAREK BARAŃSKI – redaktor naczelny

Projekt winiety, okładki i skład „Zagłębiarki” – Piotr Jakowienko

Robert Pasek – fotoedytor; Tomasz Kowalski – DTP

ADRES REDAKCJI: 41-200 Sosnowiec, ul. Żeromskiego 3/53

Tel./fax 032-263-48-57, e-mail: redakcja.nz@o2.pl, www.nowezaglebie.pl

Druk: P.P.U.H. PROGRESS Sp. z o.o.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Redakcja zastrzega sobie prawo ingerencji w teksty zamówione.

Za treści publikowane w reklamach redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Prenumeratę można zamawiać za pośrednictwem redakcji.

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 0% VAT).

Spis treści

Jaka tożsamość? Jaki region?	2
Mówić po zagłębiowsku, czyli jak... ..	4
Łatwe czasy dla ludzi z pasją	6
Pilicka rzeka mleka	8
Dziewczyny z Zawiercia	10
Rozkminić sanę!	12
Niejawna dwoistość rzeczy... ..	14
Historia podziałów	15
Niezwyczajna granica	17
Kwity na Jagiellona	19
Milowice – IX wieków historii	21
650 lat Będzina	23
Trójkąt Trzech Cesarzy	24
Największa machina świata	27
Milion w rozumie	28
Europproblem.....	29
Zmierzch gigantów	30
Przystanek czy stacja końcowa?	32
Expo Silesia – krajobraz po roku	34
Sportowa pustynia?	36
Magazyn ZAGŁĘBIARKA	37
Wielka Księga	45
Sentymentalnie o Teatrze	49
Nie zmarnowałem tych lat... ..	51
Kręcone nad Przemszą	53
Poezja dobrze służy klimatowi miasta	55
Destruktor symbolu	57
Wiersze	60
Początek (opowiadanie)	61
Zamek wzięty!	64
Tego miasteczka już nie ma... ..	65
Życie artystyczne w Zagłębiu	66
Ratoń pamiętany w Olkuszu	68
Jedyna taka w regionie	69
Rzeźba doskonała, czyli o fotografii W. Wantucha	70
Nasze lotnisko	71
Przerobić Jurę na złotówki	74
Gmina najważniejsza!	75
Wielka historia niewielkiego miasta	76
Sukcesy i gorzkie pigułki	77
Katalog prasy lokalnej	77
Obywatel to przyszłość!	78
Jeszcze słyhać łopot sukman i szcęk kos... ..	79
Kalendarium Imprez Kulturalnych	80



Śląskie. Pozytywna energia



Kazimiera Wódz, Jacek Wódz

Jaka tożsamość?

Zdjęcie: Dariusz Kindler

Zagłębie Dąbrowskie w latach powojennych, ale szczególnie w latach 70., a więc w tzw. epoce Gierka, odgrywało bardzo ważną rolę w województwie katowickim i kraju. Czy więc można się dziwić, że gdy przed dwudziestoma laty rozpoczęła się demokratyzacja życia w Polsce, to dała ona mieszkańcom górnośląskiej części województwa katowickiego możliwość swobodnego formułowania rewindykacji regionalnych? Przynajmniej część wypowiedziana była „przeciw Zagłębiu”. Z drugiej strony owa „zagłębiowska tożsamość” istnieje od dawna i jej ewolucja dziś rzadziej interesuje socjologów. Jednak zainteresowanie tożsamością śląską jest teraz naprawdę duże, pogłębiane w dodatku nowym dyskursem politycznym związanym z rewindykacjami dotyczącymi uznania tzw. narodowości śląskiej o czym zresztą wspomniemy nieco dalej, jednak badań nad Zagłębiem jest mniej. Nie dość tego, są one zwykle tylko elementem badań dotyczących społecznych problemów całego województwa. Wreszcie trzeba zauważyć, że trwające od kilkunastu lat procesy restrukturyzacji gospodarki całego regionu (a więc obejmujące zarówno część górnośląską, jak i zagłębiowską oraz małopolską województwa katowickiego w jego granicach sprzed

reformy roku 1999) w szczególnie bolesny sposób dotknęły właśnie Zagłębie. Fakt ten jest też istotnym elementem, dla którego warto zastanowić się nad ewolucją owej tożsamości zagłębiowskiej. O wiele więcej i o wiele częściej mówi się o problemach Górnego Śląska, jak gdyby samo podniesienie procesów dziejących się w Zagłębiu było w jakimś stopniu dewaloryzujące polityka czy uczonego.

Od wielu lat, nie będąc Zagłębiakami mieszkamy w Sosnowcu, ale pracujemy w Katowicach. Mamy niepowtarzalną szansę codziennych porównań, które dla socjologa są ważnym źródłem wiedzy nawet jeśli nie spełniają twardych pozytywistycznych założeń metodologicznych. A może właśnie dzięki temu, że nie spełniają tych wymagań, mogą kierować się uogólnioną intuicją płynącą z codzienności. By jednak wszystko było jasne, nie będąc historykami nie będziemy się odwoływać do źródeł z przeszłości, budując naszą refleksję na materiale ostatnich kilkunastu lat. U nas, ze względu na brak wolności wypowiedzi o początkach tego procesu mówić można dopiero po przełomie lat 1989/90.

Jednak właśnie fakt, iż poszukiwanie wyrazu swej odmienności stało się elementem procesu odzyskiwania podmiotowości przez całe społeczeństwo w całej Europie Środkowej,

proces wyrażania rewindykacji regionalnych przebiegał dość podobnie. Jednym z ważnych elementów owej konfliktowości stały się relacje między kulturami regionalnymi a dominującymi przez wiele lat (czy raczej dziesięcioleci) kulturami tzw. ogólnonarodowymi czy wręcz narodowymi.

Podobne procesy odnoszą się też do Górnego Śląska, dlatego mówiąc o sprawach ogólnych, przytaczamy przykład, nas tutaj najbardziej interesujący w kontekście nie konfliktu Górny Śląsk – Zagłębie, a w kontekście prawidłowości procesów zachodzących w tzw. postkomunistycznych krajach Europy Środkowej. Problem tożsamości zagłębiowskiej, widziany nie tylko w postaci sporu o stosunek tożsamości zagłębiowskiej, do o wiele dynamiczniej wyrażanej tożsamości śląskiej, ale także w postaci form politycznego wyrazu odmienności kulturowej Zagłębia musiał się stać elementem konfliktu społecznego lat 90. Dodatkowym problemem stał się brak dotychczasowych wzorów wyłaniania liderów opinii. Bo przecież w trakcie nieustrukturyzowanego procesu socjopolitycznego to właśnie aktorzy życia politycznego na poziomie regionalnym często decydują (zazwyczaj zresztą prawem kaduka) o treściach współtworzących tożsamość regionalną w jej wyrazie politycznym.

Znaszych badań empirycznych prowadzonych w dawnym województwie katowickim wyraźnie wynika, że sposobem wyrazu odmienności regionalnej stały się w obszarze Górnego Śląska raczej formy protopartyjne (stowarzyszeń kulturalnych pełniących też rolę partii politycznych), a w obszarze Zagłębia raczej formy tradycyjnych partii politycznych działających w obszarze narodowym. Przy całym skomplikowaniu ewolucji tzw. tożsamości zagłębiowskiej nie wolno zapominać, że jest to egzemplifikacja procesów obserwowanych także w innych częściach Europy Środkowej. To co powoduje jej specyficzny charakter, to z jednej strony odniesienie do dynamiki rozwoju tożsamości śląskiej a z drugiej – procesy restrukturyzacji tradycyj-

Jaki region?

nego przemysłu, przy czym Zagłębie najbardziej na tych procesach ucierpiało.

Przez całe dziesięciolecie powojenne wytwarzany był tylko jeden element tożsamości zagłębiowskiej – był to robotniczy charakter tego subregionu do czego dodawano już wspólny z częścią Śląską górniczo-przemysłowy charakter tradycji robotniczej. Nie miejsce tutaj uzasadniać, dość oczywiste dla czytelników interes władzy, która właśnie ten element tradycji zagłębiowskiej tak mocno podkreślała. Stało się tak, że młode pokolenia mieszkańców Zagłębia, a zwłaszcza migranci z Polski centralnej, których wielu tu przybywało do pracy w kopalniach czy hutach wierzyło głęboko, iż właśnie ów robotniczy charakter jest jedynym wspólnym elementem subregionu, przy czym dodawano do tego tradycje lewicowe, które rozwijały się właśnie dzięki temu robotniczemu środowisku jako swoistą waloryzację. Potwierdzane to było i elementami symbolicznymi (pomniki, nazwy ulic itd.) i typem edukacji, w której np. wydarzenia rewolucyjne roku 1905 były kojarzone właśnie m.in. z Zagłębiem.

Z drugiej strony z pamięci społecznej usuwane były dwie inne cechy, jakże ważne dla zagłębiowskiej tożsamości. Idzie o inteligencki charakter

miast i o znaczenie, jakie dla tożsamości zagłębiowskiej miały wielkie rzesze ludności pochodzenia żydowskiego w nich zamieszkujące. Na początku lat 90., gdy rozpoczęła się dyskusja nad tożsamością zagłębiowską jedynym elementem, o którym mogła być mowa w sposób publiczny był charakter robotniczy subregionu. Nie zapominajmy przy tym, że w sensie symbolicznym, gdy w Zagłębiu zamknięto więcej kopalń niż na Górnym Śląsku, wszystkie media a nawet politycy mówili często o tzw. „kontrakcie dla Górnego Śląska”, choć faktycznie dokument ten nosił nazwę kontraktu dla województwa katowickiego. Sam wyraz „symboliczny” jest tu jednak ważny, bowiem to wskaźnik do jakiego stopnia właśnie ów robotniczy charakter Zagłębia pomału tracił znaczenie w procesie rekonstrukcji tożsamości zagłębiowskiej. Nie wolno też zapominać, że skojarzony

z robotniczym charakterem Zagłębia element lewicowości był z początku lat 90. prezentowany jako swoista „skaza” na charakterze subregionu, a likwidacja pomnika symbolizującego lewicowe tradycje w Sosnowcu miała być symbolicznym dowodem odcięcia się nowych (wówczas pochodzących z ruchu Solidarności) władz Sosnowca od tej tradycji.

Temat inteligencji pojawił się w związku z debatą o roli średniego szkolnictwa, które w wielu miastach zagłębiowskich, przede wszystkim w Sosnowcu, stało na bardzo wysokim poziomie. Ponadto – nie da się dzisiaj rzetelnie zbudować tożsamości zagłębiowskiej bez bardzo, ale to bardzo rzetelnego zbadania losów ludności pochodzenia żydowskiego mieszkającej w Zagłębiu. Na ten aspekt tożsamości kulturowej Zagłębia zwracano często uwagę podczas I Kongresu Kultury Zagłębia (jesień 2003).

Wróćmy jednak do owego charakteru robotniczego – tego jedynego elementu, który z socjologicznego punktu widzenia był w latach powojennych i jest nadal bardzo żywy w tworzeniu obrazu własnego mieszkańców Zagłębia. Otóż jak to wielokrotnie wspomniano wyżej, ten charakter robotniczy podkreślany był przez władze polityczne PRL, ale dotyczył konkretnych ludzi, konkret-

nych grup społecznych, konkretnych miast, konkretnych kopalń, hut czy innych zakładów przemysłowych. Otóż procesy tzw. restrukturyzacji przemysłu dotknęły właśnie konkretnych ludzi, konkretne grupy, konkretne kopalnie czy huty, wreszcie konkretne miasta. W Zagłębiu najpierw, z początkiem lat 90., starano się w sensie symbolicznym poniżyć tę tradycję robotniczą zagłębiowskiej części województwa katowickiego (ta prawdziwa, dobra tradycja górnicza miała być przecież tylko na Górnym Śląsku – patrz poprzednie rozważania o rewindykacjach śląskich), a później realny los robotników zagłębiowskich był wyraźnie gorszy od losu robotniczego w śląskiej części województwa.

Istotnym elementem w naturalny sposób różnicującym jest stosunek do gwary jako wyznacznika tożsamości regionalnej. Jak wynika z badań, około 1/3 badanych posługuje się gwarą, przy czym – co oczywiste – tak odpowiadają przede wszystkim Ślązacy. Tylko minimalny procent Zagłębiaków używa jakiegokolwiek gwary, więcej nawet – nie ma w ogóle skojarzenia przynależności regionalnej z gwarą.

Nie da się odtworzyć prawdziwego znaczenia trzech elementów, które historycznie warunkowały tożsamość zagłębiowską, tj. elementu robotniczego, inteligenckiego i zbiorowości pochodzenia żydowskiego. To jest zadanie dla historyków, zresztą zadanie pilne i ważne. Ale socjolog nie może liczyć na to, że te trzy elementy odżyją jako baza dla odradzającej się tożsamości zagłębiowskiej.

Wreszcie trzeba jasno zauważyć, że to właśnie w Zagłębiu restrukturyzacja przemysłu dała szczególnie bolesne skutki społeczne, co summa summarum spowodowało, iż zwłaszcza górnictwo przestało być elementem współtworzącym obraz Zagłębia. W tej sytuacji należałoby się zastanowić nad tym, w jaki sposób działacze zagłębiowscy mogą dzisiaj stymulować odradzanie się czy też budowanie nowej formy tożsamości zagłębiowskiej. Oczywiście nadal należy się starać o dowartościowanie całej przeszłości Zagłębia, trzeba jednak czynić to z pełną świadomością, iż to nie wystarczy do tego, by nowoczesna tożsamość regionalna zaistniała w tym miejscu. Do tego trzeba działań nowoczesnych.

(cdn)



Zdj. Gabriela Kolano

Mówić po zagłębiowsku, czyli jak...

Aldona Skudrzyk

Społeczno-polityczny i kulturalny przełom roku 1989 w Polsce, dostrzegany także przez językoznawców, ciągle jeszcze nie został wykorzystany dla opisu przeobrażeń językowych. Demokracja dopuściła do życia publicznego, w tym także do językowych kontaktów publicznych, ludzi w sposób formalny nieprzygotowanych do takiej funkcji. Zachowując tożsamość, wnoszą oni do życia publicznego swój język i potoczne nawyki komunikacyjne. W ten sposób język kontaktów codziennych ze składnikami gwarowymi, regionalnymi, socjolektalnymi wchodzi do kontaktów ogólnonarodowych i jest w nich do pewnego stopnia sankcjonowany. Takie procesy stały się powodem przyjęcia przez językoznawców normatywistów podwójnej normy językowej: wzorcowej dla sytuacji oficjalnych oraz użytkowej dla komunikacji codziennej, potocznej, mniej oficjalnej.

Wten sposób zjawiskiem, które się właśnie po owym przełomie nasila, jest tzw. lokalność, świadomość własnej kulturowej odrębności. Zaskakująco silnie wpływa na takie ożywienie poczucia lokalnej tożsamości proces globalizacji, albowiem nasila on zmierzanie lokalnych społeczności do korzeni własnej kultury, do swej ojczyzny lokalnej. W ten sposób mogą one (oraz ich członkowie!) uratować swoją indywidualność, odrębność własnej kultury i zdolność do życia we wspólnocie.

Tożsamość kulturowa to trwałe związki pewnej grupy ludzi i pojedynczych jej członków z określonym zespołem poglądów, idei, przekonań, z konkret-

nymi zwyczajami i obyczajami, z danym systemem wartości i norm. Ten rodzaj identyfikacji powinien umacniać jedność grupy i świadomość jej odrębności. Szczególny element identyfikacji stanowi właśnie język, dziś coraz częściej lokalne odmiany polskiego języka ogólnonarodowego.

Zagłębie jest obszarem zurbanizowanym. Mówiąc o jego języku, mówimy właściwie o języku miejskim. Rozwój języka miejskiego odbywa się między wyraźnym (czasem – w niektórych regionach – ostantacyjnym) dążeniem do ujawniania regionalnej (etnicznej) tożsamości z jednej strony a fortunnym funkcjonowaniem w komunikacji ogólnej z drugiej.

Jakość języka miejskiego zależy od wielu czynników zewnętrznych. Miasta wszak istotnie się różnią, wielkością, znaczeniem, rodzajem zabudowy, strukturą społeczną mieszkańców, proporcjami ludności autochtonicznej do przybyszów. W obrębie miast wyróżnia się centrum i peryferie, stare i nowe dzielnice. Uwzględnić by trzeba i pochodzenie społeczne mieszkańców, i ich wiek, wykształcenie, miejsce pracy i stanowisko, miejsce zamieszkania, typ kontaktu z rozmówcą. A i tak wszystkie te ważne czynniki socjolingwistyczne dziś nie stanowią jednoznacznych determinant wyboru którejś z odmian (języka ogólnego czy języka mieszanego). Podstawową cechą wszystkich współczesnych języków miejskich jest ich wariantywność – podkreślmy: wzmoczona wariantywność i labilność normy językowej. A przecież można wskazać pewne cechy językowe

i pewne procesy komunikacyjne, które mowę Zagłębiaków mogą charakteryzować.

Nie jest Zagłębie obszarem wydziałanym w nauce o dialektach i gwarach (dialektologii) jako teren językowo specyficzny. To raczej nazwa (z dookreśleniem – Dąbrowskie), częstsza

w opracowaniach historycznych, etnograficznych, czy wreszcie ustaleniach administracyjno-politycznych. Nie wdając się w zawilochi historyczne, przyjmijmy że mianem Zagłębia Dąbrowskiego obejmuje się zazwyczaj powiaty będziński, olkuski i zawierciański.

Największym miastem regionu jest Sosnowiec. Miasto jakże często obecne w popularnych na Śląsku dowcipach. Rozważania na temat historycznego podłoża języka Zagłębia zacznijmy od bardzo popularnego dowcipu: „Mały Jaś przychodzi do sklepu i prosi o trzy krepki i dwa pączki. Na zdziwione spojrzenie ekspedientki (wszak chodzi o ten sam rodzaj słodkiego pieczywa) odpowiada: – Krepki są dla mamy, a pączki dla taty, bo on jest z Sosnowca”. Ten drobny przykład słownikowych odrębności niech będzie punktem wyjścia do szerszych nieco obserwacji.

Opozycja słownikowa dotyczyła wyrazów: ogólnopolskiego i gwarowego (śląskiego). Uwidacznia się tu podstawowa cecha języka w Zagłębiu – słabo już dziś widoczne podłoże historyczne, dialektalne. Język w Zagłębiu jest bliski jego postaci ogólnopolskiej. W niedawnym numerze miesięcznika „Śląsk” pisze Zbigniew Kadłubek: „...Lubię dykcję Zagłębiaków, lubię gdy wypowiadają w jasny sposób polskie samogłoski, lubię gdy mówią po polsku, bardzo lubię ich słuchać” (Z. Kadłubek: *Gołębie a Zagłębie*. Śląsk, 2007, nr 1, s. 32–34).

Nie jest – powtórzmy – Zagłębie obszarem wyodrębnianym przez dialektologów jako obszar o swoistych cechach językowych. Jest ono bowiem częścią

dialektu ludowego małopolskiego, z typowymi dla niego cechami językowymi. Co to znaczy dla opisu współczesnej mowy w Zagłębiu? Najistotniejsze dla tego opisu będzie zestawienie cech dialektalnych, stanowiących odległe, historyczne podłoże gwarowe obszaru. Skoro jest to ledwie podłoże języków miejskich, znaczy to, że tylko czasami, i tylko niektóre z tych cech będą w języku jeszcze obecne. Na terytorium Polski występuje dziś pięć głównych dialektów, które odpowiadają przedpiastowskiemu, przedhistorycznym podziałom na plemiona Wiślan, Polan, Mazowszan, Słęzan, Pomorzan.

Mówimy więc o dialektach: małopolskim, wielkopolskim, mazowieckim, śląskim i kaszubskim (Ustawa z dnia 6 stycznia 2005 r. o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym przyznała mowie Kaszubów status języka regionalnego). Poza tymi rdzennymi obszarami istnieją jeszcze na Ziemiach Zachodnich i Północnych tzw. nowe dialekty mieszane, których powstanie związane jest z przesiedlaniem, repatriacją i migracją ludności po drugiej wojnie światowej.

Cechami językowymi, które pozwalają na odróżnienie pięciu dialektów,

są dwie cechy na poziomie fonetycznym (brzmieniowym): fonetyka międzywyrazowa oraz mazurzenie. Fonetyka międzywyrazowa dotyczy upodobnienia pod względem dźwięczności na granicy wyrazów. Może być ona dwójaka: udźwięczniająca i ubezdźwięczniająca.

Udźwięcznianie głosek na granicy wyrazu przed samogłoskami oraz niektórymi spółgłoskami (nazywa się je spółotwartymi albo sonornymi): *j, m, n, r, l, ł*, a więc wymowa typu *kfiad rużowy* [kwiat różowy], *pieńdź osób* [pięć osób] charakteryzuje tzw. wymowę krakowską i występuje w dialekcie małopolskim, śląskim i wielkopolskim. Wymowa nieudźwięczniająca (warszawska) charakterystyczna jest dla dialektu mazowieckiego i kaszubskiego. Podane wyżej wyrażenia wymawia się tam więc: *kfiat rużowy*, *pieńć osób*. Ta cecha fonetyczna nie ma charakteru wyłącznie dialektalnego (gwarowego), ponieważ występuje też w mowie osób wykształconych. Jest więc cechą regionalną (regionalizmem).

Najbardziej wyrazistą cechą dialektalną jest mazurzenie. Jest to zjawisko, które polega na uproszczeniu systemu spółgłoskowego przez zastąpienie szeregu spółgłosek *sz, ż, cz, dż* spółgłoskami *s, z, c, dz*. Tak więc w gwarach mazurzących usłyszymy: *solik, zaba, cysty,*

jezdze zamiast: *szalik, żaba, czysty, jeżdżę*. Mazurzy znaczna część gwar polskich (dialekt małopolski, mazowiecki, częściowo śląski – tylko Śląsk Opolski). Z drugiej strony jest to ta cecha gwarowa, której użytkownicy najszybciej chcą się pozbyć ze względu na jej wyrazistość na tle języka ogólnego.

Istnieją cechy swoiste dla każdego z dialektów, ale są też takie, których zasięg jest szerszy. Dość powszechną cechą gwarową jest tzw. labializacja, czyli poprzedzanie samogłosek *o* i *u* spółgłoską *ł*, tak jak w przykładach: *łojciec, łokno, łodejdz, łósmę, łucho*. Występuje ona głównie na południu Polski, w dialekcie śląskim, małopolskim i wielkopolskim. Częstym zjawiskiem jest też inna niż w języku ogólnym wymowa niektórych samogłosek: w miejsce *a* usłyszymy *o* (*ptok, corny, mosz* = *ptak, czarny, masz*), w miejsce *e* wymawiane jest *i* lub *y* (*syr, zygor, mliko, chlib* = *ser, zegar, mleko, chleb*), a zamiast *o* wymawia się *u* (*dum* = *dom*).

Ta najogólniejsza językowa charakterystyka ludowego podłoża współczesnej zróżnicowanej regionalnie polszczyzny niech będzie wstępem do przyszłych, bardziej szczegółowych rozważań językowych, ale także do naszych własnych poszukiwań śladów przeszłości w najbliższym nam języku codziennym. •



Łatwe czasy dla ludzi z pasją

Karolina
Jakoweńko

Wybrałam formę wywiadu z samą sobą, bo najlepiej jest napisać co chcę, właśnie w takiej formie. U W wywiadzie występują: A – Karolina pytająca; B – Karolina odpowiadająca.

A: W jakich czasach żyjemy?

B: W łatwych.

Dlaczego?

Wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Łatwo znaleźć pracę, przemieszczać się między kontynentami, chodzić po ulicach, nie obawiając się praktycznie niczego, możesz być sobą, a to w życiu najważniejsze.

Co to jest inicjatywa Brama Cukermana?

To poważnie przemyślana inicjatywa. Rozłożona w czasie przyniesie konkretne efekty.

Wyjaśnij nazwę. Co się pod nią kryje?

Kilka młodych osób, które chcą działać na bardzo konkretnym polu i w konkretnych sprawach. To przede wszystkim ludzie, chociaż nazwa pochodzi od miejsca, które wkrótce będzie znane nie tylko w Zagłębiu i na Śląsku. Taki przynajmniej mamy cel... między innymi.

Cóż to za miejsce?

To pożydowski Dom Modlitwy w tzw. Bramie Cukermana od nazwiska byłego właściciela kamienicy, Nuchima Cukermana.

Chyba nie każdy może rezydować w pożydowskim Domu Modlitwy? Jak dobrze rozumiem, tym miejscem dysponujecie?

Kamienica w części należy do pana Bogusława Balińskiego. Jest on właścicielem dawnego Domu Modlitwy. Przed wojną większość budynków w Będzinie należała do Żydów, którzy stanowili ponad połowę ludności miasta, stąd Dom Modlitwy. Organizowali sobie prywatne bożnice, synagoga była w mieście jedna, nie mieściła wszystkich. Obecnie wynajmuję to mieszkanie.

W porządku, powiedz jednak, jak to się stało, że jesteś najemcą tego wyjątkowego obiektu?

Wcześniej mieszkanie wynajmował Urząd Miasta wraz z Gminą Żydowską w Katowicach.

Nie będę dementować plotek i różnych publikacji, dlaczego już tak nie jest, ale też nie będę ich powielać, można o tym poczytać w internecie. Właściwie Urząd Miasta przyczynił się do pokazania tego miejsca światu. Niestety, tylko na chwilę i na małą skalę. Poddali się w trakcie, zabrakło konsekwencji. Gmina Żydowska, wiedząc o jego istnieniu, nie interesuje się tym miejscem zupełnie!!!! Dla mnie to istna paranoja! Ja o mieszkaniu dowiedziałam się od jednego z urzędników i wynajęłam je, żeby uratować... Po prostu tak należało.

Czyli to nie była fanaberia? Nie szukałaś tego miejsca, ale wiedziałaś o nim wcześniej?

Wiedziałam z prasy, cieszyłam się, że odkrywane są tak piękne miejsca, cenne kulturowo i historycznie. Kocham sztukę, a w domu modlitwy jest kawał sztuki, może nie najwyższych lotów, ale zawsze... Sztuka, kultura, dziedzictwo. Tymi kategoriami myślałam długo o tym miejscu. Nie mogłam dopuścić, żeby zostało zapomniane, wręcz zniszczone. Tak właśnie miało się stać i gdyby Inicjatywa Brama Cukermana nie zawiązała się, polichromie zostałyby zniszczone.

Powiedziałaś, że myślałaś – to znaczy że teraz myślisz już inaczej?

To jest tak: jak jesteś bardziej wrażliwa niż reszta, wydaje ci się że do trzy-

Karolina Jakoweńko (ur. 1980), ukończyła kulturoznawstwo na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Jest świeżo upieczonym przewodnikiem terenowym i miejskim po województwie śląskim. Współzałożycielka Inicjatywy Brama Cukermana.

Inicjatywa Brama Cukermana – projekt młodych ludzi, który powstał w celu renowacji i opieki nad dawnym, przedwojennym, żydowskim Domem Modlitwy w Będzinie. Dom Modlitwy znajduje się przy Al. Kołłątaja 24/28. Inicjatywa Brama Cukermana działa od sierpnia 2008 roku.

dziestki coś przełomowego wydarzy się w życiu. To piękne złudzenie, które rzadko się spełnia. Zawsze chciałam obcować ze sztuką i kulturą i być może dlatego dotarłam do Bramy Cukermana. Być może dlatego walczyłam o to miejsce. Ono pozwala mi od jakiegoś czasu inaczej żyć. Inaczej patrzeć na wiele spraw. Na nie właśnie czekałam, a być może ono czekało na mnie. Odnaleźliśmy się. Nawet jeśli to ma trwać chwilę. Dom Modlitwy na zawsze wpisany będzie w mój życiorys, zajmuje w nim szczególne miejsce. Wiem, że takie działania są potrzebne, i że ludzie doceniają taką pracę. Chciałabym, żeby to miejsce służyło Polakom, turystom ze świata, jako miejsce kontemplacji i nauki, tak jak kiedyś podobnym celom służyło Żydom. Nie zapominam nigdy o tragedii, jaka ich spotkała, z tym większym szacunkiem odnoszę się do spuścizny po ich kulturze.

Wytlumacz mi, czy ty w jakiś sposób jesteś związana z kulturą żydowską, czy po prostu cię fascynuje?

Jestem Polką na wskroś. Jestem też rodowitą będzinianką. Jestem kulturoznawcą i jestem za równouprawnieniem kultur i nacji. Domem modlitwy zaopiekowałam się, bo to również dziedzictwo kulturowe Polaków. Na ścianach są polichromie z lat 30. XX wieku. Można by powiedzieć standardowe, podobne do tych w innych prywatnych domach modlitwy. Poznaję ich symbolikę, potrafię przetłumaczyć z hebrajskiego niektóre zachowane w Domu inskrypcje. Znam też historię miejsca, na ile to możliwe...

Mówiłaś o kilku młodych osobach...

Przecież sama nie dałabym rady! Wszyscy tworzymy Inicjatywę Brama Cukermana. Obecnie jest nas piątka: Grzegorz Onyszko – historyk, Krzychu Michalski – fotografik oraz Kuba Lubomski najmłodszy fascynat i poszukiwacz skarbów przeszłości, mój mąż Piotr Jakoweńko i ja. Projekt cały czas się rozwija, zapraszamy kolejnych członków. Jesteśmy mocno zaangażowani i możemy na sobie polegać.

Jak to się stało, że inni się tym problemem zainteresowali, bo jak rozumiem – z mężem działaliście od początku, a reszta?

Faktycznie, to właściwie mąż bardzo walczył o to miejsce. Na początku działałam ze znajomym, Pawłem Oczkowskim, to z nim wynajęłam Dom Modlitwy. Niestety nasze drogi rozeszły się. Grzegorz i Krzychu są

właściwie od początku całej akcji. Po prostu weszli i zostali. Pokochali to miejsce.

Powiedziałas „mąż walczył”?

Uwierz, nie było łatwo. Nie od razu mogliśmy wynająć Dom Modlitwy. Właściciel był bardzo zrażony do jakiegokolwiek aktywności wokół miejsca, chciał, aby było tam zwyczajne mieszkanie. Interweniowaliśmy i udało się. Zawiadomiliśmy wojewódzkiego konserwatora zabytków i tak się zaczęło nasze działanie. To była jednak długa wyboista droga, czasami poddawałam się... serio.

Co przekonało właściciela do Was?

Myślę, że nasza szczerść. Poza tym wyczuł, że mamy dobre chęci i że może wreszcie jesteśmy szansą dla tego miejsca.

I zgodził się na Wasze plany?

Wszystkie decyzje podejmujemy z synem pana Balińskiego. On nadzoruje, można by powiedzieć, współpracę z nami.

Wspomniałaś o fundacji. Dlaczego właśnie takie rozwiązanie wybraliście dla swojej działalności?

Fundacja daje wiele możliwości, m.in. pozyskiwania pieniędzy. Będziemy ich potrzebować. To niemałe pieniądze!

Poza tym w statucie mamy wiele innych form działalności...

A jak z utrzymaniem tego miejsca, przecież płacicie za wynajem?

Na początku bezpowrotnie włożyliśmy trochę prywatnej kasy. Teraz wspomaga nas Starostwo Powiatowe w Będzinie.

Może o innych projektach? Ruszyła Hurtownia Manufaktury... Na czym polega?

Zamysłem jest stworzenie na terenie Zagłębia szlaku nieistniejących już przedsiębiorstw. Realizujemy to wspólnie ze Starostwem Powiatowym.

Zaczął się tak: Grzesiu Onyszko, historyk, uwielbia archiwę, sta-

re dokumenty i mapy. Pewnego razu przyniósł piękną książkę, dzisiaj powieździelibyśmy, telefoniczną, z ewidencją zawodów, sklepów, manufaktur z lat międzywojennych, z województwa kieleckiego, małopolskiego i części śląskiego. Absolutnie zachwyciłam się tą publikacją. Typografią, układem graficznym ogłoszeń, a nade wszystko historią. Odszukaliśmy w Będzinie przedsiębiorstwa, które znajdowały się w owym czasie w mieście. Grzegorz dopasował kamienice do ogłoszeń, a potem zaraziliśmy projektem Starostwo.



I tak powstał nasz projekt Hurtownia Manufaktury.

Na czym dokładnie to polega? Znakujecie kamienice?

Tak, to są być szyldy na nich zawieszane, stylizowane na tamte czasy, mapa zawierająca wszystkie informacje, do których dotarliśmy (należy zaznaczyć, że wielu kamienic już nie ma) oraz strona www.hurtowniamanufaktury.pl. Projekt będzie kontynuowany w Sosnowcu. Jest zainteresowanie. Chcemy pobudzić mieszkańców do refleksji nad historią miasta, a także ujawniać zapomnianą wielokulturowość regionu.

Inne projekty?

Priorytetem jest renowacja Domu

Modlitwy. Ale mamy kilka pomysłów na publikację, festiwal artystyczny, szlaki turystyczne. Zależy nam na ukazaniu historii regionu z jego wielokulturowością. Tego, o czym nie wszyscy wiedzą i o czym nie pamiętają.

Mam nadzieję, że Wam się uda... Masz ambitne plany – czy aby realne?

Zawsze mówię, że lepiej gonić lepszych od siebie, niż być najlepszą wśród słabszych. Dlatego nie boję się wyzwań. Nie wiem, czy wszystko się uda. Niektórzy twierdzą, że w Będzinie to niemożliwe, bo ma złą aurę. Nie zgadzam się. Widzę tu malowniczą starówkę, która tylko czeka na rewitalizację!

A nie sądzisz, że odczuwalne są w Będzinie jakieś braki, bo jakoś tutaj dziwnie... Z jednej strony pięknie, malowniczo, z drugiej – bardzo smutno?

Pewnie czujesz to samo, co większość zwiedzających: żydowski klimat, a Żydów brak. Codziennie myślę o wielkiej krzywdzie, jaka spotkała mieszkańców tego miasta, nie tylko Żydów! To się czuje, ale trzeba odnaleźć w tym równowagę, przypominać i szanować, co się zachowało. To jest wyjątkowe miasto, z malowniczym

wzgórzem zamkowym, z niezwykłą architekturą, przyjemnym centrum. Pokuszę się o stwierdzenie, że łąda moment miasto doczeka się aktywności zarówno turystycznej, jak i ze strony mieszkańców. Potencjał trzeba rozbudzać...

Na zakończenie, Karolino, ponawiam pytanie: w jakich czasach żyjemy?

Podtrzymuję, że w łatwych i jeszcze, że w przyjemnych. Bo można prywatnie robić niesamowite rzeczy i nawet jeśli komuś się to nie podoba, można to robić dalej. Nie trzeba się kryć i uciekać. A więc w czasach wolności... Doceniam to. Nawet jeśli to odbywa się w Będzinie.

Lubi wyzwania. Mając 32 lata, objął kierownictwo nad niewielką Spółdzielnią Mleczarską w Pilicy. Kto stoi w miejscu, ten się cofa – maksyma, która w przypadku tego człowieka urosła do miana życiowego motta. Jego działalność od lat była wzorem regionalnej inicjatywy, utrwalającej tożsamościowy wizerunek Spółdzielni na historycznym tle Zagłębia.

W 1964 roku na stanowisko kierownika OSM w Pilicy rekomendowano Stanisława Gardelę, syna rolnika, mieszkańca wsi Lgota Wolbromska, do tej pory przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMW w Olkuszu. Pomimo poparcia ze strony Rady Nadzorczej, jego kandydatura wzbudzała wątpliwości. – Byłem wtedy młodym spółdzielcą, nie znałem zbyt dobrze tematu – przyznaje dziś Gardela. – W niedługim

W maju 1965 roku Stanisław Gardela został wybrany radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie i wtedy – na jego prośbę w kwietniu 1967 roku odbyło się w Pilicy wyjazdowe posiedzenie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, podczas której projekt rozwoju Spółdzielni, jak również regionu, dostał zielone światło. Zaplanowano wtedy m.in. budowę bloków mieszkalnych; drogi przez Złożonec do Olkusza oraz otwarcie filii zakładu „Wierzbka” w Sławniowie.

Druga połowa lat sześćdziesiątych Dub. wieku to dynamiczny rozwój Spółdzielni. Zarząd wykupywał działki, sporządzał dokumentacje oraz zlecał budowę terenowych zlewni. Także sami mieszkańcy, w ramach czynu społecznego, wznosili pomieszczenia przyszłych magazynów i warsztatów. – W tym okresie atmosfera w Spółdzielni była budująca. Ludzie mieli zapał do

i biurowca oraz 32 zlewni terenowych, spadło tempo inwestycji. Prezes Gardela jednak szybko zmobilizował siły, aby przystąpić razem z Zarządem i pracownikami Spółdzielni do budowy bloków mieszkalnych, filii zakładu Osprzętu Elektroinstalacyjnego Wierzbka w Sławniowie oraz przygotowania dokumentacji budowy wodociągów wiejskich w Szyszach, Dzwonowicach, Cisowej i Sierbowicach.

W 1975 roku nadzór nad OSM przejął Wojewódzki Związek Spółdzielni Mleczarskich w Katowicach (z siedzibą w Chorzowie-Batorym). W zasięgu pilickiej Spółdzielni znalazło się zaopatrzenie całej gminy olkuskiej oraz (częściowo) Bukowna. Odtąd zakład stał się dużym organizmem, zarówno w sferze skupu, jak i zaopatrzenia. Na początku nowej dekady utrzymanie stabilizacji stało się jednak nie lada wyzwaniem. Mimo wszystko nie zaprzestano pracy.

Około 60% skupionego mleka kierowano na Śląsk, który zamawiał mleko najwyższej jakości. Reforma gospodarcza drugiej połowy lat 80. przyniosła konkurencję, głównie w postaci mleczarskich spółdzielni z Miechowa czy ze Skąły. Ale równo-

cześnie o dostawy zaczęli się ubiegać odbiorcy z Ogródzieńca, Zawiercia, Łaz czy Poręby. Wtedy też zakupiono m.in. pasteryzator i homogenizator do śmietany; wirówkę, wanny twarożkarskie oraz milkotestery – służące elektronicznemu pomiarowi poziomu tłuszczu w mleku. Należy podkreślić, iż w 1988 roku do mleczarni zawitała nowoczesność na najwyższym poziomie. Zainstalowano bowiem pierwszy komputer sterujący procesami technologicznymi, dzięki któremu nastąpiła znacząca poprawa jakości produkowanych wyrobów, jak również zmniejszył się wysiłek fizyczny pracowników.

Mleczarnia wyszła obronną ręką z polityczno-ustrojowych transformacji początku lat dziewięćdziesiątych. Stała się samodzielną jednostką, co wymuszało na niej intensyfikację przedsiębiorczości, zaangażowania oraz inicjatywy. – W zmieniających się warunkach poświęcaliśmy szczególną uwagę wzrostowi produkcji i pełnemu wykorzystaniu surowca oraz właściwej obsłudze dostawców – mówi Gardela. – Konsekwentnie podtrzymywaliśmy ową tendencję, wychodząc z założenia, że im lepsza będzie jakość mleka, tym

Przemysław Pieniążek

Pilicka rzeka mleka

jednak czasie szybko się przekwalifikowałem i zabrałem ostro do pracy. Zaraz po przyjściu zaangażowałem się, aby szybko wybudować nowy budynek produkcyjny.

P przed rozpoczęciem pracy S. Gardela został skierowany do innych spółdzielni oraz zakładów, gdzie zgłębiał tajniki pracy w przemyśle mleczarskim. Obcując z technologią i warunkami pracy w Skale, Miechowie oraz Nowej Hucie Gardela pojął, że sytuacja Pilicy jest opłakana. Podczas gdy inne spółdzielnie dysponowały nowoczesnym wówczas systemem chłodzenia amoniakalnego, w Pilicy powszechnie stosowano zwykły lód. Szczególnie dokuczliwa stała się sprawa magazynowania mleka ze skupu prowadzonego w prymitywnych warunkach. Na 47 wiosek przypadały 84 punkty zorganizowane najczęściej w sieniach, zapuszczonych komórkach czy szopach, zaś mleko (nie chłodzone!) przechowywano w konwiach. Jedynie w Kleszczowie, Woli Libertowskiej oraz w Kidowie mleko odbierano w stosownych do tego pomieszczeniach. Pilną potrzebą stała się też budowa kotłowni, gdyż jeden kocioł (z wycofanej lokomotywy) już nie wystarczał.

pracy i nadzieję na lepszą przyszłość. Zdawałem sobie sprawę, że aby być bardziej pożytecznym dla zakładu i zawodowego środowiska, muszę podnieść kwalifikacje. Dlatego w 1968 podjąłem zaocznie studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Skutecznie, bo po pięciu latach uzyskałem dyplom magisterski.

Budowa nowego zakładu mleczarskiego ruszyła w 1968 roku, a 2 grudnia 1972 nastąpiło jego przekazanie do użytku (zdolność przerobowa: 20 tysięcy litrów mleka dziennie). Jeszcze w trakcie budowy mleczarni zdecydowano o powstaniu zlewni na terenie Pilicy, Dobrakowa, Wierzbicy, Jeziorowic, Żarnowca, Woli Libertowskiej, Chliny czy w Rodakach.

W tym samym mniej więcej czasie wybudowano czynną do dzisiaj oczyszczalnię. Wkrótce też od OSM w Zawierciu przejęto sieć skupu w wioskach znajdujących się na terenie powiatu olkuskiego. Dotyczyło to głównie wsi Sierbowice, Dzwono-Sierbowice czy Solca.

Po oddaniu do użytku zakładu produkcyjnego, zlewni, oczyszczalni

wyższa będzie jakość towarów kierowanych do sprzedaży. Podpowiadaliśmy więc rolnikom, jak uzyskać najlepsze gatunkowe mleko np. poprzez chłodzenie zaraz po udoju. Mleczne przetwory codziennie dostarczano do ponad 300 punktów (sklepów, szkół, internatów, placówek gastronomicznych) na terenie Olkusza, Wolbromia, Kluczy, Żarnowca, Huty Katowice, także Zawiercia i Sosnowca.

W 1990 roku pojawiły się poważne trudności ze zbytem, albowiem aż o 45% spadło zapotrzebowanie. Spadła też produkcja przemysłowa i rolnicza, szczególnie zwierzęca. W połowie roku wybudowano kazeiniarnię, pozwalającą na częściowe zagospodarowanie nadwyżek mleka. Niewątpliwie najtrudniejsze były pierwsze miesiące roku, ze względu na rosnący import masła. Pomimo wzrostu ogólnych kosztów utrzymania, spółdzielnia nie rezygnowała z produkcji materiałów nieopłacalnych takich jak masło, mleko przerzutowe czy śmietana wysokoprocentowa, które sprzedawano poniżej faktycznych kosztów wytworzenia. Aby przetrwać i móc dalej się rozwijać, spółdzielnia inwestowała, kupowała nowoczesne urządzenia produkcyjne, jak również wznosiła kolejne obiekty (punkty skupu w Kleszczowie i Łobzowie). Szalejące bezrobocie roku 1995 zmobilizowało Stanisława Gardelę do podjęcia działań prewencyjnych. Pomimo znacznego rozwoju technologicznego, Zarząd starał się nie zwalniać pracowników, tworząc pozaprodukcyjne miejsca pracy.

1996 był pierwszym rokiem, gdy skup mleka wzrósł w stosunku do poprzedniego o około 400 tysięcy litrów. Ponadto Spółdzielnia, działając na terenie 5 gmin (Pilica, Żarnowiec, Wolbrom, Klucze, Ogrodzieniec) udzieliła gospodarstwom wsparcia finansowego na kwotę 5 miliardów (ówczesnych) złotych. W Pilicy zrozumiano, że szansę mają tylko mocne zakłady, dlatego robiono wszystko, by przewyciężyć czynniki hamujące rozwój spółdzielni: niski skup mleka, rozdrobnienie producentów, trudności ze zbytem. Zarząd przewidywał, że wiele małych gospodarstw nie wytrzyma tempa przemian.

Dzięki premiom rósł procentowy udział mleka najwyższej jakości – objaśnia prezes Gardela. – Lepsza jakość surowca przekładała się na zmianę jakości gotowych wyrobów, dzięki czemu pojawili się nowi odbiorcy. W 2002 roku Spółdzielnia zarobiła 25 mln 230 tysięcy zł na sprze-

daży własnych produktów oraz towarów spoza branży mleczarskiej.

Okręgową Spółdzielnię Mleczarską w Pilicy jest zdobywczynią prestiżowego tytułu „Tygrysa Gospodarki” – przyznawanego przez krakowski dwutygodnik „Wieści” firmom z polskim kapitałem, które wyróżniają się bardzo dobrymi wynikami ekonomicznymi oraz troską o pracowników; jak również członkinią Klubu Gazel Biznesu magazynu „Puls Biznesu” (ze względu na niekwestionowaną dynamikę rozwoju). Dzisiaj wchodzi w skład koncernu „Mlekovita”.

Stanisław Gardela jest bez wątpienia postacią niezwykle zasłużoną. Podejmując szereg inicjatyw społecznych i gospodarczych, przyczynił się w dużym stopniu do zmiany jakości życia mieszkańców w swoim regionie. Z jego inicjatywy powstały szkoły w Wierchowisku, Dłużcu, Lgocie oraz Konikowej. Gdy był przewodniczącym Komitetu Budowy Ośrodka Wodno-Sportowego wybudowano molo, przystań kajakową i zmodernizowano pilickie stawy. Wielokrotnie podejmował wysiłek organizowania funduszy z Wojewódzkiego Związku Gminnych Spółdzielni w Krakowie na budowę rzeźni, ubojni, piekarni, magazynu rozdzielczego i placówek gastronomicznych dla GS „Samopomoc Chłopska” Pilica. Wreszcie, dzięki jego inicjatywie rozpoczęto budowę bazy trans-

portu samochodowego, zajezdni i stacji CPN. Ogrom zadań podejmowanych przez Stanisława Gardelę stawia go w szeregu ludzi najbardziej zasłużonych dla rozwoju społeczno-gospodarczego regionu olkusko-zawierciańskiego, a także województwa małopolskiego i śląskiego. Pracę zawodową i społeczną doceniono odznaczając go m.in. Złotym Krzyżem Zasługi oraz – z tytułu zasług wniesionych w rozwój i promocję działalności Spółdzielni – Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Nic dziwnego więc, że od 1958 roku – nieprzerwanie – mając poparcie i zaufanie wyborców z Ziemi Olkuskiej i Zawierciańskiej, Stanisław Gardela jest wybierany na radnego powiatu olkuskiego, radnego województwa krakowskiego, a później także katowickiego i śląskiego.



Zdł. Przemysław Piętaś

Dziewczyny z Zawiercia

Przemysław Pieniążek

Zakład Poprawczy i Schronisko dla Nieletnich w Zawierciu przeznaczony jest dla nieletnich w wieku od trzynastu do dwudziestu jeden lat. Jednak to, co mogłoby się okazać zwieńczeniem niewłaściwych wyborów, staje się szansą ponownych narodzin. Dziewczyny mają możliwość rozwijania zainteresowań w kółkach muzycznych, plastycznych czy literackich, o których stało się głośno za sprawą niecodziennego wydawnictwa, jakim jest tomik: *Tutaj zostawiłam swój ślad...*

Dotychczas wychowanki zakładu ujawniały pisarskie zdolności biorąc udział w konkursie literackim „Ścieżki mojego świata” oraz publikując teksty na łamach kwartalnika „Azymut”, ale omawiana antologia to zbiór poetyckich oraz prozatorskich prób nacechowanych świeżością spojrzenia i oryginalną poetyką, odznaczających się ponadto zróżnicowanym warsztatem literackim. Każdy z liryków jest intymnym wyznaniem – pastelowym bądź szkicowanym grubą kreską, lecz niezmiennie malowanym różnymi odcieniami radości i smutku, zwątpienia i nadziei, rozterki i tęsknoty. Refleksyjny ton sprzyja poszukiwaniu przyczyn własnych błędów oraz niefortunnnych kolei losu. Nie brakuje liryków wyrażających zwątpienie, rezygnację (– Szczęśliwi czasu nie liczą. Ja odliczam każdą sekundę, minutę, godzinę – wyznaje jedna z dziewcząt).

Nie chodziłam do szkoły, uciekałam z domu, piłam, brałam narkotyki. Nie mogłam polegać na mamie, która też często sięgała po alkohol – takich bolesnych biogramów jest w antologii o wiele więcej. Jednak egzorcyzmowanie negatywnych emocji, lęków oraz urazów poprzez twórczość wydaje się być najlepszym środkiem autoterapii. (– Nie mogę upaść, nie mogę, Bo któż mnie podniesie? – pada niepokojące pytanie). Ekspresja poprzez sztukę pozwala skanalizować napięcie, niepokoje oraz kompleksy, ale także jest bijącym źródłem tego, co najlepsze. Daje możliwość podzielenia się z odbiorcami swoimi uczuciami, pragnieniami i przeżyciami. Bo, jak przyznaje jedna z dziewcząt: – Choć życie dało mi popalić, biegnąc przez nie – nie pogubiłam marzeń.

Antologia jest świadectwem przeszłości, ale też owocem anie naiwnej nadziei. Czas leczy rany, ale nie blizny, z którymi można żyć, ale o których nie sposób zapomnieć. To cenna lekcja akceptacji samego siebie oraz próba pogodzenia się z negowanymi do tej pory wartościami oferowanymi przez rzeczywistość.

Wreszcie – jest to suma jednostkowych pragnień i tęsknot za normalnością, mniej ulotnym poczuciem dobra oraz chwilą szczęścia, która – być może – rozciągnie się na całe dalsze życie.

Jedna z wychowanek pyta: – Czy nastanie to lepsze jutro? Tego nie wiemy, przez to cierpimy i na to czekamy. Czy przeczekamy i damy radę, to tylko zależy od nas. A czy warto, to się okaże. Podobno nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Trudno się z tym nie zgodzić.

Marek Przybyła urodził się w Katowicach w Roku Smoka. Ma 56 lat i mieszka w Sosnowcu. Artysta malarz, grafik, rysownik, ilustrator i rzeźbiarz. Uprawia również prozę i esej. Zbiór 37 miniatur prozatorskich i rysunków HOMUNKULUS ukazał się jako druk towarzyszący wystawie w czeskim Cieszynie w 2002r. Autor ponad 30 wystaw indywidualnych i uczestnik ponad 20 zbiorowych. Absolwent PLSP w Katowicach. członek ZPAP i SPP w Nowym Sączu. Współzałożyciel Towarzystwa Bellmer. Niestrudzony eksplorator nieświadomości. Obok nobliwych cykli realizowanych w klasycznej technice nawiązującej do warsztatu renesansowego tworzy cykle kolaży dekonstrukcyjnych – KALEJDOSKOPY – 1995 r. i MANUAŁY – 2007 r. Także cykl decoupage MUJER DE MAGIA NEGRA – lata 80. Z upodobaniem tworzy książki artystyczne, których dotąd wykonał 11 sztuk, w większości unikatów. Zilustrował ponad 20 zbiorów poezji, kilkadziesiąt rysunków prasowych i projektów graficznych. Dziesiątki linorytów, setki rysunków. Ostatnio stworzył cykl miniatur malarskich KOLBY – 2006r. i instalację (poeme-objet) MÓWIĄCE TALERZE – 2007r. Niechętnie uczestniczy w konkursach. Zajmuje się także arteterapią. Suma doświadczeń i epifanii pozaplastycznych przyniosła zbiór prozy poetyckiej i rysunków KLUCZ BARW czyli o kolorach pieśni XIV. Ukazuje wzajemne relacje między ludźmi, imionami a kolorami. Umysławia wielkość, fenomen i energię barw. Wszystko na prawach licentia poetica. W 2003 r. jako performer teatru artystycznego ONEIRON brał udział w pracach nad misterium teatralno-muzycznym OFFICINA FERRARIA ABO...? w Katowicach. Jest ojcem córki Mai i syna Jakuba.

SZYFR DO KLUCZA BARW

Klucz Barw częściowo powstał samoistnie. Przypisanie realnej osobie określonego koloru było podyktowane indywidualnym wyborem. I pozornie irracjonalnym aktem kreacji. Z powodów emocjonalnych i motywów sentymentalnych kolory znalazły sponsorów nieprzypadkowych. Zestawienia barw i imion są więc wyższej natury. Nieomal wszystkie te spotkania wynikają z tego, że osoby, z którymi skojarzyłem barwy po części noszą je w sobie – moim zdaniem – jako barwy główne. Ale oczywiście nie tylko, mają również inne barwy dopełniające. Te realne osoby były bądź są w różnym stopniu bliskie, znaczące, ważne, inspirujące. Opatrzanie barwy jednym imieniem to też tylko umowny zabieg, bo otwartość barw jest nieograniczona i imiona w liczbie dowolnej zostałyby przez barwę, na pewno, przyjęte bez uprzedzeń. Te swoiste portrety kolorów sprawiły mi przy ich sporządzaniu wiele radości. Ontologicznej, ale i tej z samych „trzewi jestestwa”, że się tak anachronicznie wyrażę.

Ata radość płynęła stąd, że dotykając poszczególnych barw i ich aspektów czułem, że zbliżam się – jak nigdy wcześniej – do czegoś nieuchwytnego, delikatnego i w tym momencie istotnego dla mnie. Ośmieliły mnie do tej pracy bliższe spotkania z osobami, personami i fenomenami barw, wchodzącymi we wzajemne, często zażyłe związki.

Marek Przybyła

BRAZ HENRYKA

BRAZ JEST BARWA ZIEMI. ŁĄCZY SIĘ DOBRZE Z ZIE-
LENIĄ. Z NIĄ KOMONUJE SIĘ NATURALNIE BŁĘKIT.
PEANY DO BŁĘKITÓW I KRAJOBRAZY DO
SPIEWANIA: PEJZAŻ TO PIERWSZE ARKANA HEN-
RYKA. ZIEMIA PEJZAŻU KTÓRĄ PRZEMIERZYŁ JEST
TAK ROZLEGŁĄ JAK NIEPRZEBYTĄ JEST ZIEMIA S-
ZTUKI. HENRYK JEST TAKŻE ADMIRATOREM
WĘDROWAN-
RÓŻE ODBYWA-
E TYLKO W PRZESTRZENI REALNEJ I CZAS-
IE LINEAR-
WIELU PO-
OZNAMY STAPAJĄC PO ZIEMI BRAZU. MO-
ZE NIE OD-
WSZYSTKI-
ŚCIEŻEK I PRZENIKLIWYCH TROPÓW A-
LE MOŻE-
-CHOĆ TRU-
LABORATORIUM ŻYWIÓŁÓW JAKIMI S-
A PORTRET-
ENRYKA. I-
MNIEJ KLUCZYĆ ZNAJĄC KLUCZE DO PEJZAŻU KTÓRE O-
N POSIADA. HENRYK MALUJE OBRAZ PODWOJN-
E A BYW-
TNE W SE-
M I PRZENOSNYM. JEGO KUNSZTA POZWALAJĄ MU M-
U MALOWAĆ PEJZAŻ I JEGO DUCHA RÓWNOCZESNIE. INN-
Y MALARZ RENE ODKRYŁ KILKA WŁASNYCH KLUCZY:
DO POŁ, DO SNÓW CZY CHOĆBY ZNAKOMITY SZKLANY
KLUCZ. HENRYKA ZAS. TO NP. KLUCZ DO SŁÓW, KLUCZ D-
O GOB CZY KLUCZ PODROŻY. PRZYWOŁAŁEM TYLKO PODOBIE-
ŃSTWA POZORNE BO TO ŻE KAŻDY UPRAWIA ZIEMIĘ WŁASNĄ
[SZTUKI] JEST DLA MNIĘ OCZYWISTE I TO ZESTAWIENIE JE-
ŚLI CHYBIONE I NIEZREČNE - BĘDZIE MI WYBACZONE - MAM
NADZIEJĘ. PRZEZ OBU. ZIEMIĘ ZIELENI U HENRYKA PORASTA
JA CZĘSTO JEST AUTOSYMBOL I PLENIA SIĘ W NIEJ BUJNIE
SŁOWA. ONE SĄ KOLEJNYM Z ARKANÓW HENRYKA. NIEDOSIĘGIONA
FORMA JEGO ESEJÓW NIE RAZ RODZIŁA ZGUBNĄ MYŚL O WYKRADZENIU-
GDYBYŻ TO BYŁO MOŻLIWE! KLUCZA JEGO STYLU. ALE TO, NAWET GDYBY-
SIE POWIÓDŁO BYŁOBY ŚWIĘTO-KRADZTWE. ZIEMI ŚWIĘTEJ NIE MOŻ-
NA OKRAŚC. NIEZALEŻNIE CZY SIE JA BEZCZĘŚCI CZY TWORZY JEJ
IKONY TAK KUNSZTOWNE JAK ROBI TO HENRYK WSZYSTKIMI SWO-
IMI ARKANAMI. BRAZ JEST CIEPLĄ BARWĄ, MĄDROŚCI ZIEMI.

Kochani!

Przepraszam wszystkich, że tak późno, ale wiadomo – czas tu leci inaczej. Chociaż, kiedy sobie próbuję wyobrazić, jak długo tu jestem, to wydaje mi się, że całe miesiące. No cóż, wydarzyło się dużo:) Mam nadzieję, że niebawem znajdę dogodniejsze niż kafejki internetowe miejsce komunikacji ze światem. Internet tu ślamazarny bardzo, ale za to można z papieroskiem:)

Jak wszyscy wiecie, miałam niewielkie pojęcie o tym, co mnie tu czeka. Zatem od samego dnia przylotu w dość naturalny sposób polegałam tu na pomocy osób dopiero co poznanych.

Pierwsza była Cathi – Kanadyjka ucząca w Sanie angielskiego. Leciałyśmy razem z Frankfurtu i jako że siedziałyśmy blisko siebie, pogadałyśmy trochę jeszcze w samolocie. Wymieniłyśmy się numerami telefonów, żeby dać sobie później okazję do pogadania – obie przecież zostajemy w Sanie na długie miesiące:)

Lotnisko w Sanie wygląda jak skrzyżowanie dworca w Poznaniu z przejściem granicznym w Cieszynie, ale pracownicy szalenie mili. W sumie gładko poszło mi kupienie wizy, jak im nawkręcałam, że ambasada jemeńska w Polsce jest zamknięta. Wic jednak polega na tym, że to nieprawda:) Bo to tylko nasza w Jemenie zamknięta. Ale jak się okazało, wizę dostałam na dłużej i za mniejsze pieniądze, niż gdybym kupowała ją w Warszawie. Cóż, zgłębianie prawa międzynarodowego dopiero przede mną.

Wsiadłyśmy z Cathi do taksówki i tam ją olśniło, że w sumie to ma wolne łóżko i po co mam się tulać tej nocy po hotelach, jak mogę się przespać u niej. Cóż, za samo wtajemniczenie mnie w zasady komunikacji miejskiej w Sanie należy się jej dożgonna wdzięczność:) Tym bardziej że miała to być noc, a był niemal cały bity tydzień. Miałam wtedy czas na rozkminianie Sany w tempie niekoniecznie zawrotnym.

Co prawda, gadałam wtedy głównie po angielsku, ale dziewczyny zaserwowały mi solidną porcję jemeńskich „do's & dont's”, co okazało się gigantyczną pomocą. Chociaż i tak podczas mojego pierwszego samotnego spaceru po mieście wywoływałam na ulicach sensację :) A jak już poprosiłam po arabsku o wodę mineralną w jakimś kramiku, to ludzie przecierali oczy ze zdumienia!

Jako że czwartek i piątek były dniami świątecznymi (święto końca Ramadanu), na uczelnię poszłam dopiero w sobotę. Uch, sama się nie spodziewałam, że będzie łatwo, ale że aż tak – nie oczekiwałam przenigdy. Nikt nic nie wie, patrzą na mnie jak na idiotkę, każdy mówi co innego. Momentami miałam wątpliwości, czy ludzie, z którymi rozmawiałam, mają obie półkule... Nowy Uniwersytet Sanański mieści się w obrębie czegoś na kształt kampusu, olbrzymia powierzchnia, zatem nabiegałam się co niemiara. Z Wydziału Języków do Biura Spraw Studenckich i z powrotem. W każdym pokoju mnóstwo ludzi,



k którzy wyglądali jak biedni petenci. W końcu po któreś tam bieganie, udało mi się zdobyć dwa nazwiska osób, do których się powinnam zwrócić. A to już było naprawdę coś. No i jedno z tych nazwisk, wicedziekan Wydziału Języków, okazało się tym, czego naprawdę potrzebowałam. Po niemal czterech godzinach lataniny wreszcie spotkałam kogoś, kto mi przekazał konkret i podzielił się informacjami koniecznymi do rozpoczęcia nauki. A jeszcze kwadrans niepewności i chyba bym się tam wysadziła:)

Następnego dnia miałam się spotkać z szefową instytutu Języka Arabskiego, lecz zanim to nastąpiło, poznałam Bognę, stypendystkę z Krakowa. Ale w tym miejscu już trzeba wybitnego poetę do opisanie ulgi, jaką zobaczyłyśmy nawzajem w swoich oczach :) Od tamtej pory walczymy z sanańską rzeczywistością razem. W każdym razie udało się do owej szefowej, a ta również zarzu-

do zmagania z biurokracją. Byli z nami nasi nowi sanańscy kumple – Ahmad, Bilal, Hiszam i Abdullah. Chłopaki spisały się na medal. A skąd oni się wzięli? Cóż, następne świeże znajomości, bez których ani rusz. Otóż Bogna poznała Ahmada w samolocie (lecieli przez Stambuł), a ten zaofiarował jej swą pomoc. Dla niego to nie pierwsza, bowiem w zeszłym roku zaopiekował się naszą koleżanką z poznańskiej arabistyki. Świat jest mały. Ale mało tego – Bogna poznała w samolocie Anyę, z którą mieszkalam:) Fajne to. A reszta chłopaków to kumple Ahmada.

Zatem role przewodników po nowej rzeczywistości przejęli nasi nowi koledzy. No i melanżujemy trochę, spędzając wieczory w „pubach”. Bibka przy mineralce to zupełnie nowe doświadczenie:) Za to odpowiednikiem alkoholu jako umilacza czasu jest tu szisza. Fajne smaki mają, ale mimo to nadal nie

A jeśli idzie o Nowe Miasto, trochę kłopotu sprawia nam zapamiętywanie ulic, bo wszystkie są bardzo podobne. Tym bardziej że tylko te większe mają nazwy. Większość natomiast ma tylko numery. Jest brudno (bez psich kup!), lecz znośnie. Sana się rozbudowuje i bogaci, to widać. Wiele zakątków to place budowy. Natomiast drogi... Miłe to zaskoczenie, jeźdźnie są w doskonałym stanie. Ale skoro już o jezdniach mowa, należy wspomnieć o ruchu ulicznym. Tu nie ma żadnej zasady. Nie wiem, jak to się odbywa, ale każdy jeździ jak chce. czasami policjanci zawiadują ruchem, ale na ogół mam wrażenie, że zasady ruchu ulicznego wytycza tu intuicja. Żadnych migaczy, żadnego ograniczania prędkości, żadnej zasady prawej ręki, tylko klakson. i wiecie co? Nie widziałam tu żadnego wypadku. Drogi szerokie, więc pozwalają na różne takie cuda. A może to fakt, że na każdym niemal samochodzie jest pięknie wykaligrafowane Allah, Muhammad, Ma sza' Allah albo coś innego związanego z religią.

W sobotę zaczęłyśmy zajęcia. Nie powiem, żeby z kopyta, ale jakoś tam idzie. Tylko mamy problem z koleżankami z roku. Jak na ulicy, tak i na sali wykładowej, większość kobiet jest tak dokładnie pozakrywanych, że odsłonięte mają jedynie oczy. Nie mam pojęcia, ile czasu nam zajmie nauczenie się ich imion, ale dziwne to, kiedy mówię „cześć, Amal”, poznawszy ją jedynie po torbecce:) Albo na przykład, szefowa instytutu. Dobrze, że ma charakterystyczny głos, bo inaczej nie wiem, co by było... cóż, trzeba uruchamiać inne zmysły w kontakcie z drugim człowiekiem:)

No i na koniec jedzenie... Boskie:) Co prawda większość potraw ma w sobie mnóstwo mięsa (jak narodowa salta), ale są też pewne rzeczy dla wegetarian, więc nie narzekam. Ogólnie, chyba nie mogę już żyć bez tutejszego chlebka ani oliwek, bakłażanów i słodczy:)

K ończę już, proszę się spodziewać następnych odcinków powieści.

C aluję mocno,

Beściak Yeah Man!

Magda Beściak – rodowita jaworznianka. Studiowała kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim, następnie w Poznaniu podjęła drugi kierunek – arabistykę. Obecnie przebywa w Jemenie na ośmiomiesięcznym stypendium.

Magda Beściak

ROZKMINIĆ SANĘ!

cila konkretem, więc o mało nie umarłyśmy ze szczęścia. Mimo że ten konkret okazał się trudny do przelknięcia. Bo to, co nas tutaj czeka, to nie planowany kurs arabskiego, ale arabistyka. Dla Arabów. Hmm, będzie ciężko:) I wesoło! Jedyne, co smutnego usłyszałyśmy u pani szefowej to, że powinnyśmy się zgłosić do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, bo strona polska jakoś dziwnie się wywiązywała ze swoich zobowiązań finansowych. Pokręcone to-to. Niemniej nazajutrz tam pojechałyśmy. Istne wariactwo. Tabuny ludzi, ale jakoś udało się nam (zaraz napiszę z czyją pomocą) wszystko załatwić. Ja się tylko zastanawiam, jak ten kraj funkcjonuje:) Ani studenci, ani ludzie w ministerstwie nie wyglądali na mniej zagubionych niż my. Poza tym to dziwne, że jak się pojawia problem, słyszysz – „Idź do ministra”. No, ale co by nie mówić, w tym szaleństwie jest metoda – wiceminister nam pomógł!

Oczywiście, nie byłyśmy w ministerstwie same. Nie tyle, że języka by nam nie starczyło, ale generalnie (mimo polskich realiów) mamy inne podejście

jestem zakochana w fajce wodnej. Koledzy też nam bardzo pomogli w znalezieniu mieszkania, zatem wijemy sobie z Bogną gniazdko. Staramy się też jakoś tam wpasować w nowe realia. Zakupiliśmy piękne abaje. Co prawda wyglądają jak księżę szaty, ale nieco ułatwiają funkcjonowanie. Nie ma już tych wlepiających się oczu, ale nadal „ulica” nas wyłapuje. Ja się nadal czuję jak kosmitka, ale może już przynajmniej nie taka z czulkami:)

Pozwiedzałyśmy trochę miasto. Byłyśmy w Starej Sanie. Piorunujące wrażenie. Domki wyglądają jak zbudowane z klocków. Są tak uroczo koślawe, ale stoją tam od niemal tysiąca lat. Uliczki idealne do poblądzenia. Jedno z fajniejszych doświadczeń przytrafiło się, jak wezwala nas potrzeba. Jako że nie ma tam toalet, poszłyśmy do hotelu Burdz as-Salam. Jak wychodziłyśmy, recepcjonista zaprosił nas do pooglądania widoków Sany z dachu hotelu, gdzie jest śliczna kawiarenka. Wyobraźcie sobie średniowieczną budowlę, która ma bodaj 9 pięter. A widoki... cudowne.

Niejawna dwoistość rzeczy...

Kiepsko mi się ostatnio powodzi. Na tyle kiepsko, że dziesięciokrotnie oglądam każdą posiadaną złotówkę. Ale czasem chce się zaszaleć. Tak właśnie było przed sylwestrem, kiedy w jednym z najbardziej renomowanych marketów spożywczych w centralnym centrum handlowym miasta nabyłem wekowaną kielbasę – jak pisało na etykiecie: stuprocentowo domową prosto ze świniołowia! Ponieważ do dzisiaj śnię o takiej kielbasie dostarczanej w latach 70. przez znajomych z Lubelszczyzny, więc nie wahałem się ani chwili i natychmiast wrzuciłem – pomimo sporej ceny – do koszyka. Jakież moje rozczarowanie, kiedy zasiadłem do sylwestrowej uczty z nieodzowną na taką okazję flaszeczką. Kielbasa okazała się zwyczajną polską białą parzoną wpakowaną byle

mu w plebiscycie organizowanym przez PRESS. Sprawa ta zbulwersowała i podzieliła środowisko (???) dziennikarskie. Żakowski m.in. pisze: – „Dziennikarze pokłócili się o dziennikarstwo. Nareszcie. Bo jakość dziennikarstwa stała się poważnym zagrożeniem dla polskiej demokracji. Zamiast pięknych, medialnych stu kwiatów, stworzyliśmy stugłowego mediopodobnego Frankensteinia!”.

Jestem dziennikarzem (to jednak charakter, a nie zawód!) od dobrych dziesięć lat. I nigdy jeszcze z tym zawodem nie było tak źle. Nawet czasy komuny nie przyniosły tak negatywnych przemian i zjawisk. Wystarczyło być wiernym sobie i „puszczać perskie” do czytelnika, który był o wiele bardziej inteligentny niż obecnie i umiał czytać „między wiersza-

gnało się z zawodem. Przepadli w ludzkiej niepamięci, za to coraz częściej pojawiają się w gazetach ich nekrologi. Ci, którzy jednak nie złożyli pióra (och, pardon – komputera), trafili w redakcjach na tzw. młode wilczki z patentem na znajomość wszechrzeczy. Oliwy do ognia dołało błyskawiczne zlikwidowanie dotychczasowej matki-karmicielki, czyli imperium RSW PRASA-KSIĄŻKA-RUCH – nie zawsze czytelne, ale skutkiem tego większość tytułów trafiła w zagraniczne ręce. Te na bezpiecznym teraz podwórku rychło zaczęły zaprowadzać własne, niekoniecznie cywilizowane, porządki. Poczęły się rugi starszych dziennikarzy, bo... za drodzy, za wolni, ze starymi nawykami. Po śmierci w 1996 roku Układu Zbiorowego Pracy Dziennikarzy i ostatecznym upupieniu i tak fasadowych związków dziennikarskich nic już nie stało na przeszkodzie coraz śmielszym poczynaniom wydawców. Ich ulubionym powiedzeniem stało się: – Widzicie ten tramwaj? W nim wszyscy są dziennikarzami!

Taka polityka personalna zaowocowała brakiem ciągłości pokoleniowej w redakcjach oraz prymatem marketingu nad dziennikarstwem, ale jednocześnie podporządkowała zespoły redakcyjne jakiejś opcji politycznej, no bo z kimś trzeba trzymać w obronie własnych interesów. Egon Erwin Kisch i nasz Melchior Wańkowicz w grobach się nerwowo przewracają, bo niegdyś dziennikarz własne przekonania polityczne zostawiał na progu redakcji. A teraz? No cóż – pisać każdy może... Proszę tylko popatrzeć w TV, posłuchać radia, czy przeczytać parę gazet...

Jacek Żakowski pyta wszem i wobec: coście uczynili by nie pozwolić tak ostro się stoczyć dziennikarstwu? Otóż ja kiedyś próbowałem. Usiłowałem wraz z paroma kolegami ruszyć coś, co roboczo nazwaliśmy NSZZ Pracowników Mediów. Jego członkami mieli być wszyscy bez wyjątku zatrudnieni, czy dziennikarz, czy sprzątaczką. Nie wyszło, bo – jak to? MY??? Ze sprzątaczkami???

Spytacie pewnie, co ma w końcu dziennikarstwo do kielbasy? Ano – wbrew pozorom – bardzo wiele. Gazety teraz piękne, no bo polska poligrafia najnowocześniejsza na świecie. Znakomite kolory, cudowne makietki, wyborna jakość druku. To opakowanie, a w środku? Polska parzona wczoraj przeterminowana... (AnSa)



Autorytet, grafika Karoliny Smędzik

jak w słoiki, bo pewnie w poprzednim wcieleniu kończył się jej okres przydatności do spożycia. Do wspomnień wruszających, a intensywnych, k o m p l e t n i e nie przystawała!

Skojarzyłem ten fakt, kiedy śącząc trunek czytałem bardzo ważny artykuł Jacka Żakowskiego o dzisiejszej kondycji dziennikarstwa (Reakcje Redakcji. „POLITYKA”, nr 1/2009). Pretekstem do rozważań było przyznanie tytułu Dziennikarza Roku Bogdanowi Rymanowskiemu

mi”. Dopiero stan wojenny zatamizował skonsolidowane dotąd środowisko. Jedni pozostali „reżimowi”, inni siedli za kółkiem taksówki. Wielu usiłowało wrócić do zawodu po 1989 roku, ale wtedy okazało się, że jesteśmy za starzy, skażeni komuną itp. itd. Jeśli do tego dodać szok technologiczny w postaci zamiany prześlicznej pani Kryszy z hali maszyn w bezpłatowy komputer, to nic dziwnego, że mnóstwo świetnych i sprawnych jeszcze ludzi po prostu – „wymiękło” i definitywnie poże-

Od Nowego Śląska do Zagłębia Dąbrowskiego

Mieszkańcy Zagłębia Dąbrowskiego uważają, iż w jego granicach znajdują się takie większe miejscowości jak: Będzin, Czeladź, Dąbrowa Górnicza, Grodziec, Maczki, Sosnowiec, Strzemieszyce, Zabkowice położone w widłach rzek: Brynicy, Białej i Czarnej Przemszy. Nie wyklucza to możliwości, aby Zagłębiakami czuły się osoby zamieszkujące Myszków, Siewierz, Zawiercie, a nawet Olkusz.

Historia podziałów

Marek Edward Nita

Zagłębie Dąbrowskie ma bardzo bogatą przeszłość dziejową. W porównaniu jednak do innych terenów polskich jego historia zarówno dawna, jak i współczesna jest bardzo słabo opracowana.

Od powstania państwa polskiego w X wieku, poprzez średniowiecze i czasy nowożytne, aż po rok upadku Polski (1795) obszar ten leżał w Małopolsce, województwie krakowskim, w powiecie krakowskim i lelowskim. Niewielka część (Księstwo Siewierskie) od XV wieku aż do 1790 roku należała do biskupów krakowskich.

Po III rozbiorze w 1795 roku region znalazł się w pruskim okręgu administracyjnym – Nowym Śląsku. W wyniku zwycięskich wojen Napoleona Bonaparte nad wojskami austriackimi, pruski i rosyjski, decyzją Traktatu w Tyliczu w 1807 roku teren Zagłębia wszedł w skład utworzonego wtedy Księstwa Warszawskiego, powiatu lelowsko-siewierskiego i pilickiego, a od 1800 roku do powiatu siewierskiego. Po powstaniu Królestwa Polskiego na Kongresie Wiedeńskim stał się częścią województwa krakowskiego (obwodu olkuskiego, powiatu lelowskiego i pilickiego). Po przemianowaniu decyzją władz carskich w 1837 roku polskiej nazwy „województwa” na „gubernię”, Zagłębie najpierw weszło w skład – krakowskiej, od 1840 roku – kieleckiej i ostatecznie od 1845 roku powiatu olkuskiego guberni radomskiej.

W 1867 roku, zaborca zreorganizował administrację terytorialną Królestwa Polskiego. Później ten teren włączono jako powiat będziński do guberni piotrkowskiej, do której należał aż do wybuchu I wojny światowej. Dopiero od powstania powiatu będzińskiego można mówić o odrębności Zagłębia Dąbrowskiego.

Kształtowanie się tego regionu było procesem trwającym od schyłku XVIII/XIX wieku. Otóż, na tym typowo rolniczym obszarze odkryto

w tym czasie złoża rudy cynku, żelaza, a przede wszystkim węgla kamiennego. Powoli powstawały pierwsze cegielnie, huty, kopalnie, wapienniki i inne zakłady przetwórcze. Rozwój przemysłu fabrycznego przyspieszyła budowa w połowie XIX wieku linii kolejowych, a zwłaszcza Kolei Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej oraz przeprowadzone w 1864 roku uwłaszczenie chłopów. Nie doszłoby jednak do rozwoju tutejszego przemysłu bez napływu obcego kapitału, zwłaszcza niemieckiego, francuskiego, belgijskiego, austriackiego i rosyjskiego. Wpływ na to mieli również inwestorzy pochodzenia rodzimego (Polacy i Żydzi).

Teren ten aż do połowy XIX wieku nie miał oficjalnej ani potocznej nazwy. Dopiero w latach 50. XIX wieku pojawił się termin „Zagłębie”. Jego twórcą był ówczesny Naczelnik Zachodniego Okręgu Górniczego w Królestwie Polskim Józef Patrycjusz Cieszkowski. Oficjalnie nazwa Zagłębia Węglowego w Królestwie Polskim pojawiła się w wydrukowanej w 1856 roku mapie „Karta geognostyczna Zagłębia Węglowego w Królestwie Polskim”, a była to pierwsza geologiczna mapa tego obszaru. Na owe czasy termin „zagłębie” oznaczał „wklęsłość ziemną różnej obszerności, w której spoczywają pokłady, czyli warstwa ciała kopalnego” (H. Łabęcki, Słownik górniczy, Warszawa 1868).

W drugiej połowie XIX wieku nazwa ta stopniowo weszła w użycie w gazetach, czasopiśmie i mowie potocznej. W niemieckiej literaturze technicznej tamtych czasów funkcjonowała też nazwa „Zagłębie Węglowe Śląsko-Polskie”, „Polskie Zagłębie Węglowe” („das Polnische Kohlenbecken”).

Dopiero w latach 80. XIX wieku zaistniała nazwa „Zagłębie Dąbrowskie”. Jak się wydaje, po raz pierwszy użył jej Stanisław Kątkiewicz w opublikowa-



Mapa 1805: tereny obecnego Zagłębia Dąbrowskiego włączone w wyniku III rozbioru w skład Królestwa Prus jako tzw. Nowy Śląsk (Neuschlesien), powiaty Pilicki i Siewierski (z Będzinem). Charte von Schlesien, Maehren und Lausitz, Augsburg 1805.

nym w 1887 roku artykule w czasopiśmie „Wszecławiat”. Nazwę tę wprowadzono też do opublikowanej w 1889 roku „Mapy pokładowej Dąbrowskiego Zagłębia Węglowego”. Na przełomie XIX/XX wieku w gazetach, czasopiśmie, pracach popularno-naukowych i naukowych teren ów był nazywany też „Zagłębiem Górniczym”, „Okregiem Fabrycznym Sosnowieckim”, „Okregiem Sosnowieckim”, „Zagłębiem Sosnowiecko-Dąbrowskim”.

Od 1897 roku nazwa Zagłębie Dąbrowskie była konsekwentnie używana w fachowym czasopiśmie „Przegląd Techniczny” oraz powstałym w 1903 roku „Przeglądzie Górniczo-Hutniczym”. W 1889 roku pojawiła się w wydrukowanej w skali 1:50 000 mapie. W roku następnym wydano pierwszą książkę, w której w tytule użyto pełnej nazwy regionu: *Kalendarz Zagłębia Dąbrowskiego na rok przestępny 1902.*

Warto wyjaśnić genezę drugiego członu nazwy – „Dąbrowskie”. Pochodzi ona od miejscowości „Stara Dąbrowa”, na terenie której już w 1785 roku odkryto na wychodniach pokłady węgla i rozpoczęto jego wydobywanie. W końcu XVIII i w początkach XIX wieku powstały w okolicach tej miejscowości pierwsze prymitywne kopalnie oraz huty. W latach 20. i 30. XIX wieku wieś Dąbrowa stała się dużym skupiskiem górników i hutników. W 1834 roku w miejscowości tej powstała największa w Królestwie Polskim huta żelaza „Bankowa”. Dalszy rozwój tej miejscowości, pozostającej wsią, nastąpił po powstaniu styczniowym. Należy dodać, iż Dąbrowa w XIX wieku stanowiła ważny ośrodek nie tylko przemysłowy, ale również administracji górniczej, ponieważ znajdowała się tam siedziba Zachodniego Okręgu Górniczego.

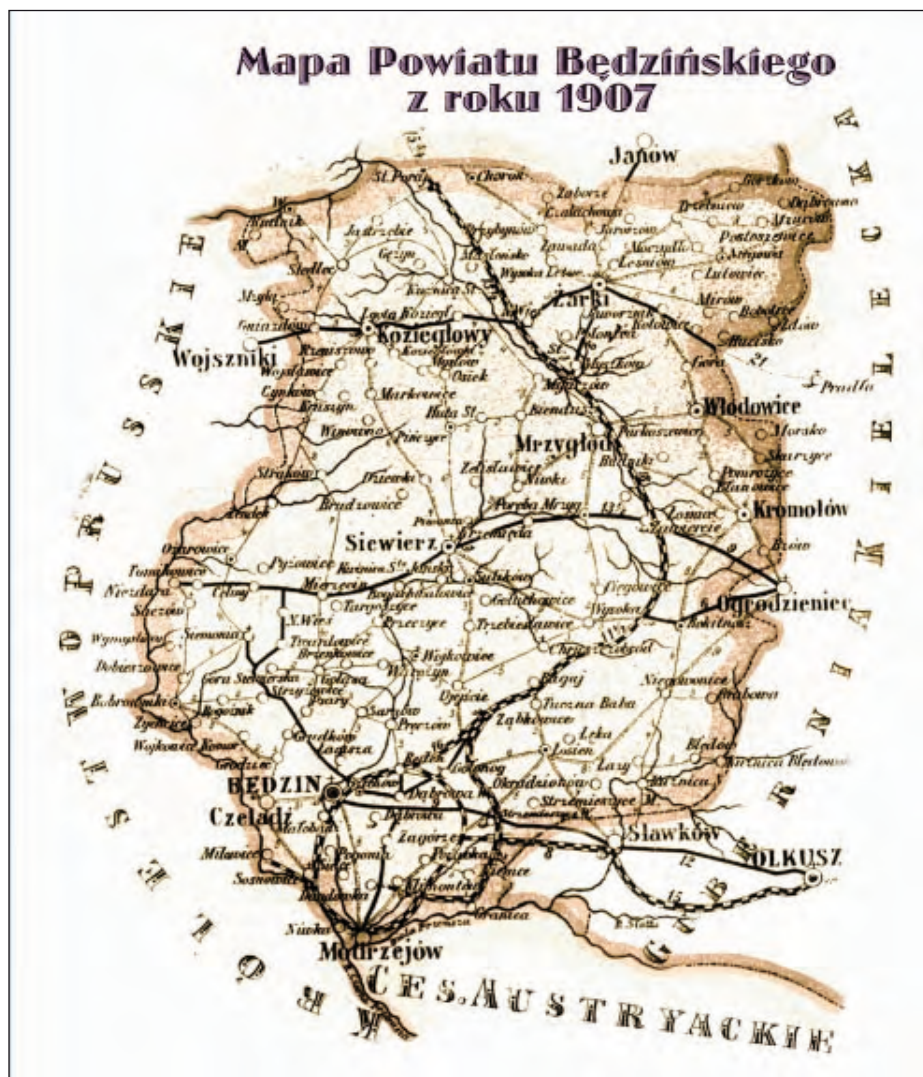
Zatem przed I wojną światową w „Trójkącie Trzech Cesarzy” w południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego ukształtował się znaczący ośrodek przemysłowy związany z pobliskim pruskim Górnym Śląskiem i cesarstwem rosyjskim. Był to obszar zupełnie inny niż sąsiedni Śląsk. Inne języki, prawo, stosunki polityczne, ekonomiczne i społeczne. Stworzyły one w początkach XX wieku mieszkańca Zagłębia – Zagłębiaka. Już wtedy był świadomy odrębności, z powodu zamieszkania w uprzemysłowionym regionie, w stosunku do mieszkających w niewielkiej odległości mieszkańców wsi. Zwłaszcza jednak w stosunku do Górnoślązaków i Niemców mieszkających za Brynicą i Czarną Przemszą.

Wtrakcie I wojny światowej, Zagłębie Dąbrowskie podzielono na dwie strefy okupacyjne – austriacką (obwód dąbrowski) i niemiecką (powiat będziński w Sosnowcu). 90 lat temu, po 23 latach niewoli Polska odzyskała niepodległość. W pierwszych latach po wojnie utrzymano stary podział administracyjny. Przedwojenny powiat będziński, na terenie którego znajdowało się Zagłębie Dąbrowskie, włączono w skład powstałego typowo rolniczego województwa kieleckiego ze stolicą w Kielcach. W 1927 roku wyodrębniono rolniczo-przemysłowy powiat zawierciański. Warto nadmienić, iż z wielu powodów nie udało się przyłączyć Zagłębia Dąbrowskiego do uprzemysłowionego autonomicznego województwa śląskiego.

Podczas II wojny światowej (1939–45) Zagłębie Dąbrowskie pod względem administracyjnym należało do rejencji katowickiej. Po zakoń-

czeniu wojny miejskie powiaty zagłębiowskie: Będzin, Czeladź, Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, Zawiercie oraz terenowe: będziński i zawierciański weszły do istniejącego do 1950 roku województwa śląsko-dąbrowskiego. Następnie w latach 1995–1999 znalazły się w katowickim, a obecnie – śląskim. Tym samym zlikwidowano administracyjne granice pomiędzy Zagłębiem Dąbrowskim i Górnośląskiem.

Przez wiele powojennych lat funkcjonował śląsko-zagłębiowski antagonizm, odrębność etniczno-kulturowa. Na Śląsku kultywowany był negatywny obraz Zagłębia i Zagłębiaka, podkreślano wyższość cywilizacyjną mieszkańca Śląska, a niższą – ludności „zza Przemszy”. Uważano, iż Zagłębie to „wyłęgarnia komunizmu”. Taki stereotyp mieszkańca Zagłębia Dąbrowskiego bardzo łatwo dziś źródłowo i historycznie obalić. Marek Edward Nita



Niezwykła granica

Jarosław Krajniewski

Ziemia, którą zwiemy Zagłębiem Dąbrowskim, a która z trudem dobija się o regionalną tożsamość, niemal nigdy nie miała nic wspólnego ze Śląskiem. W ciągu tysiącletnich dziejów państwa polskiego tylko trzykrotnie powiązana była z nim administracyjne: po raz pierwszy – po III rozbiorze, kiedy powstał tzw. Nowy Śląsk, drugi – w czasie I wojny światowej, trzeci – od 1939 roku (najpierw III Rzesza, potem województwo nazywane czasem śląsko-dąbrowskim, czasem stalinogrodzkim, a czasem katowickim). Za każdym razem była to jakaś okupacja...

Od zachodniej Małopolski Śląsk dzieli rzeka. Na pewnym odcinku Brynica, na pewnym Czarna Przemsza. Do dziś zresztą da się wyodrębnić dwa różne kulturowo obszary Zagłębia – po obu stronach Czarnej Przemszy. Rzeka ta jest najbardziej trwałą granicą w dziejach państwa polskiego. Polska czasami rozciągała się od morza do morza, czasami jej w ogóle nie było. Za każdym razem całkiem różny był przebieg jej granic. Z wyjątkiem jednej – tutaj, u stóp będzińskiej Góry Zamkowej.

Gród w Będzinie powstał już w IX wieku – sto lat z górą przed panowaniem Mieszka I. Prawdopodobnie był najdalej na zachód wysuniętym grodem Wiślan, co wskazuje na odwieczną łączność tego miejsca z Krakowem i Małopolską. Dalej na zachód mieszkali Opolanie, plemię śląskie. To były czasy, kiedy rzeki raczej łączyły ludzi (transport i komunikacja). Stąd granice przebiegały raczej wzdłuż wododziałów. I rzeczywiście – kilka kilometrów na zachód mamy wododział oddzielający dorzecze Odry i Wisły. To tędy przebiegała prastara granica małopolsko-śląska, bardziej oczywiście o charakterze rozległych rubieży, niż ściśle wytyczonej linii.

Układ ten został zakłócony w czasie Ubieśiady, suto zakrapianej trunkami, jaka odbyła się ok. roku 1179. Książę Kazimierz Sprawiedliwy, po kilku kielichach wina, podarował kasztelanu bytomską i oświęcimską – ziemie ściśle związane z dzielnicą krakowską – chrześniakowi, Mieszkowi Płatonogiemu, protoplaście śląskich Piastów. Co dokładnie otrzymał

Mieszko, kroniki nie podają, ale w ramach darowizny była między innymi siewierszczyzna (z Siewierzem i Czeladzią), która na niemal trzy wieki przeszła w ręce śląskie. W ten sposób rozumując, Czeladź to właściwie miasto... śląskie.

Koniec XIII, i pierwsze dekady XIV stulecia to stopniowe odchodzenie księstw śląskich od Polski. Poszczególni udzielnicy władcy piastowscy stopniowo składali hołd lenny królowi czeskiemu. Kazimierz Wielki nie miał wyjścia i mimo prób, musiał ostatecznie zrzec się władzy z ziem na zachód od Czarnej Przemszy. Dosłownie sto metrów od będzińskiej warowni, która powstała w formie znanego nam dziś murowanego zamku właśnie do obrony nowej granicy Królestwa Polskiego, przebiegała granica polsko-czeska. Większa część dzisiejszego powiatu będzińskiego należała wówczas do Czech, w tym także tereny dzisiejszych dzielnic Będzina – Grodzca, Gzichowa, Łagiszy, Syberki, Małobądz... Kiedy w wigilię Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1443 biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki odkupił z rąk księcia

Mieszkamy na Śląsku. To niebezpiecznie brzmiące zdanie, za które w okolicach ligowych stadionów po wschodniej stronie Brynicy można dostać po głowie. Jednak tak uważa zdecydowana większość Polaków, którzy nie odróżniają Śląska od Zagłębia. Takie same korniny, takie same szyby kopalni, taki sam krajobraz... Na zdjęciu: graniczna Brynica pomiędzy Piekarami Śląskimi a Wojkowicami.

cieszyńskiego Waclawa Księstwo Siewierskie, granica nieco się przesunęła, na Brynicę, gdzie pozostała aż do pierwszej wojny światowej. Śląsk kilkakrotnie w tym czasie zmieniał przynależność państwową, ale zawsze zaczynał się tuż za Czarną Przemszą (na wysokości Mysłowic) i wpadającą doń Brynicą. Warto może nadmienić, że bracia Waclawa nie pogodzili się z tą decyzją i wszczęli kilkuletnią wojnę, którą jednak przegrali. Tak naprawdę granica państwa polskiego nie przesunęła się. Otóż Zbigniew Oleśnicki kupił siewierszczyznę nie dla Korony Polskiej (jak wówczas nazywało się Polskę), a tylko dla biskupstwa krakowskiego. Od niego począwszy, każdy kolejny – aż do Sejmu Czteroletniego – kiedy to dopiero zlikwidowano odrębność Księstwa Siewierskiego – biskup krakowski nosił jednocześnie tytuł księcia siewierskiego. Księcia dosyć udzielnego! Bo trzeba wiedzieć, że owo Księstwo (pisane właśnie dużą literą) było wręcz odrębnym państwem! Osobna administracja, nadania szlacheckie, sądownictwo („kradnij, zabijaj, ale Siewierz omijaj”), słowem – niemal wszystko oprócz polityki zagranicznej – były atrybutami samodzielnego państwa. Gdyby przetrwało ono do dzisiaj, mielibyśmy państwo prawdziwie kościelne, bardzo podobne do innych europejskich tworów, jak choćby Andora (zlepek pięciu górskich parafii), Lichtenstein, Monaco...

Granica przebiegała zasadniczo wzdłuż Brynicy, ale był jeden ważny wyjątek, wynikający z niedoskonałości dokumentu kupna Księstwa Siewierskiego. Otóż po „śląskiej” stronie Brynicy znajdowały się grunta czeladzkich mieszczan, co powodowało kilkusetletnie spory i procesy. Dziś możemy się z tego tylko cieszyć, bo pozostały po nich świetne mapy, jakich Będzin czy Siewierz mogą tylko pozazdrościć. Granica – jak to granica – nigdy spokojną nie była. Bodajże najbardziej ucierpiała na tym Czeladź, kilkakrotnie palona podczas przemarszów różnych wojsk. Pogranicze oznacza zawsze korzyści i ograniczenia. Korzyści to oczywiście handel oraz – bardzo z nim związany – przemysł. Może też właśnie pograniczne położenie Będzina skłoniło Żydów do osiedlania tutaj. Z czasem gmina żydowska rozrosła się i zyskała na znaczeniu, pozostając w ścisłym związku z handlem

zarówno detalicznym, jak i hurtowym. O trwałości naszej granicy dobitnie świadczyć może fakt, że nie ruszyły jej nawet zabory. Mimo bezpośredniej bliskości z pruskim Śląskiem, na tym odcinku granice upadającej Rzeczypospolitej nie zmieniły się, jeśli nie liczyć włączenia do Korony w roku 1790 wspomnianego wcześniej Księstwa Siewierskiego. Zasadnicze zmiany przyniósł dopiero rok 1795, kiedy dzisiejsze Zagłębie przeszło pod panowanie pruskie. Wtedy właśnie utworzono Nowy



Śląsk, administracyjnie połączony ze Śląskiem – co miało miejsce po raz pierwszy w dziejach. Ten układ nie przetrwał długo. Kiedy powstało Księstwo Warszawskie, większość jego granic była absolutnie nowa i niejednokrotnie wręcz przypadkowa – z wyjątkiem granicy ze Śląskiem, a więc na Czarnej Przemszy i Brynicy. To państwo powstałe pod auspicjami Napoleona też się nie ostało. Nowe Królestwo Polskie znowu ma nowe granice oprócz – oczywiście na Czarnej Przemszy i Brynicy. Czy to jeszcze dziwi? A miało tak zostać aż do I wojny światowej. Będzin, a wraz z nim cała okolica, nadal miał charakter pograniczny. Był najdalej na południowy zachód wysuniętym skrawkiem potężnej Rosji Carskiej. Nadal kwitł handel, przemysł, tutaj nawet rozgrywała się prusko-rosyjska wojna celna. Pod koniec XIX wieku ściągnięto do Będzina – od roku 1867 miasta powiatowego – dońskich Kozaków, których posterunki rozciągnięte były wzdłuż Czarnej Przemszy i Brynicy.

Wielka wojna trwała stosunkowo krótko – cztery lata – ale pod względem administracyjnym i Zagłębiu przyniosła pewne novum. Nastąpił podział pomiędzy dwu okupantów – Niemcy i Austrię. Znowu – po raz drugi w historii – Zagłębie połączono ze Śląskiem... Odrodzone państwo polskie, II Rzeczpospolita, znowu otrzymała – właściwie wywalczyła – zupełnie nowe granice. Czy aby wszędzie nowe? Ze Śląskiem był znany problem, musiało dojść do trzech powstań i referendum. Część Górnego Śląska przypadła – po blisko 600 latach – nowej Polsce. Po raz pierwszy od wieków na Przemszy i Brynicy przestała istnieć granica państwowa.

Kolejna okupacja po raz trzeci połączyła ziemie po obu stronach Brynicy. Teryn Zagłębia włączono bezpośrednio do III Rzeszy, choć Generalna Gubernia zaczynała się niedaleko, za miedzą wręcz, ze stolicą w Krakowie. Po wojnie do Polski przyłączono niemal cały Śląsk. Na terenie Górnego Śląska utworzono nowe województwo, obejmujące także część zachodniej Małopolski. Takie połączenie dopiero po raz pierwszy dokonało się pod panowaniem władz polskich, choć dla wielu to także była okupacja... Początkowo próbowano jeszcze trzymać pozory dzięki nazwie – województwo śląsko-dąbrowskie. Dziś nazwa ta przetrwała jeszcze w nazwie regionalnych struktur związkowych. Do 1975 roku Brynica i Czarna Przemsza były jeszcze granicami powiatowymi.

Dzisiejszy podział administracyjny nie ma nic wspólnego z tradycją. Nasze śląskie województwo niemal w połowie składa się z ziem nigdy śląskimi niebędącymi (a z drugiej strony – bez śląskiej Opolszczyzny). Granice nowego powiatu będzińskiego też są nowe, część zagłębiowskich gmin znalazła się w śląskich powiatach. Ewenementem jest casus Sławkowa. Może więc wracamy do naszych korzeni, kiedy rzeki nie dzieliły ludzi, a łączyły? Dzisiaj nie da się już właściwie odzielić Śląska od Zagłębia. Warto jednak pamiętać o historycznych i kulturowych zaszłościach, które długo jeszcze będą się odzywać wśród mieszkańców po obu stronach tej niezwyklej, najbardziej trwałej w dziejach państwa polskiego, granicy.

Jarosław Krajniewski

Od kilku lat znany jest niezwykły – choćby dlatego, że utrwalony najdawniej – wizerunek Będzina. Kiedy szkic odkryto w jednej z niemieckich bibliotek w zupełnie nieznanym zbiorze 70 widoków miast z I. poł. XVI stulecia, nic nie wiadano o autorze ani okolicznościach powstania całego „albumu”. Kilkuletnie badania przyniosły jednak efekt i fascynująca zagadka z pogranicza historii i sztuki została rozwiązana.



Kwity na Jagiellona

Dariusz Majchrzak

Cofnijmy się do późnego średniowiecza. W roku 1475 osiemnastoletnia córka Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Habsburżanki przybyła do Landshutu. Podróż trwała dwa miesiące, a młodziutkiej Jadwidze towarzyszyła eskorta, której nie powstydziliby się żaden ówczesny europejski monarcha. Oczekiwał na nią z niecierpliwością wraz dostojnikami i klerem książę Bawarii-Landshutu, Jerzy Bogaty. Jej przyszły małżonek. Jadwigę i Jerzego nie połączyła miłość, ale polityka. Małżeństwo zostało wynegocjowane w Krakowie przeszło rok wcześniej. Państwo młodzi wzięli ślub w farze pod wezwaniem św. Marcina. Ceremonii przewodniczył arcybiskup salzburski. Po uroczystości orszak ruszył do ratusza, gdzie sam cesarz poprowadził pannę młodą do pierwszego tańca. Wraz z nimi bawiło się przeszło dziesięć tysięcy gości. Wesele to pamiętały i z sentymentem wspominały kolejne pokolenia mieszkańców Landshutu...

Ponad pół wieku później przypomnieli sobie o tym wydarzeniu również wnukowie Jadwigi: Otto Henryk (Ottheinrich) i Filip Swarliwy – synowie Ruprechta hrabiego Palatynatu i Elżbiety, córki Jerzego Bogatego. A to z powodu pewnego dokumentu, o którym mało kto już pamiętał. Był to skrypt dłużny na niewypłacony posag. Okazało się, iż Kazimierz Jagiellończyk nie wypłacił wówczas 32 000 węgierskich guldenów jako wiana panny młodej. Dla braci będących w ustawicznych długach, dokument stał się nieoczekiwanym wyławieniem. Otto Henryk postanowił upomnieć się o zaległą sumę u swego ciotecznego dziada, a mianowicie Zygmunta Starego.

W 1531 roku rozmowy na ten temat podjął palatyn z polskim posłem, biskupem Dantyskiem, podczas posiedzenia Reichstagu w Ratyzbonie. Nie przyniosły one oczekiwanego skutku. Bracia, a zwłaszcza Otto, postanowili nie rezygnować. Jeszcze w tym samym

roku wysłano do Zygmunta posłów Palatynatu, którzy przedstawili królowi kwestię nieuregulowanego posagu Jądwiagi Jagiellonki. Monarcha zapoznał się z ich argumentacją, po czym – jak wynika z korespondencji – postanowił zbagatelizować sprawę. Zygmunt odpowiedział posłom, iż konsultował się w tej sprawie z senatorami na sejmie krakowskim. Ci zaś zgodnie oświadczyli, iż nic im nie wiadomo o takowych zaległościach, a jeśliby istniały, to są przedawnione. Tak więc ani król, ani tym bardziej senat nie byli skłonni rekompensować komukolwiek skutków sklerozy politycznej przodków.

Wówczas posłowie mieli stwierdzić, iż ks. bawarski Jerzy upominał się o wypłatę posagu, a Kazimierz Jagiellończyk prosił o odroczenie terminu. Wojna bawarska, śmierć ks. Jerzego i jego małżonki spowodowały dalszą zwłokę, ale nie może być mowy o jakimkolwiek przedawnieniu, ponieważ hrabiowie Palatynatu upomnieli się o dług zaraz po osiągnięciu pełnoletniości. Sprawa posagu nie została jednak rozwiązana i posłowie wrócili do Neuburga z pustymi rękoma.

Być może w tym samym roku lub już na początku 1532 r. Otto i Filip ponownie zwrócili się do króla w sprawie długu. Zygmunt w odpowiedzi, powtarzając poprzednie argumenty, stwierdził, iż koronę otrzymał w wyniku elekcji, a nie poprzez prawo dziedziczenia, a poza tym nie jest w stanie i tak spłacić posagu z powodu wydatków, „jakie ponosi w obronie chrześcijaństwa”. Bracia jednak odrzucili argumenty monarchy twierdząc, iż Zygmunt jest dziedzicznym panem Litwy, Rusi, Prus, Mazowsza itd. Koszty zaś związane z wojną nie zwalniają go od odziedziczonych zobowiązań prawnych. Impas trwał nadal.

W kwietniu Otto Henryk zaprosił biskupa Dantyska do swojej siedziby, gdzie ponownie upomniął się o wypłatę posagu. Biskup wysłuchał palatyna, po czym obiecał zająć się sprawą. Otthein-

rich wątpił jednak w prawdziwość słów Dantyska. Chciał mieć pewność, że biskup nie zapomni o prośbie. W tym celu w listopadzie, kiedy duchowny szykował się do powrotu do Polski, palatyn postanowił wysłać razem z nim jednego ze swoich ludzi. Odstąpił jednak od tego zamiaru. W liście do biskupa Dantyska pokrętnie twierdził, iż zrezygnował z wysłania swojego człowieka, ponieważ dowiedział się, iż król jest w tej chwili zajęty ważnymi sprawami.

Otto Henryk w oryginalny sposób chciał pozyskać biskupa. Wysłał za pytanie, czy duchowny nie potrzebuje przypadkiem dobrego wałacha, a nawet podarował mu własny portret. Palatyn powiadomił również Dantyska, iż w razie zwołania sejmu ma zamiar pojechać do Korony, by poznać panów polskich. Poza tym wręczył biskupowi dokumenty potrzebne do zawarcia układów. Jak więc widać, palatyn nie dawał za wygraną i imał się wszelakich sposobów, by osiągnąć zamierzony cel, czyli odzyskać pieniądze.

Na początku stycznia roku 1533 Otto Henryk powziął decyzję o wysłaniu poselstwa do Polski na sejm, by tam publicznie upomnieć się o posag Jadwigi. Wysłannik palatyna ruszył w drogę miesiąc później. O całej sprawie dowiedział się jednak strona polska. Posła Otto Henryka zatrzymano na polecenie biskupa Dantyska i wypuszczono dopiero po zakończeniu obrad sejmu. Tym samym uniknięto skandalu i niepotrzebnego rozgłosu.

Zygmunt uznał zapewne w tym momencie, iż młody palatyn zapomni o sprawie. Otto Henryk jednak niedługo po tym wydarzeniu ponownie upomniął się o posag babki. Na początku marca poirytowany sytuacją monarcha wysłał list do palatynów, w którym stwierdził, iż nie rozumie, dlaczego bracia wciąż upominają się o dług.

W sposób wypełniono zapisy intercyzy ślubnej dotyczące posagu, chociaż

nie zachował się w tej sprawie żaden dokument. Zygmunt uznał także, iż przedawnienie umarza tego rodzaju zobowiązania. Spór trwał jednak nadal. Na początku września palatyni wysłał kolejny list do Zygmunta, w którym chcąc wyjaśnić kwestię posagu, prosili o wyznaczenie terminu i miejsca spotkania z królem.

Wodpowiedzi monarcha stwierdził, iż w sprawie posagu nie zmienił zdania, a co do spotkania to jest ono niemożliwe z powodu pory zimowej i grożącej wojny z Wielkim Księstwem Moskiewskim. Jednakże Stary obiecał, iż po powrocie do Polski wyznaczy termin, by ostatecznie porozumieć się z palatynami.

Z4 stycznia 1534 roku pochodzi list biskupa Jana Chojeńskiego do Jana Dantyszka, w którym nadawca informuje polskiego dyplomata, iż palatyni Otto i Filip chcą się spotkać z Zygmuntem Starym nie tylko w sprawie posagu, ale być może mają zamiar „starać się o rękę jednej z królewien”. Jak widać, palatyni szukali każdego pretekstu. Ten wybieg nie przyniósł jednak oczekiwanych skutków. Wręcz przeciwnie. Na dworze polskim rozeszła się plotka (o której rozpowszechnienie podejrzewano Fryderyka II – hrabiego Palatynatu), iż brat Otto Henryk cierpi „na nieuleczalną chorobę francuską”. Poza tym, jak się wydaje, propozycji takowego mariażu strona polska nie brała poważnie pod uwagę. Chociażby z tego powodu, iż znana była dworowi polskiemu kiepska sytuacja materialna braci.

Wpaździerniku 1535 roku palatyni ponownie wysłali list do króla z prośbą o spotkanie. Monarcha ponownie tłumaczył się brakiem czasu z powodu wojny. Wyjątek uczynił dla swojej

córki ze względu na jej ślub z margrabią Joachimem. Jednak zaraz po uroczystości powrócił na Litwę. Ponownie obiecał, iż po zakończeniu konfliktu „ze schizmatykami” określi czas i miejsce spotkania.

Wlistopadzie roku 1536 Zygmunt, wracając z Litwy do Krakowa, otrzymał list od Otto Henryka, w którym ten informował monarchę o planach przyjazdu do Polski. W związku z tym palatyn prosił o glejt. 28 listopada biskup Dantyszek został poinformowany przez Bartłomieja Schrenka, iż Otto Henryk wyruszył już w drogę do Krakowa, również i w imieniu brata, który w tym czasie rządził palatynatem.

Zlistu z 4 grudnia króla Polski do Ottheinricha jasno wynika, iż monarcha nie odpowiedział na zapowiedź przyjazdu palatyna do Krakowa. Otto Henryk tym samym, nie czekając na glejt, wyruszył z własnej inicjatywy do Polski. Kiedy informacja ta doszła do króla, ten rozumiejąc, iż nie pozbędzie się palatyna, wysłał do niego kurtuazyjny list, w którym stwierdził, iż chciał wysłać Henrykowi (oraz jego bratu) zaproszenie, jednakże ten już wyruszył w drogę. Wobec zaistniałych okoliczności wita go w Polsce i wysyła na granicę przewodników. Mowa tu oczywiście o Będzinie. Stąd do krakowskiej rezydencji miało towarzyszyć mu przeszło tysiąc jeźdźców z czterema polskimi dostojnikami na czele.

Pod koniec grudnia palatyn dotarł do Krakowa. 13 stycznia 1537 roku Zygmunt Stary podpisał w końcu dokument uznający reskrypt. Według porozumienia dług miał być wypłacany w ratach. Pierwszą z nich osobiście otrzymał Henryk. Dalszych sześć miało zostać dostarczonych do

Norymbergii. Cztery dni później palatyn opuścił ówczesną stolicę Polski. Zygmunt Stary poprosił jednak Ottheinricha o wyświadczenie pewnej przysługi.

Chodziło o to, by Otto udał się w „delikatnej misji” do Berlina, do zięcia króla Polski, a mianowicie księcia Brandenburgii Joachima II. Jaki był powód owej „delikatnej misji”? Tego niestety nie wiadomo. Prawdopodobnie chodziło tu o Jadwigę, córkę Zygmunta Starego, a żonę Joachima. Otóż książę cieszył się sławą utracjusza w Polsce, jego zaś zaślubiny do zbytku (zwłaszcza do złota i srebra) było w Koronie powszechnie znane. Doświadczył tego chociażby Seweryn Boner (kasztelan biecki i żupnik krakowski), któremu pomimo licznych nalegań elektor nie chciał zwrócić pożyczonych 5000 złotych. Jeszcze w lipcu 1536 roku Zygmunt za pośrednictwem Albrechta, księcia pruskiego starał się wpłynąć na Joachima, by ten zabezpieczył wiano swej żony. Król Polski obawiał się o byt materialny swojej córki. Nawet po ślubie Jadwigi z Joachimem ojciec interweniował w jej sprawie, by jego córka mogła mieć ze sobą polski dwór lub też sposobność nauczania się języka niemieckiego. Zygmunt Stary, wysyłając Ottheinricha do Berlina chciał zapobiec skandalowi, który mógłby mu zaszkodzić i postawić w niezręcznej sytuacji.

Cala ta historia ma niezwykle znaczenie dla dziejów Będzina. Nie znamy szczegółów spotkania orszaku Ottheinricha z jego mieszkańcami, znamy natomiast – dzięki rachunkom ze stołu królewskiego (uczta na Wawelu w styczniu 1537 roku) – skład kilkudziesięcioposobowego orszaku. Otóż, znajdował się w nim nadworny malarz palatyna Mathias Gerung (ok. 1500–1570). To on wziął w podróż szkicownik, w którym uwiecznił wszystkie odwiedzane po drodze miasta, prawdopodobnie miejsca postoju. Po powrocie do domu wziął się do pracy, której efektem jest niezwykle album zawierający niemal topograficzne, wierne widoki 70. miast środkowoeuropejskich (dzisiejsza Polska, Czechy oraz Niemcy), w tym dla 65 z nich są to absolutnie najstarsze wizerunki, niekiedy zaś jedyne powstałe przed erą fotografii. Położony na drodze przemarszu (i to dwukrotnie, w drodze do i z Krakowa) Będzin miał niezwykle szczęście, że znalazł się w szacownym gronie takich miast, jak Kraków, Praga, Pilzno, Wrocław czy Berlin.

Pierwszy wizerunek Będzina
sporządzony przez
Mathiasa Gerunga



Rok 1228 przyniósł pierwszą potwierdzoną informację o Milowicach. Na początku XIII wieku książę Polski Leszek Biały nadał wioskę notariuszowi księcia Henryka Brodatego Mikołajowi jako wynagrodzenie za sojusz śląsko-małopolski. Jak wiemy z dokumentu księżnej krakowskiej Grzymisławy z 1228 roku, Milowice wraz z innymi dobrami Mikołaja stały się podstawą fundacji jednego z najsłynniejszych klasztorów cysterskich na ziemiach polskich – opactwa henrykowskiego.

Od XII wieku na tym obszarze rozwijała się wieś przynależna do ziemi krakowskiej. W XIII wieku Milowice, należące do klasztoru henrykowskiego, miały dwór, dwa młyny i 12 łąnów ziemi uprawnej, czyli ponad 200 hektarów. Zapewne Cystersi przynieśli tu wezwanie – „módl się i pracuj”, które przez wieki towarzyszyć będzie rozwojowi osady. Mnisi byli także nosicielami postępu i dzięki nim Milowice otrzymały młyn. Za ich też sprawą znalazła się na tych ziemiach rodzina Brukałów, których dziad Boguhwał wypowiedział pierwsze zapisane zdanie w języku polskim.

W1280 przeszły w ręce norbertanów z Wrocławia (klasztor św. Wincentego), a klasztor henrykowski wyraził zgodę na lokację osady na prawie niemieckim. Pozostając przez pół wieku w rękach rycerskich



Legendamy początek Milowic wiąże się z dokumentem z 1105 roku, w którym wśród posiadłości klasztoru tynieckiego wymieniono wieś Milej. Wspomniany dokument jest wprawdzie falsyfikatem, ale był sporządzony na podstawie autentycznego dokumentu z lat 1123–1125. Czy nazwa Milej jest tożsama z dzisiejszą dzielnicą Sosnowca, trudno stwierdzić, bo nie wiemy, co jest fałszywe w dokumencie. Niewątpliwie nazwa Milej jest pochodzenia patronimicznego i wywodzi się od imienia Mił. Stąd pierwotna nazwa osady Milejowice przekształcona z czasem na obecną – Milowice.

opisuje Milowice jako osadę o 3-łanowym sołectwie, z karczmą, młynem, 14 łąnami kmiecymi i zagrodniczymi. Ta wieś z ziemi krakowskiej, a od XIII wieku śląskiej (kolejno księstwa opolskie i bytomskie), ostatecznie weszła w skład księstwa sie-

na pograniczu Królestwa Polskiego. XIX wiek zmienił ich oblicze. Siedem wieków związków osady z rolnictwem zakończyła działalność jednego z pionierów industrializacji ziem polskich, dziedzica Milowic Józefa Bleszyńskiego, który wy-

Milowice – IX wieków historii

Maja Barańska, Dariusz Nawrot

(w zapisach pojawiają się m.in. Adyk, Jan Złotousty, Piotr z Paniów), ponownie od połowy XIV wieku aż po koniec wieku XVI były własnością norbertanów. Cztery wieki historii Milowic połączyły je nierozdzielnie z historią kościoła na ziemiach polskich, bo położone były na terenie dekanatu sławkowsko-bytomskiego, należącego do diecezji krakowskiej, a znajdowały się w okręgu parafialnym miejskiej parafii św. Małgorzaty w Bytomiu. Dopiero w XV wieku przyłączono je do parafii w Czeladzi, pod wezwaniem św. Stanisława Męczennika.

W połowie XV wieku nasz najsłynniejszy kronikarz Jan Długosz

wierskiego należącego do biskupów krakowskich. Pozostała w nim do ostatniego rozbioru Rzeczypospolitej w 1795 roku. U schyłku średniowiecza i w następnych wiekach były dobrze rozwinięta osadą. Doliczając do 14 łąnów ziemi nieużytki, łąki i obszary zalesione, 12-łanowy folwark i 3-łanowe sołectwo, możemy stwierdzić, że zajmowała około 800 hektarów. Liczba mieszkańców wynosiła zapewne ponad 100 osób. Od XVII wieku wieś była własnością szlachecką.

Krótki okres panowania pruskiego (1795–1806) przerwało powstanie Księstwa Warszawskiego. Od 1815 roku Milowice znajdowały się

korzystał światową koniunkturę na cynku i w 1822 założył tu hutę cynku Leopold oraz kopalnię węgla Wiktor. Jeszcze w 1827 roku było tu 29 dymów i 164 mieszkańców, ale ich liczba zwiększyła się szybko dzięki zatrudnieniu w rozwijającym się przemyśle. W II połowie XIX wieku powstała huta Aleksander. Milowice stały się terenem penetracji kapitału niemieckiego i francuskiego (Towarzystwo Kopalń i Zakładów Hutniczych Sosnowieckich). Industrializacja niesła jednak i koszty. W 1872 r. odbył się tu pierwszy strajk na ziemi zagłębiowskiej przeciwko bezprawnemu przedłużaniu dnia pracy w kopalni.



1937. powstała tutaj samodzielna parafia.

Druża wojna światowa to pamiętna likwidacja pierwszego patrolu niemieckiego, który wjechał do dzielnicy, ale też chlubna działalność konspiracyjna i historia obozu dla jeńców angielskich, pra-

Ekonomicznej (KSSE). To oznaczało szansę na rozwój i inwestycje: w 1998 roku rozpoczyna się budowa potężnego zakładu masarskiego (dzisiaj przeżywającego potężne problemy – przyp. red.). W 2001 roku na granicy Milowic, obok drogi ekspresowej S86, otwarto hipermarket. Niebawem na pokopalnianym terenie powstaje inny zakład. W kwietniu 2007 roku tuż obok pojawia się najnowocześniejsza w Polsce drukarnia prasowa.

W 2005 r. Milowice obchodziły 900-lecie istnienia. Inicjatorami uroczystości byli działacze Towarzystwa Przyjaciół Milowic i ks. Leonard Sobczyk, proboszcz parafii pw. Matki Boskiej Szkaplerznej. Pokazała ona moc lokalnej tożsamości – milowiczanie chętnie pomogli w organizacji uroczystości, a także zebrali dużo pamiątek związanych z dzielnicą. Pokazano je później na wystawie w hali „Płomienia”.

XIX wiek to piękna karta osady w polskich zrywach narodowych. Tę ziemię zrosiła krew powstańców listopadowych i styczniowych przedzierających się przez granicę i tu toczących boje z oddziałami rosyjskimi. Ich ciała spoczywają w kurhanie z kapliczką św. Jana. Tradycja niepodległościowa przyświecała milowiczantom wspierającym powstańców śląskich. Rok 1919, 1920 i 1921 to trzy lata płonącej granicy, walk, ostrzału artyleryjskiego. Niepodległą Rzeczypospolitą uczczono tutaj w 1920 r. zasadzeniem 4. Dębów Wolności.

Jeszcze w 1915 roku podczas okupacji niemieckiej Milowice włączono do Sosnowca. Więź tę utrwaliła wybudowana w 1935 roku linia tramwajowa.

Historia Milowic to nie tylko przemysł. W 1929 roku – początki milowickiego „Płomienia” – robotniczej sekcji sportowej (w 1979 roku siatkarze „Płomienia” zdobyli Puchar Europy Mistrzów Krajowych). W roku

cujących w kopalni.

Po II wojnie światowej nastąpił dalszy rozwój przemysłu. To nowe osiedla bloków i domów. Tendencję rozwojową dzielnicy zatrzymano, gdy w 1996 r. ostatecznie zlikwidowano kopalnię przez lata budując dumę i tożsamość mieszkańców. To spowodowało znaczny wzrost bezrobocia i pogorszenie warunków bytowych. Jednak już kilka lat później pojawiła się nadzieja: w Milowicach utworzono część sosnowieckiej podstrefy Katowickiej Specjalnej Strefy



Mecz piłki nożnej na boisku obok kopalni „Saturn”, lata trzydzieste ub. wieku



650 lat Będzina

Jarosław Krajniewski

Wybór miejsca pod gród – jak pisał przed laty Marian Kantor-Mirski, piewca ziemi będzińskiej – nie był przypadkowy. Tędy biegła droga wodna, prowadząca z Przemszy na Wartę, jako rozwidlenie szlaku morawskiego, który przy źródłach Odry dzielił się na szlak wrocławski i krakowski, dążący przez Czechowice na Śląsku do Wisły. Szlak krakowski pod Oświęcimiem znów się rozdzielał. Jedna odnoga prowadziła przez Będzin do Warty. Pod górą będzińską, Przemsza przełamując wał wzgórz olkuskotamogórskich, tworzyła zalew, gdzie gromadziły się skutry, komiegi, dubasy i czołna handlowe bractwa wodnego...

Będzin skończył właśnie 650 lat. Doskonale pod względem strategicznym usytuowany cypel skalny, ostrym kątem wrzynający się w zakole Rzeki, od tysięcy lat stanowił doskonale miejsce do zamieszkania.

Już u zarania naszej państwowości prapolscy Wiślanie ze szczytu cypla patrzyli hen w zachodnie, śląskie krainy. Miejsce z natury obronne umocnili w IX wieku potężnymi wałami, częściowo zachowanymi do dziś.

Kiedy Kazimierz Wielki rzekł się Śląska, musiał jakoś zabezpieczyć zachodnią granicę młodego państwa. Jego spojrzenie skierowało się na pograniczną osadę, w której wznosił murowany zamek i której 5 sierpnia 1358 roku nadał przywilej lokacyjny. Pograniczne położenie Będzina przez całe wieki wpływało na rozwój miasta – z jednej strony mógł się rozwijać handel, z drugiej zaś każda wroga armia maszerująca na stołeczny Kraków musiała tędy przechodzić. Tak tedy kolejni, jagiellońscy i elekcyjni monarchowie, dbali

o miasto, obdarzając różnymi przywilejami. Pozwolono także osiedlić się ludności żydowskiej, która w przyszłości spowoduje, że Będzin zostanie Małą Jerozolimą Zagłębia. Stan szczęśliwości nie może jednak trwać wiecznie i miasto opromienione chwałą Zamoyskiego i Czarnieckiego, splądrowane przez Szwedów, w labędzim śpiewie króla Jana maszerującego pod Wiedeń zmierzało ku przeznaczeniu.

Kres szlacheckiej Rzeczypospolitej, koniec monarchii, najpierw pruski, a potem rosyjski zabór – wszystko to spowodowało głęboki upadek miasta, które zaczęło wracać do życia w drugiej połowie XIX stulecia. W tym czasie Żydzi coraz bardziej dominowali w obrazie miasta. To synagoga stała się obok zamku najbardziej reprezentacyjną i najczęściej fotografowaną budowlą miejską. Dwudziestoletni rozejm między dwoma strasznymi etapami największej wojny w dotychczasowych dziejach świata nie zwiastował nadciągającej katastrofy.

Miasto Chwili. Chwila pierwsza miała miejsce w szabasowy wieczór okupacyjnej rzeczywistości. Niemcy do Będzina wkroczyli w poniedziałek 4 września, a już w piątek otoczyli kwartał miasta z synagogą i szkołą bejtmidrasz i podpalili go. To był drugi raz – po sławnych układach polsko-austriackich z 1589 roku – kiedy miasto znalazło się na kartach Historii. Chwila druga zdarzyła się w sierpniu 1943 roku, kiedy Niemcy postanowili ostatecznie zlikwidować będzińskie getto. Jego zagłada to śmierć miasta, które od tamtej pory ma problemy z tożsamością. Coś pękło, coś się zmieniło. Może w tym historycznym sierpniu powinniśmy obchodzić... 65-lecie miasta?...



Chwilę trzecią odnajdziemy spacerując smutnymi uliczkami, gdzie w każdym zaułku czyha Historia. Warto przysiąść na parkowej ławeczce, zamknąć oczy i zanurzyć się w otaczającej Górę Zamkową mglistej pomroce dziejów. Może zobaczymy wówczas ten gród, usłyszymy naszych przodków wznoszących drewniany gród, kamienny stół, potężną warownię czy wreszcie murowaną świątynię. Ich kości spoczywają na którymś z położonych na cyplu cmentarzy – może tym wczesnochrześcijańskim, może wo-



Wizualizacja rycerskiego miasteczka u stóp Zamku

kół kościoła albo tym nowożytnym, może wreszcie na żydowskim kirkucie.

Miasto Nadziei. Nadejdzie kiedyś czas, może nas nie będzie, ale Będzin będzie – powiedział kiedyś prezydent miasta Radosław Baran. Na jego 600-lecie odbudowano zamek, a dziś? Tylko Góra Zamkowa to swoisty skansen archeologiczny, historyczny i kulturowy. To atuty których nie można nie zauważyć. Dziś Będzin jest na zakręcie historii. Miasto niegdyś handlowe, stolica regionu... Pozostaje jednak nadzieja związana ze wszystkim, co ludzie lubią robić w wolne popołudnia, weekendy czy podczas urlopów. Tutaj właśnie ów potężny będziński potencjał może być wykorzystany. Istnieją już fantastyczne projekty dotyczące przyszłego wyglądu Będzina, czy też raczej jego historycznego centrum.



Ul. Berka Joselewicza

Na przełomie XIX/XX w. przyjeżdżały tu tłumy wycieczkowiczów. Według jednej z miejscowych gazet każdego tygodnia do miasta przybywało od 3 do 6 tysięcy osób, nie tylko z Górnego i Dolnego Śląska, ale i odległych części Niemiec oraz całej Europy.

Trójkąt Trzech Cesarzy

Zbigniew Studencki

Leży tam, gdzie Biała i Czarna Przemsza łączą nurty, by płynąć dalej do Wisły już jako Przemsza. To styk granic trzech niegdyś państw: Austrii, Prus i Rosji.

Historia Trójkąta sięga I. połowy XVIII wieku. W 1742 roku w wyniku wojny prusko-austriackiej, tzw. pierwszej wojny śląskiej, Prusy na mocy traktatu pokojowego zawartego z Austrią we Wrocławiu, otrzymały większą część Górnego Śląska. W rezultacie Czarna Przemsza stała się granicą państwową oddzielającą Prusy najpierw od Księstwa Siewierskiego, a od 1790 roku – po jego połączeniu z ziemiami polskimi – od Rzeczypospolitej.

Kilkadziesiąt lat później, w październiku 1795 roku, konwencja trzeciego rozbioru Polski przyznała Prusom m.in. ziemie Księstwa Siewierskiego. W wyniku tego granica państwa pruskiego została przeniesiona daleko poza Czarną Przemszę. Austrii przypadła natomiast Małopolska wraz z Krakowem.

W 1807 roku Czarna Przemsza ponownie stała się granicą, która oddzielała Prusy od Księstwa Warszawskiego. Wówczas to na mocy traktatu zawartego w Tylży przez Napoleona I. Bonaparte z Rosją i Prusami z ziem II. i III. zaboru pruskiego utworzono wspomniane Księstwo. Epoka napoleońska zakończyła się definitywnie na kongresie wiedeńskim w maju 1815 roku. Rosja, Prusy i Austria zawarły tam porozumienie, w wyniku którego doszło do nowego podziału Europy: powstały wówczas m.in. Królestwo Polskie, zwane też Kongresówką i Wolne Miasto Kraków, czyli Rzeczpospolita Krakowska, których granice spotkały się z granicą Prus właśnie w miejscu połączenia się Białej i Czarnej Przemszy.

W 1846 roku, po upadku powstania krakowskiego, terytorium Rzeczypospolitej Krakowskiej zostało przyłączone do cesarstwa Austrii. Od tego też roku, przez blisko 30 lat, miejsce styku państw rozbiorowych, tj. Prus (Mysłowice), Rosji (Niwka,

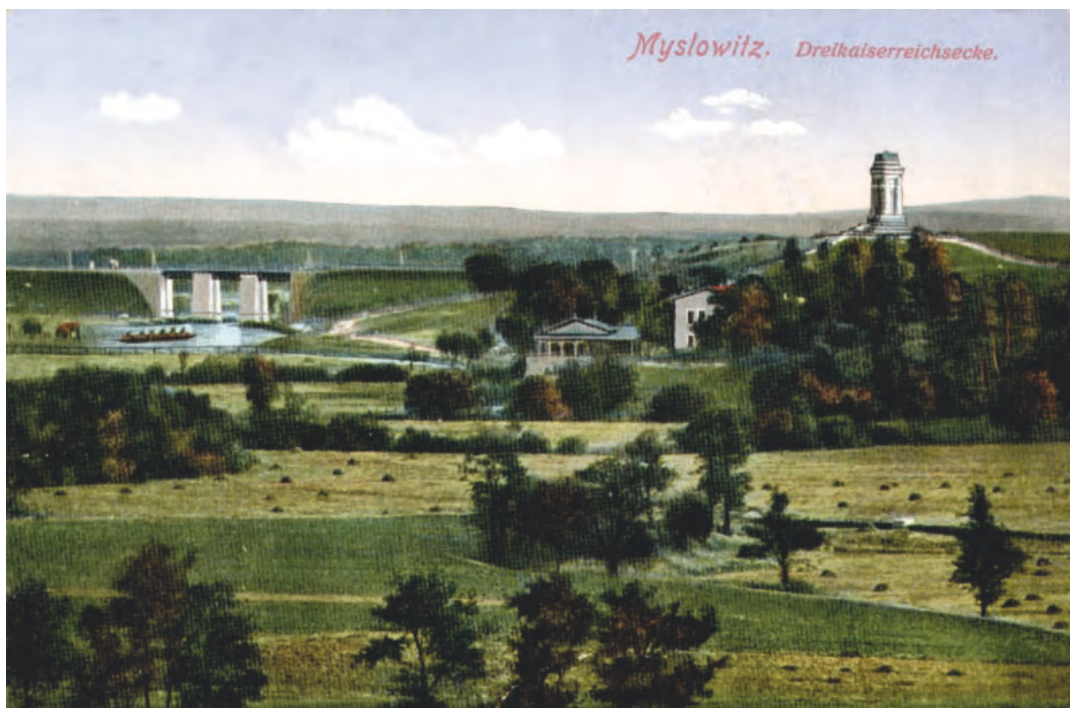
Modrzejów – obecnie Sosnowiec) i Austrii (Jęzor – obecnie Sosnowiec), nazywano „Drei Länder Ecke”. W połowie XIX w. nazwę tę przetłumaczono niezbyt fortunnie na język polski jako „Trójkąt Trzech Krajów”. Ze względu na to, że linie granic nie tworzyły trójkąta, to właściwa nazwa winna brzmieć „Kąt Trzech Krajów”. Do zmiany nazwy tego historycznego miejsca doszło po wojnie prusko-francuskiej, gdy w 1871 roku nastąpiło zjednoczenie Niemiec pod przewodnictwem Prus oraz powstała Rzesza Niemiecka. W tym samym roku odbyła się koronacja króla Prus Wilhelma I na cesarza niemieckiego i w ten sposób pojawił się on obok cesarza Austrii oraz cara Rosji.

15 maja 1873 roku w wiedeńskim Pałacu Schönbrunn odbyło się spotkanie cesarza Austrii Franciszka Józefa I z carem Rosji Aleksandrem II. Zawarto wówczas konwencję, do której przystąpił wkrótce i cesarz Niemiec Wilhelm I. Porozumienie to stało się podstawą utworzenia tzw. Związku Trzech Cesarzy i dlatego też

dopiero od 1873 roku przyjęła się powszechnie używana nazwa „Drei Kaiser Ecke”. Podobnie jak wcześniej, przetłumaczono ją niewłaściwie jako „Trójkąt Trzech Cesarzy” (nazwa ta przyjęła się także w okresie II Rzeczypospolitej, tj. w latach 1918–1939), a nie jako „Kąt Trzech Cesarstw”, tj. „Drei Kaiserreichs Ecke”, który to napis umieszczony jest na zdecydowanej większości wydawanych w tym okresie widokówek.



Ten „Trójkąt” lub też „Kąt” stał się głośny i znany w całej Europie aż do zakończenia I wojny światowej. Klęska Niemiec, rozpad Austro-Węgier, rewolucja w Rosji, powstania śląskie 1919–1921, plebiscyt na Górnym Śląsku, spowodowały, że w 1922 roku przestały istnieć granice między państwami zaborczymi, a tym samym i „Trójkąt Trzech Cesarzy”, który wywarł ogromny wpływ na rozwój pogranicza i leżących na nim osad, wsi i miast, takich jak np. Sosnowiec. Wpłynął także na losy nie tylko setek tysięcy, ale nawet milionów osób, które udawały się z Mysłowic w „podróż życia” do zachodniej Europy i obu Ameryk w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków bytu. Ze statystyk wynika, że od II połowy XIX w. aż do I wojny światowej z myśłowickiego dworca kolejowego odjechało około 2,5 mln osób i miasto to było w tym czasie jednym z największych rynków siły roboczej w Europie. Teren „Trójkąta” (dotyczy to zwłaszcza Mysłowic i jego najbliższych okolic), był atrakcją turystyczną.



Muzeum w Sosnowcu obecnie realizuje trzyletni projekt, na który składają się m.in. publikacje, konferencje naukowe, ekspozycje, konkursy i wykłady. 6 listopada ub. roku z okazji 90. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości w Muzeum udostępniono wystawę „Trójkąt Trzech Cesarzy”, na którą składają się dokumenty, fotografie, mapy, repliki mundurów żołnierzy państw za-

borczych, widokówki, znaczki, banknoty, monety itp. Wielką atrakcją jest makieta o wymiarach 5 m x 2 m ukazująca w skali 1:200 tereny u zbiegu Białej Przemszy i Czarnej Przemszy przed 100 laty. Tego samego dnia odbyła się Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Granice w Europie. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do Traktatu w Schengen” z udziałem m.in. naukowców z Niemiec, Francji,

Czech i Polski oraz muzealników z kraju i zagranicy.

Historia Trójkąta może stać się świetnym elementem promującym sąsiedzkie miasta i region, ale też stanie się on, tak jak przed 100 laty, niezwykle atrakcją turystyczną.

Pocztówki ze zbiorów Muzeum Miasta Sosnowca.



ZŁOTO MIECZYŚLAWA

ŻUK GNOJAK TOCZY POD GÓRĘ ZŁOTĄ KULĘ. ZŁOTO JEST
 JUŻ SAMO W SOBIE SZLACHETNYM DESTYKATEM. ZMATERI-
 ALIZOWANA EMANACJA a ZARAZEM OCZYSZCZONA Z N-
 ALOTÓW PIGMENTU ESENCJA. JEST PROBIERZEM DLA KAŻDE-
 GO CIAŁA KTÓRE SIĘ Z NIM STYKA. ZŁOTO JEST PRZEWROTNYM M-
 EDCHEM KTÓRY CIĘ, NICZEGO **NIE** NAUCZY JEŚLI TEGO NARAWIE,
 NIE CHCESZ. ZŁOTO POZOSTAJE NIEZMIENNE. OKREŚLA SIĘ ZAŚ KA-
 ŻDY KTO DOŚWIADCHA JEGO MOCY. TEN KTÓRY PRZYJMUJE JEG-
 O ŚWITŁO, **BLASKU** NIE TRACI A NAWEĆ POMNĄZI I TEN PORA-
 ŻONY SLEPOTA KTÓRY ZASIŁAŁA WY GŁUPCÓW. ZŁOTO DUCHO-
 WE I ZŁOTO SFERYSZOW-
 CJI. ZŁOTO. ZŁOTO OS-
 EC. ZŁOTY PROCH DR-
 PNIA: PIESŃ CYKAD-
 OKIEJ **BARWIE** PYŁA-
 OTA. **METALU** PIESŃ.
 PEŁNIA NIEBO. STRZE-
 DZWONKÓW, DZWONE-
 EŃCZA, SKLEPIA FIAM-
 AŁA SIĘ ŚWIATŁA LA-
 RZY. REZONUJE, STRO-
 Z UST PIESNIARZA. A
 CIAŁO DZWIĘKU. ZŁO-
 E GRANIA. **MUZYKA** NIEB-
 DZWIĘCZNE. BRZMIĄCE, DĄ-
 ZE ZŁOTYM HAUSZCEM. PIESNI A **RAZ** ŁĄCZY TE DZWIĘKI W S-
 NOPY, WIAŻE JE WSTĘGĄ MELODII I PODRZUCA W GÓRĘ. ZAN-
 IM POSYPIA SIĘ I SPADNĄ, UDERZA W SKONIECZNY DYSK, R-
 OZPRYSNĄ SIĘ, ROZŚWIETLĄ, SPĘYNA KASKADA ŚWIATŁA I
 WYPEŁNIA KONCHY DOLIN. ZŁOTY DESZCZ Z DŃA NIEBA NA
 NA ZIEMSKI FIAMAMENT. ABY **PO** CZASIE ZGASNĄĆ. ZG-
 NIĆ. SFERMENTOWAĆ, WCIĘĆ DO WNETRZA JASKIŃ, DO
 PODZIEMNYCH KOPALN. CZARNY CHEPRI TOCZY
 POD GÓRĘ. KRAWĘDZIA PIRAMIDY SŁOŃCA, ZŁO-
 TĄ KULĘ BOSKICH EKSKREMENTÓW.



Od kilku lat Instytut Fizyki Uniwersytetu Śląskiego i CERN łączą bardzo ścisłą współpracę w dziedzinie edukacji. Korzystając z poparcia Śląskiego Kuratorium Oświaty organizowane są co roku wyjazdy nauczycieli fizyki z naszego regionu na szkolenia prowadzone specjalnie dla nich w CERN.

Największa maszyna świata

Jerzy Jarosz

Wumiejscowionym 100 metrów pod ziemią LHC, w tunelu zataczającym olbrzymie koło od Jeziora Genewskiego aż do podnóża gór francuskiej Jury, uformowano pierwszą wiązkę protonów i przyspieszono ją do niewiarygodnej prędkości równej nieomal prędkości światła. Protony kolimowane (skupione w wiązki – przyp. red.) i prowadzone w wysokiej próżni przez 7000 potężnych, nadprzewodnikowych magnesów chłodzonych do temperatury -270°C , obiegają 27-kilometrowy obwód akceleratora ponad tysiąc razy w każdej sekundzie. Gdy w końcu zderzą się z protonami biegnącymi z taką samą prędkością w wiązce przeciwbieżnej, wyzwoli się energia, jakiej do tej pory nigdy nie uzyskano – energia bilionów elektronowoltów, docelowo sięgająca 14 TeV (tetraelektronovolt – przyp. red.). Takich zderzeń będzie ponad 600 milionów na sekundę. Wszystkie z nich nastąpią w czterech precyzyjnie zaplanowanych punktach – w centrum olbrzymich detektorów, które będą rejestrowały informacje o milionach nowych cząstek elementarnych, kreowanych z wyzwolonej energii.

Uruchomienie akceleratora opóźniło się prawie o rok. Jedną z poważniejszych przyczyn opóźnienia był wykryty w czasie testów błąd konstrukcyjny kwadrupolowych elektromagnesów nadprzewodnikowych. Ujawniona wada groziła całkowitym zniszczeniem elektromagnesów w przypadku ich wyjścia ze stanu nadprzewodnictwa. 9 września, kilka dni po uruchomieniu akceleratora, wydarzyła się pierwsza poważna awaria. Prace trwają i wkrótce można będzie rozpocząć ponowne schładzanie elektromagnesów do nieprawdopodobnie niskiej temperatury.

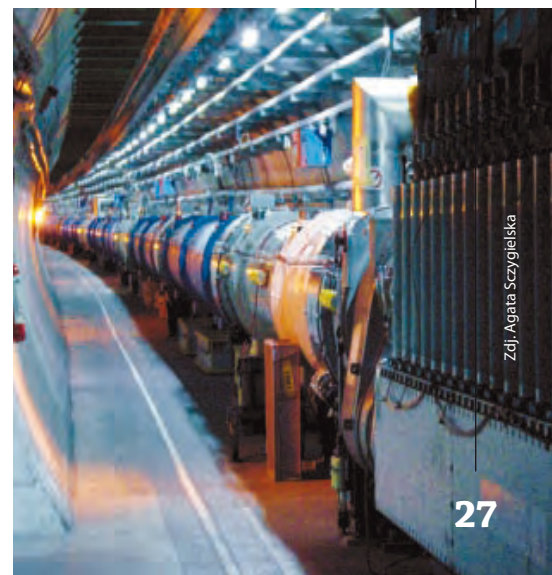
Energie uzyskiwane w najpotężniejszym do tej chwili akceleratorze, którym był Tevatron (nazwa pochodzi od osiągniętej po raz pierwszy energii rzędu TeV) pracujący w FERMI-LAB, są aż siedmiokrotnie niższe niż w LHC. Okazały się niewystarczające do potwierdzenia istnienia cząstki Higgsa. Amerykanie podjęli, co prawda, prace nad największym planowanym do tej pory akceleratorem umiej-

scowionym w Dallas, w Teksasie, który miał osiągać energię 40 TeV, jednak Kongres zdecydował o zaniechaniu prac nad jego budową.

Na przełomie marca i kwietnia ub. roku, tuż przed całkowitym zamknięciem dostępu do tunelu akceleratora i detektorów, CERN odwiedziła kilkunastuosobowa grupa uczonych i doktorantów z Instytutu Fizyki Uniwersytetu Śląskiego. Była jedną z ostatnich grup wizytujących CERN, które mogły zjechać pod ziemię i bezpośrednio zobaczyć to wszystko w ostatniej fazie budowy.

CERN jest niezwykle ciekawym miejscem, o czym nie trzeba przekonywać nikogo, kto spędził tam choćby jeden dzień. Jest tak nie tylko ze względu na olbrzymie możliwości użytkowanej tam, unikatowej i najbardziej na świecie wyrafinowanej aparatury badawczej, ale przede wszystkim ze względu na niezwykle klimat twórczej pracy, wyczuwalny natychmiast po przekroczeniu bram laboratoriów. LHC zbudowany wspólnym wysiłkiem państw europejskich dopiero zaczyna pracę, a tymczasem wiadomo już, że następnym krokiem będzie budowa wielkiego akceleratora liniowego. Czy warto budować takie maszyny? Co przyjdzie nam z odkrycia nowej cząstki? Nie wyobrażamy sobie nawet odpowiedzi na te pytania, ale – tak samo nie wyobrażał jej sobie Thompson, gdy w 1897 roku odkrył elektron...

Akcelerator LHC (Large Hadron Collider), to najbardziej skomplikowana maszyna, jaką kiedykolwiek zbudowała ludzkość. Czy spełni pokładane w niej nadzieje? Czego chcemy się dowiedzieć? Zweryfikować tak zwany Model Standardowy czyli opis budowy świata. Jednym z przewidywań Modelu jest istnienie nieodkrytej dotąd hipotetycznej cząstki Higgsa, odpowiedzialnej za masę materii. To pozwoli na lepsze zrozumienie istoty grawitacji, a być może wyjaśni, czym jest ciemna materia, która zdaje się wypełniać cały Wszechświat.



Zdjęcie: Agata Szczygińska

Jak pogodzić kilka pozornie nietożsamyh interesów: indywidualną potrzebę poznania ukochanej dziedziny wiedzy, określonych potrzeb regionu i państwa, i wreszcie – możliwości dydaktycznych uczelni? Jak to się udaje załatwić? Zapytaliśmy o to Rektora Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej, bo szkoła ta w rankingach niepublicznych uczelni wyższych organizowanych przez opiniotwórcze czasopisma: „Politykę”, „Rzeczpospolitą” i „Wprost” od dłuższego już czasu zajmuje czołowe miejsca w kraju (5–13) i regionie (bezwzględny prymat!)...

Milion w rozumie

Z prof. WSB dr Zdzisławą Dacko-Pikiewicz, rektorem Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej rozmawia Józef Kamiński

NOWE ZAGŁĘBIE: Pani uczelnia cieszy się zasłużoną renomą?

REKTOR WSB: Największym osiągnięciem naszej niepublicznej uczelni z 13-letnią tradycją jest wkład w zmianę krajo-brazu intelektualnego Zagłębia. Chcemy tu stworzyć interdyscyplinarny ośrodek akademicki związany z doskonaleniem gospodarki regionu. Realizacja tego daje szansę włączenia się w jeden z najistotniejszych obszarów procesu bolońskiego – kształcenie dla przyszłości ponad tradycyjnymi dyscyplinami naukowymi. Dzisiaj kształcimy na 6 kierunkach: zarządzanie, informatyka, socjologia, ekonomia, stosunki międzynarodowe oraz pedagogika. Na każdym z nich dostępne są różne specjalności, które umożliwiają studentom dopasowanie programu do własnych potrzeb i zainteresowań. Obecnie mogą wybierać spośród 49 specjalności (w tym m.in. na studiach inżynierskich: logistyka i transport, inżynier jakości, zarządzanie bezpieczeństwem i higieną pracy, sieci komputerowe, systemy bazodanowe, grafika komputerowa i multimedia).

Czy jest coś takiego, jak współzależność potrzeb kadrowych regionu z tworzonymi kierunkami studiów? Skąd czerpana jest w tym zakresie wiedza?

Kształcimy studentów, aby sprościli wyzwaniom tworzącego się nowoczesnego społeczeństwa. Priorytetową rolę spełnia w tym zakresie zarządzanie informacją oraz inicjatywy lokalne i obywatelskie. Wyższa Szkoła Biznesu poprzez rozszerzanie oferty edukacyjnej o nowe kierunki i specjalności dostosowane do dynamicznie zmieniających się potrzeb gospodarczych nadaje uniwersalny, interdyscyplinarny wymiar ofercie naukowo – dydaktycznej.

Szczegółową wiedzę z zakresu potrzeb regionu czerpiemy z analizy wyników realizowanych projektów badawczych tj. „Perspektywy edukacyjne młodzieży szkół ponadgimnazjalnych na przykładzie Miasta Dąbrowa Górnicza” oraz „Absolwenci wyższych uczelni ekonomicznych na rynku pracy w województwie śląskim

(marketingowa analiza segmentacyjna)”.

W ub. roku podjęliśmy zaawansowane działania mające na celu przyznanie uprawnień do nadawania stopnia doktora, które są pierwszym krokiem do stworzenia w Zagłębiu centrum akademickiego, kształcącego nie tylko studentów, ale również własną kadrę naukową. Należy pamiętać, że istnieje tutaj bardzo duże zapotrzebowanie na kadrę menedżerską dynamicznie zmieniającej się gospodarki, ze względu na fakt, że współczesne przedsiębiorstwo musi być elastyczne.

A jak Pani postrzega opiniotwórczą i kulturotwórczą rolę WSB w regionie?

Od początku istnienia podejmujemy działania na rzecz regionu włączając się w proces restrukturyzacji gospodarki i przekształceń własnościowych obejmujący komercjalizację i prywatyzację przedsiębiorstw państwowych, restrukturyzację wewnętrzną przedsiębiorstw oraz dokonujące się wraz z nimi przemiany społeczne w Zagłębiu Dąbrowskim.

Podejmujemy działania pozytywnie wpływające na społeczno-gospodarczy rozwój regionu. Wspólnie z Urzędem Miejskim w Dąbrowie Górniczej organi-

zujemy Festiwal Nauki, Szkołę Liderów oraz Dąbrowski Uniwersytet Dziecięcy. Do kluczowych przedsięwzięć opiniotwórczych przez nas inicjowanych należą cykliczne konferencje naukowe, seminaria i szkolenia z zakresu nauk technicznych, ekonomicznych i społecznych. Czynnie też współpracujemy z samorządem lokalnym zarówno przy realizacji inicjatyw społecznych, kulturalnych czy sportowych, ale także na płaszczyźnie badań naukowych. Od lat dużym zainteresowaniem mieszkańców cieszy się największy w regionie Festiwal Nauki. Ogromną wagę przywiązujemy do kształtowania społeczeństwa obywatelskiego. Projekt „Masz Głos, Masz wybór” realizowany we współpracy ze stowarzyszeniem Civitas oraz Fundacją im. Stefana Batorego to cykliczne spotkania z prezydentem Dąbrowy Górniczej, podczas których mieszkańcy uzyskują szczegółowe informacje o realizacji projektów w mieście a także zgłaszają własne propozycje i problemy do rozwiązania. Najświeższym pomysłem jest inicjatywa „Poznaj swojego posła” zakładająca comiesięczne spotkania z przedstawicielami Sejmu RP z naszego terenu.

Uczestniczymy w wielu projektach badawczych realizowanych w regionie, współorganizujemy liczne imprezy w porozumieniu z jednostkami samorządu terytorialnego, organizujemy konferencje naukowe dotyczące nowych technologii (m.in. „Internet w społeczeństwie informacyjnym”), promocji regionu oraz sytuacji na rynku pracy (Kongres „Edukacja–Praca–Kariera” połączony z Targami Pracy i Przedsiębiorców). Naszym sukcesem jest również pozyskiwanie znaczących środków z Unii Europejskiej. To właśnie dzięki nim uczelnia została rozbudowana oraz wyposażona w nowoczesne laboratoria i bibliotekę multimedialną, a także przygotowała cykl dofinansowanych przez UE studiów podyplomowych dla ponad 700 osób.

Dziękuję za rozmowę.



Rektor WSB dr Zdzisława Dacko-Pikiewicz

Przyjęcie euro jako waluty krajowej i to w 2012 roku stało się dzięki „politykom” takim wyznacznikiem postaw społecznych, jak nie przymierzając niegdysiejsze boje katolików z kalwinami, albo znacznie późniejsze – partyjniaków z solidaruchami. Więcej zacierzwienia niż wiedzy. Media też nie bez winy – poza masą banalów brak podstawowych informacji.

Jednym myśl ta spędza sen z powiek już od wejścia do UE, bo dla nich – jak piszą i mówią – to resztki suwerenności narodowej. Innym – od słów premiera Donalda Tuska, który zapowiedział euro we wrześniu tego roku na Forum Ekonomicznym w Krynicy. Najczęściej jako datę podaje się rok

silnym napięciom. Andrzej Sławiński, członek Rady Polityki Pieniężnej twierdzi, iż kryteria z Maastricht Polska niedawno spełniała. Problem w tym, że „niedawno” w obliczu obecnej sytuacji finansowej na świecie oznacza „bardzo dawno”. Najlepsi analitycy nie są w stanie przewidzieć, jak będzie wyglądała sytuacja w gospodarce amerykańskiej, czy spowolnienie wzrostu w Europie będzie trwałe i w jakim stopniu przełoży się na tempo wzrostu w Polsce. Bez własnego wkładu coraz trudniej uzyskać kredyt na mieszkanie, bo banki wymagają niesamowitych zabezpieczeń. Wiele przedsiębiorstw wstrzymuje produkcję a pracownikom grozi bezrobocie. Z Anglii i Irlandii wracają

na Malcie i Cyprze. Według danych Eurostatu, po wprowadzeniu euro w 2 krajach ceny konsumpcyjne wzrosły tylko o 0,3 punktu % w ramach 2,2% rocznej inflacji. Szczególnie bliski może być przykład Słowacji, która bardzo dobrze przygotowała się do kontrolowania wzrostu cen po wejściu do strefy euro, o czym świadczy najdobitniej brak jakichś drastycznych informacji stamtąd dobiegających po 1 stycznia br.

Trzeba jasno stwierdzić, iż przyjęcie wspólnej waluty niesie zarówno korzyści, ale i zagrożenia.

Bepośrednimi korzyściami, które dadzą się natychmiast odczuć, jest eliminacja kosztów transakcyjnych (wymiany złotego na inne wa-

EUROPROBLEM

Jadwiga Gierczycka

2012. Pewnie nie bez znaczenia dla determinacji rządu w podtrzymywaniu tej decyzji jest fakt, iż Słowacja wprowadziła europejską walutę już w styczniu br. I ma się dobrze.

Należałoby zatem odpowiedzieć na kilka pytań: co zrobić, żeby wprowadzić euro? Czy po jego wejściu nasza gospodarka dostanie napędu? Czego oczekuje rząd i ekonomiści z których każdy ma na ten temat odrębne zdanie? Czy nastąpi wzrost cen, którego obawiają się producenci i konsumenci?

Otym, czy dany kraj jest gotowy na wprowadzenie euro, decyduje osiągnięcie przezeń wysokiego stopnia spójności gospodarczej na podstawie wypełnienia czterech kryteriów: inflacyjnego, fiskalnego, stopy procentowej i kursu walutowego, zwanych często kryteriami z Maastricht.

Oceny dokonuje Komisja Europejska i Europejski Bank Centralny. Kryterium kursu walutowego wymaga uczestniczenia waluty danego kraju w europejskim Mechanizmie Kursowym – ERM II przez co najmniej dwa lata i poszanowania zwykłych marginesów wahań kursowych przewidzianych w tym systemie, tj. +/- 5% wokół parytetu centralnego, przy czym kurs waluty krajowej nie może podlegać

(co prawda – nie gremialnie) Polacy, bo i tamtejsze firmy też ograniczają zatrudnienie. Wprawdzie znaczna inflacja w Polsce spowodowana była wzrostem cen żywności, surowców i cen kontrolowanych, jednak czy kryzys ma charakter przejściowy, czy wszystkie wymienione tendencje będą krótkotrwałe?

Odpowiadając na pierwsze pytanie, można stwierdzić, że jeżeli kryzys jest krótkotrwały (w co trudno uwierzyć), to 2012 rok jest możliwą datą przyjęcia euro przez Polskę – oczywiście po spełnieniu kryteriów konwergencji i dwuletnim okresie przebywania w ERM II.

Co się tyczy konsumenckich obaw dotyczących wzrostu cen, to wszystko zależy od dobrego przygotowania instytucji, których zadaniem jest ochrona praw nabywców oraz – generalnie – ochronnej, odpowiedzialnej i skutecznej polityki państwa wobec własnych obywateli.

Metody chroniące przed ukrytymi podwyżkami cen okazały się skuteczne w krajach, które przyjęły wspólną walutę. Euro wprowadzono do obiegu gotówkowego w 2002 roku w 2 krajach „starej” Unii (bez Wielkiej Brytanii, Danii, Szwecji), w 2007 roku w Słowenii, w 2008 roku

luty), eliminacja ryzyka kursowego i spadek stóp procentowych. W długim okresie można osiągnąć wzrost stabilności gospodarki, wzrost stopy inwestycji, ożywienie wymiany handlowej i wzrost konkurencyjności polskich przedsiębiorstw, co w perspektywie przełoży się na wzrost gospodarczy. Rezygnacja z własnej waluty przynosi jednak pewne koszty. Przeciwnicy wprowadzenia euro jako główny koszt, a jednocześnie zagrożenie wskazują na rezygnację z niezależnej polityki pieniężnej i kursowej. Polityka taka prowadzona jest na szczeblu Wspólnoty. Innymi kosztami są: przystosowanie do euro systemów informatycznych, koszty szkolenia pracowników, przystosowania urządzeń (bankomatów, automatów do sprzedaży towarów), utraty przez banki części dochodów z transakcji wymiany walut.

Sądzę, że w tej materii jest jednak więcej plusów niż minusów i euro należy wprowadzić do polskiej gospodarki. Jeżeli kryzys finansowy nie będzie długotrwały a sytuacja na rynkach ustabilizuje się, to rok 2012 wydaje się trudny, ale możliwy do osiągnięcia.

Z jednej strony ulga, że nie ma gwałtownych tąpnięć i meble stoją spokojnie. Zabrakło raptownie pojawiających się rozpadlin w ziemi, a nocami nie słychać podziemnych strzelań ścian i chodników. Ale z drugiej – żal odświeżonej otoczki, zdobnej w kogucie pióra górniczych czak, dźwięku orkiestr budzących w barbórkowy ranek, znikłych nagle z naszego pejzażu szybów kopalnianych, a nawet górników wracających z szychty o niedokładnie wymytych twarzach i węglowych obwódkach wokół oczu, skutkiem czego wzbudzali nieklamany zachwyty kochających inaczej...

ZMIERZCH GIGANTÓW

Andrzej Sawicki



Zdjęcie ze zbiorów Stanisława Góry

Zagłębiowskie górnictwo w swych prapoczątkach dobywało tzw. galman, czyli rudę cynkowo-ołowianą. Największe złoża znajdowały się na obrzeżach regionu. Węgiel wkroczył na scenę, kiedy okazał się przydatny do wytopu wspomnianych metali i na długie lata utrwalił dominującą pozycję w przemyśle, ale też ukształtował zagłębiowski krajobraz i narzucił socjalne uwarunkowania. Po powstaniu styczniovym większość kopalń pozyskiwała już tylko węgiel stosując techniki głębinowe, w miejsce częstych do tej pory odkrywek. Początkowo nieprzekraczalną granicę wydobywania stanowiły wody gruntowe, ale po wynalezieniu i zastosowaniu różnego rodzaju pomp, w pierw napędzanych końskim kieratem, a później już mechanicznych, zstępowano z eksploatacją coraz niżej. Najgłębszym zakładem wydobywczym w naszym re-

gionie była „Niwka-Modrzejów”, która w niweckim ruchu w końcowym okresie w latach 90. ub. wieku wydobywała węgiel aż z poziomu 900 m, a zapuszczała się chodnikami i ścianami jeszcze niżej. **O**d połowy XIX wieku rozwój górnictwa węglowego przybrał na tym terenie charakter lawinowy. Jedne kopalnie budowano, inne plajtowały, lecz stale ich przybywało. Wokół nich powstawały jak grzyby po deszczu osady górnicze. Po uruchomieniu Żelaznej Drogi Warszawsko-Wiedeńskiej oraz Iwangrodzko (Dęblin)-Dąbrowskiej okazało się, że Zagłębie zewsząd jest opasane koleją, co sprzyjało wywozowi tutejszych surowców i innych produktów. W mgnieniu oka wyrosły dwa, do dzisiaj największe i dotąd spierające się o prymat, regionalne centra miejskie: Dąbrowa Górnicza i Sosnowiec – ten z racji bliskości granicy szybko zyskał na rozmiarach i znaczeniu.

Jednak jądrem i solą tej ziemi było od połowy XIX. po koniec XX wieku górnictwo węgla kamiennego. Różnie mu się powodziło w tym czasie, ale dla żyjących współcześnie było „od zawsze”. Było taką samą oczywistością, jak pory roku. Z różnych kryzysów: gospodarczych i wojennych wychodziło obronną ręką, bo węgiel był zawsze potrzebny – nawet okupantom.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a zatem w szczytowym okresie węglowej prosperity dziewięć kopalń zgrupowanych w Dąbrowskim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego wydobywało rocznie ponad 2 miliony ton czarnego kruszcu. A były to następujące zakłady wydobywcze (nazwy używane po 1990 roku): „GRODZIEC” w Będzinie, „JOWISZ” w Wojkowicach, „KAZIMIERZ-JULIUSZ”, „SOSNOWIEC”, „NIWKA-MODRZEJÓW”, „MORTI-

MER-PORĄBKA” w Sosnowcu, „PARYŻ” w Dąbrowie Górniczej oraz „SA-TURN” z dwoma ruchami w Czeladzi i jednym – milowickim w Sosnowcu. Do DZPW przypisano też (ze względów gospodarczo-politycznych – sic!) kopalnię „SIEMIANOWICE”.

Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych ub. wieku nikomu się nie śniło, że tak wrośnięte w zagłębiowski krajobraz przedsiębiorstwa przestaną kiedykolwiek istnieć, chociaż już w latach sześćdziesiątych, w wielkiej tajemnicy przebąkiwano o końcu wydobywania w KWK „Sosnowiec” około roku 2000. Oficjalnie jednak tego nie rozgłaszano, bo członkiem podstawowej organizacji partyjnej PZPR był w tej kopalni nie kto inny, jak Edward Gierek.

Trzeba też pamiętać, że zakłady wydobywcze spełniały wiele ubocznych, lecz niezwykle istotnych funkcji. Bez przesady można stwierdzić, że organizowały wokół siebie całą przestrzeń socjalną nie tylko swoim załogom, ale też ludziom nie związanym zawodowo z górnictwem. Dzięki nim we wszystkich dzielnicach tutejszych miast działały dziesiątki domów kultury z setkami grup zainteresowań i dziesiątkami tysięcy uczestników. Do legendy przeszły wyczyny sportowe lokalnych klubów sportowych: piłka nożna, hokej na lodzie, siatkówka, koszykówka i wiele innych dyscyplin świeciło tu pełnym blaskiem, niejednokrotnie zdobnym w koronę mistrza Polski, czy nawet triumfatora pucharów europejskich. Ile razy górnictwo wspierało finansowo i wykonawczo lokalne ambicje ówczesnych władz miejskich, że wspomnieć

należy w przypadku np. Sosnowca choćby o wybudowaniu basenów kąpielowych w Parku Sieleckim (można się było w nich kąpać już od... maja, bo wodę ogrzewano!), czy krytego, sztucznego lodowiska w Parku Żeromskiego i pobliskiego mu, niestety już nieistniejącego letniego amfiteatru w Sielcu? Ile książek przybyło w publicznych bibliotekach? Ile dzieci korzystało z niezłych pomocy naukowych, a iluż artystów pożywiło się w blasku górniczego mecenatu? Co dzisiaj paradoksalne: kopalnie budowały nawet – najczęściej własnymi siłami – całe przyzakładowe osiedla mieszkalne oraz prowadziły ogromne akcje kolonijne dla swoich (i nie tylko!) dzieci, a także organizowały na całkiem niezłym poziomie wczasy we własnych ośrodkach, albo na Węgrzech, czy w Bułgarii.

Tego wszystkiego z dnia na dzień zabrakło. Kiedy po wścieklej i motywowanej różnymi względami (polityczne i rozliczeniowe do poślednich nie należały!) likwidacji zagłębiowskich kopalń opadł dym, okazało się, że został tylko jeden zakład wydobywczy, a mianowicie „Kazimierz-Juliusz”.

Podobny górnictwu los dotknął również cały tutejszy przemysł lekki, czyli włókiennictwo i zakłady odzieżowe. Za jednym pociągnięciem pióra, przed urzędnikami okolicznych urzędów pracy stanął legion bezrobotnych płci obojga, bo tutejsza uświęcona od pokoleń tradycja stanowiła, że „chłop” to górnik a „baba” – prądką. Koniec, kropka...

Dzisiaj w dobie narastającego kryzysu globalnych instytucji finansowych uderzającego już w nasz region

i skutkującego wieloma zwolnieniami w stabilnych dotychczas zakładach produkcyjnych światowych gigantów, dobrze jest wrócić na chwilę do czasów, gdy tutejsza ziemia potrafiła całkiem nieźle wyżywić osiadłych na niej ludzi...

W1884 roku Towarzystwo Akcyjne Warszawskie Towarzystwo Kopalń i Zakładów Hutniczych oddało do eksploatacji nową kopalnię o nazwie KAZIMIERZ leżącą przy trasie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Jej szyby głębiono w latach 1879–1883 a w 1884 r. rozpoczęto eksploatację. Kopalnię JULIUSZ rozpoczęto budować w 1902 roku. W 1904 r. uzyskano z niej pierwsze tony urobku węglowego. Po wykonaniu wyrobisk górniczych łączących Kopalnię KAZIMIERZ z Kopalnią JULIUSZ, w 1938 roku, kopalnie te połączono organizacyjnie w jedno przedsiębiorstwo pod nazwą Kopalnia KAZIMIERZ-JULIUSZ, która to nazwa przetrwała do dzisiaj.

Obszar górniczy kopalni zajmuje powierzchnię 23,08 km² i znajduje się w płn-wsch. części Górnośląskiego Zagłębia Węglowego i graniczy z obszarami górniczymi zlikwidowanych kopalń Porąbka-Klimontów, Niwka-Modrzejów i Jan Kanty. Parę lat temu, w wyniku restrukturyzacji techniczno-organizacyjnej, zlikwidowano część zakładu górniczego (Ruch II Juliusz). (ZA: www.kazimierzjuliusz.pl). Dziękujemy Panu Stanisławowi Górze za udostępnienie materiałów i zdjęć.



Kopalnia „Sosnowiec” dzisiaj

Od redakcji: Dzisiaj, kiedy komunikacja tramwajowa boryka się z poważnymi problemami finansowymi i technicznymi zagrażającymi jej istnieniu (część linii już została ograniczona, bądź nawet zlikwidowana) i kiedy większość zagłębiowskich gmin wykazując sporą wyobraźnię przejęła popularne „przecinaki” na własny garnuszek – dziwi postawa władz Będzina, które do tej akcji się nie przyłożyły. I to pomimo faktu, że miasto odgrywa rolę KLUCZOWĄ, bo TU jest przecież historyczna dzisiaj Zajeżdżnia Tramwajowa, a na dodatek krzyżuje się TU zdecydowana większość tras wiodących przez Zagłębie. Czy to zwykle wyrachowanie (bo przecież tramwaje tędy i tak MUSZĄ kursować!), czy też faktyczne pustki w miejskiej kasie?

Jakby jednak nie było, dobrze jest dzisiaj poczytać o regionalnej prehistorii tego ekologicznego środka transportu i odnieść wrażenie, że pod koniec XIX. i na początku XX wieku tutejsi władarze (a nawet okupanci! Z różnych zresztą powodów...) więcej mieli zrozumienia dla ludzkich potrzeb i ochrony środowiska, pomimo że nikt wówczas nie słyszał o ekologii!

Projektów było wiele... W 1897 roku Dom Handlowy Schöna zamierzał zbudować linię do własnych fabryk na

przygotowywano nowe projekty techniczne. Propozycje przewidywały połączenie miast na różne sposoby: liniami

wej linii elektrycznej do Będzina przebiegającej od Bytomia przez Brzeziny, Dąbrówkę Wielką i Bańgów. Działania były tak zaawansowane, że w 1904 r. na terenie Brzezin zaczęto układać tory. Kontynuacji prac przeszkodził wybuch I wojny światowej i odmarsz robotników do wojska. Za budową tej linii opowiadały się też zarządy kopalń „Saturn” i „Czeladź”. W lipcu 1906 roku gotowy

Przystanek czy stacja końcowa?

Krzysztof Soida

trasie Sosnowiec – Będzin – Dąbrowa – Sielce – Sosnowiec. Rok później projekt zaakceptowały władze Będzina. W kolejnych latach zgłaszano różne koncepcje i

transportowymi o rozmaitych szerokościach torów, od wąskiego począwszy (1 000 mm) na szerokim (1 524 mm) skończywszy. W 1902 roku uzyskano

nawet zgodę gubernatora piotrkowskiego na prace projektowe nad linią szerokotorową łączącą Sosnowiec, Będzin, Dąbrówkę, Zagórze, Niwkę, Modrzejów i Czeladź. Ambitniejsze projekty przewidywały nawet tor do Ojcowa przez Sławków i Olkusz (!)

Na przełomie wieków tramwajem do zagłębiowskich miast interesował się magistrat Bytomia. Gospodarze miasta, pod naciskiem rzemieślników i kupców, zamierzali przyciągnąć w ten sposób klientów z sąsiednich ośrodków municypalnych. Trzy lata później powstał projekt normalnotoro-

był nowy projekt – od byłej granicy przez Czeladź do Będzina (stary rynek). Planowano też odgałęzienie do dworca kolejowego w Sosnowcu przez Piaski i Pogoń. Energię elektryczną zamierzano pozyskać z uruchomionej w 1903 roku siłowni w Będzinie. Po I wojnie i likwidacji granicy zdawało się, że zniknęły ostatnie przeszkody. Jednak nowe władze polskie nie sprzyjały tramwajowej inwestycji przez pozostający w niemieckich rękach Bytom. W konsekwencji przedsięwzięcie upadło w 1924 roku.

Równoległe do tych planów także inne przedsiębiorstwa próbowały realizować swoje pomysły. 20 października 1912 roku łódzcy przemysłowcy zwrócili się do magistratu Sosnowca z propozycją budowy tramwajów elektrycznych. Ten projekt przewidywał powstanie dwóch linii: – jedna miała przebiegać na trasie Piaski – Miłowice – Pogoń – Śródula, druga z Zagórze, przez Śródulę, Konstantynów i Sielec do Modrzejowa. I kiedy 29 maja 1914 roku władze centralne w Petersburgu wyraziły na ten projekt zgodę, wydawało się, że w jego realizacji już nic nie może przeszkodzić...

Własnymi rękami Po kolejnej już wojnie problem komunikacji tramwajowej w Zagłębiu Dąbrowskim podjął koncern „Siła i Światło S.A.” z Warszawy. 9 kwietnia 1919 roku wystąpił on do poszczególnych miast i sejmiku będzińskiego z propozycją wybudowania normalnotorowej elektrycznej kolei miejskiej. Po trzech latach podpisano umowę, na mocy której powo-



Zdjęcie ze zbiorów Robert Pasiek

lano firmę o nazwie „Towarzystwo Tramwajów Elektrycznych w Zagłębiu Dąbrowskim Spółka z o.o.". Kapitał zakładowy spółki wynosił milion marek polskich.

Kolejną ważną datą w dziejach zagłębiowskich tramwajów jest 26 lutego 1926 roku, kiedy uzyskano zezwolenie ministra komunikacji (nr V-4497/25) na odstąpienie praw koncesyjnych nowej spółce „Tramwaje Elektryczne w Zagłębiu Dąbrowskim S.A.". Ze względu na fakt, że jedno z projektowanych połączeń (z Szopienicami) przebiegało na terenie województwa śląskiego, w marcu 1927 roku Śląski Urząd Wojewódzki wydał stosowne zezwolenie. Równolegle prowadzono prace ziemne przy formowaniu podtorza i wznoszeniu zajezdni w Będzinie.

Długość powstającej sieci tramwajowej w pierwszym etapie wynosiła około 26 km torów na liniach łączących Dąbrowę, Będzin, Sosnowiec, Czeladź i Szopienice wraz z mijankami i torami w zajezdni. Tę wzniesiono w Będzinie przy ul. Okrzei w grudniu 1927 roku. Główna hala miała powierzchnię 3050 m² i kubaturę 2650 m³. Należy zwrócić uwagę, że Szopienice miały połączenie jedynie z częścią Sosnowca znajdującą się na zachód od linii kolejowej (ul. Sobieskiego). Pasażerowie chcący kontynuować podróż dalej w kierunku Będzina lub Dąbrowy zmuszeni byli pokonać pieszo odcinek między ulicami Sobieskiego i 3 Maja przez tory kolejowe. Na drugiej ulicy, przy dawnym urzędzie pocztowym, znajdowała się mijanka początkowa. Tak było aż do 2 marca 1931 roku, kiedy zbudowano wiadukt pod torami stacji Sosnowiec Główny. Dopiero wtedy połączenie tramwajów zagłębiowskich ze śląskimi stało się faktem.

Zagłębie w sieci W drugim etapie przewidywano wydłużenie istniejących i budowę kolejnych odcinków. Linię z Czeladzi chciano przedłużyć do Siemianowic, Będzin połączyć z Groźcem, a Sosnowiec z Mysłowicami przez Modrzejów. Tylko dwa ostatnie zamierzenia zostały zrealizowane, i to dopiero po drugiej wojnie światowej. Do dnia dzisiejszego ostał się jedynie odcinek do Mysłowic. Po zakończeniu tego etapu sieć zagłębiowskich tramwajów miała wzrosnąć do około 40 km. Wszędzie gdzie było to możliwe układano tory na wydzielonym torowisku. Nawet w miastach unikano zajmowania ulic. Dzięki temu pociągi osiągały stosunkowo dużą szybkość handlową wynoszącą 21 km/h.

Tabor wagonowy był angielski: niespotykane w innych przedsiębiorstwach tramwajowych pojazdy czteroosiowe, które szybko stały się wizytówką zagłębiowskiej spółki. Wagon silnikowy napędzany był czterema silnikami o mocy 36,8 kW każdy. Mimo że była to stosunkowo duża moc w porównaniu z innymi typami wagonów tramwajowych, pociąg nawet z jedną przyczepą charakteryzował się bardzo niekorzystnym współczynnikiem mocy. Skutkowało to nie najlepszą charakterystyką trakcyjną, a inną ich wadą były... trzy stopnie, które musieli pokonać pasażerowie.

Zakładano, że między miastami częstotliwość ruchu wyniesie jeden tramwaj na 20 minut, z wyjątkiem odcinka Będzin–Sosnowiec, gdzie tramwaje miały kursować dwa razy częściej. Na ulicach Sosnowca przewidywano nawet 5-minutowe odstępy między pociągami.

Wkończąc latach kontynuowano rozbudowę. W 1933 roku przystąpiono do prac na trasie Huta „Milowice” – ul. Okrzei (długości 6,43 km). Park taborowy wzmocniono też czterema nowymi wagonami silnikowymi. W tym przypadku były to dwuosiove wozy typu Bremen dostarczone przez chorzowskie „Warsztaty Przetwórcze” (powojenny „Konstal”). Budowa trwała ponad dwa lata. Realizację inwestycji spowolniły dwie przeszkody występujące na jej trasie. Pierwszą była Czarna Przemsza, drugą zaś bocznicą kolejowa Kopalni „Renard” (później „Sosnowiec”). W tej sytuacji odcinek z Milowic do mostu, w pobliżu sądu okręgowego, uruchomiono dopiero 14 grudnia 1933 roku, i – następnie – 1 maja 1934 roku oddano do eksploatacji trasę spod sądu do Kopalni „Renard”. Ostatni jej kawałek – do ul. Okrzei, można było przekazać

do ruchu dopiero 22 grudnia 1935 roku, po wybudowaniu wiaduktu nad torami bocznicą kopalnianą.

Wie wrześniu 1939 roku wycofujące się polskie oddziały wojskowe wysadziły most na Czarnej Przemszy w Będzinie. Jego naprawa została zakończona dwa lata później. Przez cały okres okupacji przedsiębiorstwo pozostawało pod przymusowym zarządem państwowym. Wyjątek stanowił odcinek z Szopienic do Sosnowca, nad którym 23 grudnia 1940 roku kontrolę przejęło górnośląskie przedsiębiorstwo tramwajowe „Schlesische Kleinbahn A.G.”.

Łączna długość linii wynosiła 32,282 km. Na początku 1940 roku przedsiębiorstwo zatrudniało 203 osoby, w tym 40 motorniczych i 58 konduktorów. Zwią-



szyl się ruch pociągów. Miało to związek nie tylko ze wzmożoną pracą przemysłu na potrzeby frontu, ale także z akcją propagandową Niemców (szczególnie na terenie Zagłębia Dąbrowskiego) zakładających transport tramwajowy nad drogowy. Szukano w ten sposób oszczędności deficytowego paliwa. Tramwaje przewoziły większą liczbę pasażerów, ale lokalnie i towary. Przykładem jest transport elementów do produkcji bomb lotniczych między hutami „Bankową” w Dąbrowie, a „Katarzyną” w Sosnowcu. Poza produktami typowo wojennymi wożono też żywność. W 1945 roku wycofujące się, tym razem niemieckie, wojska wysadziły most na Brynicy między Szopienicami a Sosnowcem oraz sosnowiecki wiadukt. Odbudowa trwała pięć lat.

expoSilesia – krajobraz po roku

To nie przypadek...

(Z Tomaszem Raczyńskim – prezesem KOLPORTER EXPO SA rozmawia Andrzej Sawicki)

AS: Skąd pomysł w KOLPORTERZE spółce kieleckiej, na targi w... Sosnowcu? Jaka jest wartość zaangażowania kapitałowego? Czego oczekujecie?

TR: Decyzja o lokalizacji Expo Silesia w Sosnowcu była poprzedzona długofalową analizą. Przed uruchomieniem naszego centrum targowo-wystawieniowego najbardziej uprzemysłowiony region Polski, Śląsk i Zagłębie nie miały ośrodka wystawienniczego na europejskim poziomie. Firmy i przedsiębiorstwa działające w województwie śląskim, wystawcy z innych regionów kraju czy też z sąsiedniego regionu śląsko-morawskiego w Czechach z satysfakcją przyjęli wiadomość o nowoczesnym centrum targowym. Potwierdzili to obecnością podczas kilkudziesięciu imprez wystawienniczych, które zorganizowaliśmy tylko w pierwszym roku działalności.

Kolporter Expo zainwestował w pierwszym etapie 100 mln złotych, drugie tyle wyniesie realizacja następnego. Zrobimy wszystko, aby za parę lat Expo Silesia była znaczącym, europejskim ośrodkiem targowym. Postawiliśmy na Sosnowiec i nie zawiedliśmy się. Doskonale układa się współpraca z władzami samorządowymi miasta i osobiście z prezydentem Kazimierzem Górskim. To ważne w relacjach świata biznesu i samorządu, choć nie tak często spotykane. Możemy również na tej płaszczyźnie być dobrym przykładem.

Jakie nastroje po I. roku działalności? Najlepsza impreza targowa? Źródła (Pana zdaniem) konfliktu z Polską Izbą Przemysłu Targowego? I szerzej – konkurencją?

Od otwarcia 10 stycznia ub. roku kompleksu, w ramach którego powstała hala o powierzchni 13,5 tys. m kw. i dwa zewnętrzne tereny wystawiennicze (ok. 2 ha), odbyło się w Expo Silesia 30 im-

prez, w których uczestniczyło 3 tys. firm i 100 tys. zwiedzających, a łącznie wynajęto 100 tys. m kw. powierzchni. Te dane statystyczne świetnie ilustrują fenomen, jakim Expo Silesia jest na mapie targowej Polski.

W pierwszym roku działalności wielkim wyzwaniem była z całą pewnością Światowa Wystawa Górnicza MINING EXPO (wrzesień ub. roku). Blisko 300 wystawców z 22 krajów świata wywoziło z Sosnowca dobrą opinię. Od tego momentu są naszymi ambasadorami. Nie sposób nie wspomnieć o Międzynarodowych



Targach Pocztowych będących symbolem regionu. Druga edycja tych targów to frekwencyjny rekord. Dwadzieścia tysięcy czterystu dwudziestu ośmiu zwiedzających zapoznano się z ofertą 150 wystawców z Polski, Ukrainy, Niemiec, Norwegii, Holandii i Belgii. Jej sukces stał się dobrą podstawą do organizacji właśnie w Sosnowcu Międzynarodowej Olimpiady Gołębi Pocztowych w 2011 roku.

W polskim świecie targowym pojawienie się Expo Silesia wywołało zamieszanie, zwłaszcza że wyniki pierwszego roku działalności plasują nas na trzecim miejscu na targowej mapie kraju. Konkurenci niebawem pogodzą się z nową sytuacją, a Polska Izba Przemysłu Targowego zrzesza przecież naszą konkurencję – ośrodki targowe z innych regionów Polski.

Jak się układa współpraca z władzami regionu i samorządami miast ościennych? Plusy, minusy...

Jak już wspomniałem, współpraca z samorządem Sosnowca układa się bardzo dobrze. Podobnie jak z samorządami innych miast województwa i całego regionu.

Bacnie śledzimy tworzenie Górnośląskiego Związku Metropolitalnego. Ten kierunek wspólnych działań pomiędzy miastami aglomeracji bardzo nam odpowiada. Wiele można osiągnąć, będąc członkiem Unii Europejskiej, na płaszczyźnie międzynarodowej, działając w oparciu o wspólne priorytety. Ostatnio zorganizowaliśmy koncert w Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, którym podziękowaliśmy wszystkim środowiskom gospodarczym i samorządowym, które nas wsparły w pierwszym roku naszej działalności. Medalem Pro meritis de mercatoribus Expo Silesia – Zasłużony dla targów Expo Silesia podziękowaliśmy między innymi prezydentowi Sosnowca panu Kazimierzowi Górskiemu a patronat honorowy nad koncertem objął prezydent Katowic.

Jak EXPO SILESIA poradzi sobie z niedostatkiem infrastruktury w najbliższym otoczeniu (drogi dojazdowe, parkingi, hotele)?

Jesteśmy bardzo dobrze skomunikowani zarówno z Katowicami, jak i Krakowem, Opolem i Wrocławiem, wreszcie z Warszawą. Dwa lotniska międzynarodowe w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, kilkunastominutowe dojazdy do autostrady A4 i drogi ekspresowej S1 to atuty tej lokalizacji. Oczywiście należy poprawić i zmo-



Koncert z okazji I. rocznicy Expo Silesia
w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach

dernizować układ komunikacyjny w pobliżu EXPO, ale to zadanie dla władz Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Obecnie parkingi zewnętrzne mieszczą 1000 samochodów. Nie jest to powierzchnia wystarczająca. Drugi etap inwestycji, w który wejdziemy najprawdopodobniej w przyszłym roku zakłada ponad trzykrotne poszerzenie zewnętrznego terenu z obecnych 13,5 tysiąca metrów kwadratowych do 43,5 tysiąca. W działania dotyczące znacznego poszerzenia bazy parkingowej włącza się miasto. Pozwola na to niezagospodarowane tereny sąsiadujące z naszym obiektem. Znając dynamikę władz Sosnowca jestem dobrej myśli.

Baza hotelowa okolicznych miast stale się rozwija. My również o tym myślimy, od tego przecież zależy dobra opinia naszych klientów. W ramach modernizacji terenów zamierzamy przeznaczyć duży budynek biurowca SILMY właśnie na hotel o wysokim standardzie, co najmniej czterogwiazdkowym.

Czy są widoczne jakieś symptomy oddziaływania targów na najbliższą okolicę – jej gospodarkę (inicjatywy lokalne) i wygląd? Czy targi są barometrem gospodarki?

Targi zawsze niosą ze sobą nową energię, są kołem napędowym dla wielu sektorów gospodarki, stąd ich wpływ na lokalne inicjatywy i przedsięwzięcia jest bezsporny. Kryzys gospodarczy może okazać się dla rozwoju targów, wbrew prognozą niektórych ekonomistów, okresem prosperity. Firmy muszą szukać, ograniczając budżety na promocję, najbardziej efektywnych form komunikacji z klientami. Taką platformą są targi. Tutaj ludzie się spotykają, aby robić dobre interesy. To nasza szansa, zamierzamy wykorzystać ją najlepiej jak to możliwe.

Święto gołębi w Sosnowcu

Dwadzieścia tysięcy osób odwiedziło Międzynarodowe Targi Gołębi Poczтовых EXPOGołębie w Sosnowcu połączone z 59. Ogólnopolską Wystawą Gołębi Pocztowych. Ponad stu wystawców z Polski, z kilku krajów europejskich i tłumy miłośników gołębi w dniach 9-11 stycznia br. oddawało się w hali Expo Silesia swojej pasji, oklaskiwało laureatów ptasich mistrzostw oraz cieszyło na wieść o tym, że XXXII Olimpiada Gołębi Pocztowych w 2011 roku odbędzie się ostatecznie na Śląsku.

Do rywalizacji w ostatnich Generalnych Mistrzostwach Polski 45 tys. hodowców wystawiło

cztery miliony gołębi, z których każdy musiał przelecieć 3500 km. Ptaki należące do zwycięzcy, Dominika Palarskiego z Milicza, wylatały najlepszy wynik punktowy w dziejach Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych. Historia liczącego dziś 130 gołębi rasy Szellens stada Dominika Palarskiego zaczęła się wiele lat temu, gdy trzyletni chłopiec dostał pierwszego ptaka i już wtedy wiedział, że hodowla gołębi będzie jego pasją.

Wyłonionych podczas mistrzostw 25 najlepszych gołębi z naszego kraju tydzień po zakończeniu Targów EXPOGołębie pojechało do Dortmundu na olimpiadę. Następna, za dwa lata na Śląsku!

Na wystawie można było zobaczyć 1200 najpiękniejszych gołębi hodowlanych m.in. z Niemiec, Belgii i Holandii. Wystawcy oferowali karmę, odżywki, leki, środki czystości, wyposażenie gołębników oraz prasę branżową. Targom i wystawie towarzyszyły pokazy mistrzów, seminaria weterynaryjne i naukowe poświęcone hodowli gołębi pocztowych. Stoiska miały stacje zarodowe i poszczególni hodowcy. (ps)



Zdł. Monika Kalisiak



W latach 70. minionego wieku mieszkańcy zagłębiowskich miast – sportowi kibice mieli w weekendy problemy z wyborem. Piłkarski mecz w Sosnowcu, gdzie miejscowe Zagłębie grało w czołówce ekstraklasy? A może koszykówkę w hali Żeromskiego, żeby obejrzeć zespół Tomasza Służałka, sięgający po mistrzostwo Polski (dwukrotnie)? A jeszcze siatkarki i siatkarki Płomienia Milowice (jako jedyna dotąd polska drużyna zdobyli w 1978 roku Puchar Europy), hokeiści Zagłębia będący nie do pokonania na sieleckim lodowisku. Mało? No to boks (i Henryk Średnicki – jedyny do dzisiaj nasz mistrz świata!), szczypiorniak w Zagórz, najlepsze w kraju futbolistki Czarnych, szabliści na czele z braćmi Koniuszami – medalistami mistrzostw świata, kickboksier Czarek Podraza, dżudocy Budowlanych...

W innych miastach oferta też szeroka. W Czeladzi stadion przy Sportowej gromadził tysiące widzów na meczach piłkarzy III-ligowego CKS-u. W Zawierciu ciągle o awans na centralny szczybel biła się miejscowa Warta. W Dąbrowie Górniczej wielkie plany wiązano z piłkarzami Hutnika, których utrzymywała Huta Katowice, ale sportowe ambicje nieoczekiwanie spełniły siatkarki Zagłębiaka, mistrzynie Polski. Mało kto pamięta, że zapaśnicy MKS Dąbrowa sięgali po medale mistrzostw kraju. Będzin słynął z kolarzy i marzącej o sukcesach Sarmacji. Skończmy jednak ze wspomnień. Jak jest dziś? Zagłębie Dąbrowskie, niemal półmilionowa aglomeracja, ma w ekstraklasie reprezentantów w hokeju na lodzie (dalej Zagłębie Sosnowiec) i siatkówce kobiet (MKS Dąbrowa Górnicza, grającej w elicie dopiero drugi sezon). Gdzie jest

Kilka lat temu dąbrowscy władze zdecydowali się sfinansować budowę nowoczesnej hali sportowej przy Alei Róż i teraz trybuny tego obiektu zapelniają się podczas ligowych spotkań. – „To świetna promocja” – cieszą się w Urzędzie Miasta.

Andrzej Wasik

Sportowa pustynia?

reszta? Nie ma, albo grają w niższych ligach. Piłkarze Zagłębia Sosnowiec w drugiej, ale de facto trzeciej lidze. Siatkarze Płomienia utrzymali się w ekstraklasie i zostali z niej wycofani, bo zabrakło pieniędzy. O sosnowieckich siatkarkach w ekstraklasie dawno zapomniano. Koszykarze „pętają” się na peryferiach. Były nadzieje, że koszykarki Filara Sosnowiec awansują do najwyższej ligi. Trwały krótko, bo nie znalazł się sponsor. W ekstraklasie nie grają już nawet piłkarki nożne z Alei Mireckiego. W Zawierciu nie ma już Warty, a o piłkarzach ręcznych Viretu słuch zaginął. Czeladź przez dwa sezony emocjonowała się występami koszykarzy Tomasza Służałka, którym udało się awansować do drugoligowych rozgrywek. Dziś tej drużyny nie ma.

Dlaczego Zagłębie Dąbrowskie ostatnio bywa nazywane sportową pustynią? A gdzie te kopalnie, huty i fabryki? To one stały za potęgą tutejszego sportu. Piłkarze, hokeiści, koszykarze, siatkarze byli prowadzeni jako górnicy, hutnicy czy włókniarze. I byli sportowcami – amatorami, na papierze oczywiście. Czysta fikcja... Ktoś powie – w Jastrzębiu Zdroju czy Belchatowie, kopalnia czy koncern energetyczny nadal utrzymują sport. Tak, ale nie „lewymi” etatami sportowców. Firma łoży pieniądze na klub w zamian za reklamę. Siatkarze czy

piłkarze mają kontrakty z klubami, a nie kopalnią czy elektrownią. Większość klubów to spółki prawa handlowego, funkcjonujące jak normalne przedsiębiorstwa, nastawione na zysk.

Jest jeszcze inny sposób finansowania wyścigowego sportu – pomoc samorządów. Tak jak we Wrocławiu (piłkarski Śląsk), Szczecinie (piłkarska Pogoń) i Dąbrowie Górniczej. Bez pomocy dąbrowskiego Urzędu Miasta nie byłoby siatkarek w ekstraklasie i koszykarzy w I lidze.

Dlaczego w Dąbrowie Górniczej można, a gdzie indziej nie??? Bo zdaniem lokalnych polityków są inne, pilniejsze potrzeby, a poza tym przepisy zabraniają miastom finansowania zawodowych sportowców. Jest w tym racja, ale tylko trochę. Tak, miasto nie może podpisać kontraktu z piłkarzem czy siatkarzem, ale może uchwałą Rady Miasta przekazać dotację, nawet wielomilionową, klubowi w zamian za promocję. Tak, w miastach jest wiele zadań do realizacji, a środków często brakuje. Czy jednak sport nie jest jednym z najważniejszych zadań?

Przyszłością sportu są kluby jednosekcyjne. Świadczą o tym hokeiści Zagłębia Sosnowiec, mający sponsora – Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich PolAqua. Ich ubiegłoroczny budżet zamknął się kwotą 1,2 miliona zł. Niewiele więcej trzeba, by zawalczyć o złoto. Więcej potrzebowali siatkarze Płomienia, i to tylko na utrzymanie w ekstraklasie – około 3 milionów. Nie znalaziono ich – drużyny nie ma.

Gdy w piłkarskim Zagłębiu większość udziałów miała mająca siedzibę w Sosnowcu włoska firma ERSI Poland, to był awans za awansem. Kiedy sprzedała swój pakiet zniesmaczona „aferą korupcyjną”, nowy właściciel liczył na pomoc miasta. Zapewniano go, że do klubu wejdą inni inwestorzy, była mowa o koncernie hutniczym Mittal Steel, jednak obietnice się nie spełniły.

Czy zatem piłkarskie Zagłębie czeka los siatkarzy Płomienia? I niech się nieoprawni optymiści nie łudzą, że wystarczy sama wiara w to, że jak przed ponad pół wiekiem uda się powtórzyć drogę ówczesnej Stali z A klasy (w 1949 roku) do wice-mistrzostwa Polski (1955 rok). Nie, tym razem już nie wystarczy...



Dawnych wspomnień czar...
Zdjęcie ze zbiorów TPM.

Multimedia

W T O M I G R A J

Po czym rozpoznać, że skończył się sezon? Po tym, że ulicami chodzą dziki. Tak jest przynajmniej w jednej miejscowości turystycznej, którą znam. Co miało zostać zwiedzone, to już zdeptane, a co miało być zjedzone, to tylko dzik wie, czy zostały resztki. O dzik! Tu dzik i tam dzik. Myk, myk.

W branży gier komputerowych sytuacja wygląda zgoła odwrotnie. Wielcy wydawcy przez cały rok tuczą zwierzyń, by wypuścić ją tuż przed świętami. Ten za chudy. Ten za wolno się rusza. A ten ma zbyt krzywe kły – marudzi gracz, wiedząc, że właśnie nastał sezon.

To jedyny okres w roku, gdy nawet bardzo dobre gry nie budzą entuzjazmu. Jest w czym wybierać i przebiegać. Gracz strzela. Gracz rządzi! A w koło pełno dzików – oto szczyt sezonu.

Druga strona medalu jest taka, że po świątecznych łakociach i noworocznych fajerkach przez długi czas na sklepowych półkach nie pojawi się nic nowego. Zanim więc zaczniemy narzekać, przyjrzyjmy się temu, co przygotowali dla nas wydawcy. Trzeba przyznać, że smakowitych zapowiedzi na końcówkę starego i początek nowego roku jest całkiem sporo. Zapraszam do działu recenzji.

pees



Z życia gangów

Druga część serii Saints Row, czyli „symulatora” życia gangów w hip-hopowym klimacie. Liczne techniki walki wręcz, wiele maszyn,

które gracz będzie mógł wykorzystać podczas ponad 40 rozbudowanych misji. Autorzy Saints Row 2 zapowiadają mnóstwo atrakcji. Wśród nich nieskrępowaną możliwość modyfikacji postaci. Możesz być mężczyzną, kobietą... lub kimś pomiędzy, a także zmieniać rysy twarzy, ubranie, ozdoby i kolorystykę ubioru, żeby nikt nie mógł przejść obok ciebie obojętnie. Dostępne mają być też dowolne modyfikacje wyglądu pojazdów. Dodatki w stylu spojlerów, nietypowego malowania i naklejek sprawiają, że będziesz miał jedyną taką auto w mieście. Krótko mówiąc, zapowiada się ciekawie.

Producent: Volition Inc.
Gatunek: akcja / tpp



Powrót imperium

World in Conflict została okrzyknięta mianem najlepszego RTS-a (strategii czasu rzeczywistego) 2007 roku, a teraz nadchodzi Soviet

Assault, pierwszy dodatek do niej. Głównym motywem fabuły tzw. podstawki był wymyślony konflikt Stanów Zjednoczonych ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich. Gracz wcielał się w amerykańskiego porucznika Parke-
ra, rozpoczynającego swą pierwszą ważną misję w 1989 roku podczas ataku Armii Czerwonej na Seattle. Tym razem szwedzkie studio Massive Interactive przedstawia bliżej drugą stronę konfliktu. Do dyspozycji gracza ogromny arsenał, m.in. czołgi, helikoptery, opancerzone transportery, wsparcie powietrzne i artyleryjskie, a nawet broń atomową. Mamy nadzieję, że grafika będzie tak realistyczna, a akcja tak wartka jak w World in Conflict.

Producent: Sierra
Gatunek: strategia / czas rzeczywisty



Era Conana nadchodzi!

Age of Conan: Hyborian Adventures jest grą, która ma się pojawić w sklepach wprawdzie już trochę po Nowym Roku, ale jak zapowiada polski wydawca CD Projekt – i czyni to zapewne nie bez powodu – ma to być wielkie wydarzenie.

Będzie to gra typu massive on-line multiplayer z bardzo szybką i urozmaiconą akcją, a także fabułą zanurzoną w świecie prozy Roberta E. Howarda. W trakcie przygód gracze spotkają nie tylko samego Conana, zasiadającego teraz na tronie Aquilonii, ale też inne postacie znane z powieści – Thoth-Amona, Kalanthesa czy Zenobię.

Brutalna rzeczywistość i atmosfera zagrożenia czynią z Conana grę wyłącznie dla dorosłych. Rozwój naszej postaci będzie oparty na poziomach oraz klasach – na początku zabawy wybierzemy jedną z klas podstawowych (Mag, Kapłan, Złodziej lub Wojownik), a po osiągnięciu poziomu 40. dostępne staną się



Strona pod tym adresem to gra logiczno-przygodowa stworzona przez Grzegorza Kozakiewicza, polskiego designera na emigracji w Anglii. Pomimo tego, co jest w opisie strony (Interactive Mixed Media, Games, Web design), pan Grzegorz jest miłośnikiem technik analogowych, czy jak kto woli ręczno - manualnych. Gra wpisuje się w popularny ostatnio wśród designerów powrót do korzeni, czyli działań z użyciem flamastra, plasteliny, taśmy klejącej i nożyka. Retro jest trendy.

W grze wcielamy się w postać Berta, który rusza z misją do Krasnolandu (odpowiednik Szuflandii z filmu Kingsajz), aby ratować doktora Eskulapa, z rąk agentów Krasnolandu. Aby tego dokonać nasz bohater musi pokonać wiele przeszkód, m.in. pokonać straszliwego Crazy Birda. Pyszna zabawa w stylu retro.

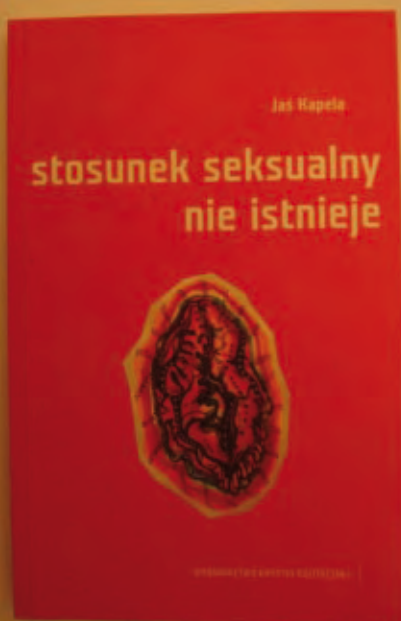
Gra została nominowana do Virgin Media Golden Joystick Awards i wygrała nagrodę Site of the Day the FWA Award.

www.pencilrebel.com

pija

liczne profesje. Głównym aspektem rozgrywki będzie oczywiście walka – wręcz, a także na odległość, czyli z wykorzystaniem broni miotanej, możliwe będzie także rzucanie czarów. Wszystko to w czasie rzeczywistym. Spośród innych MMO grę Age of Conan wyróżniać będzie m.in. unikatowy system walki czy grafika nowej generacji, która z pewnością dostarczy ekscytujących wrażeń. Do gry wymagane będzie wnoszenie opłat abonamentowych, a w cenę produktu wliczony będzie pierwszy miesiąc grania. Szykuje się hit. Całkiem możliwe, że rok nadchodzący będzie rokiem Conana.

Gatunek: online / MMORPG / fantasy
Kategoria wiekowa: od 18 lat
Wersja językowa: w całości po polsku
Nośnik i ilość: 2 DVD, dodatkowo 1 DVD



Paweł Sarna

Gdyby Borat pisał bloga...

Książki nie ocenia się po okładce ani po... prezerwatywie, nawet jeśli wydawca zadbał o to, by dodano do niej produkt czytelnikowi tak niezbędny. Zatrościł się również,

by czwartą stronę okładki opatrzone rekomendacjami, pod którymi widnieją nazwiska wiele mówiące, choć z literaturą kojarzące się o wiele mniej niż z czymś innym, jak na przykład Jerzy Urban, Jan Rokita. Ktoś podejrzliwy wobec marketingowych zabiegów zapyta raz, czy możemy być pewni, że przywołani wypowiadali się na pewno o książce „Stosunek seksualny nie istnieje” Jasia Kapeli. Albo czy to w ogóle ich słowa. Podejrzliwym odpowiadam: niczego pewni być nie możemy. Jak to w życiu.

Wprawdzie nie oceniałem książki po okładce, zasugerowałem się jednak krótkim streszczeniem na niej zamieszczonym i, prawdę mówiąc, ucieszyłem się, bo obiecano historię może nieszczególnie skomplikowaną, ale chyba intrygującą: „opowieść o dwóch studentach kierunku humanistycznego. Eligiusz chce poderwać Dodę Elektrode. I dlatego postanawia zostać pisarzem. Wojtkowi wydaje się, że człowiek nie może kierować swoimi pragnieniami. I dlatego przestaje robić cokolwiek”. Porwanie Dody przez Eligiusza skojarzyło mi się z polowaniem Borata na wymarzoną narzeczoną, czyli Pamelę Anderson, w filmie, którego jestem fanem („Borat: Podpatrzone w Ameryce, aby Kazachstan rósł w siłę, a ludzkie żyły dostatniej”). Może dlatego oczekiwałem historii pełniej nieprzewidywalnych

zwrotów akcji, albo też jakiegokolwiek interesującej opowieści.

Nie ma tu żadnej historii, nie ma też żadnej akcji. Jest to właściwie „książka gadana” – bohaterowie rozmawiają sobie o blaskach i cieniach życia: studenta, poety, a także kogoś, komu ktoś inny napisał brzydkie słowo na drzwiach domu itd. Tak w sumie, ciemne strony życia zdecydowanie przeważają nad jasnymi, podobnie słabych dialogów i zwykłego lania wody jest też w tej książce więcej niż błyskotliwych myśli, zabawnych anegdot i ciętych ripost. Jak to w życiu – powiem raz jeszcze. A właściwie trochę jak w blogu, bo czasami lektura kojarzy się z przemyśleniami, jakie można przeczytać w Internecie.

Gdyby Borat prowadził bloga... to nie wiem, czy byłoby to coś ciekawego, ale gdyby robił to Jaś Kapela, efekt mógłby być o wiele bardziej interesujący niż książka, która wprawdzie istnieje, ale specjalnej przyjemności nie daje.

Jaś Kapela *Stosunek seksualny nie istnieje*

Wydawnictwo Krytyki Politycznej,
Warszawa 2008.

Nieznany ?! Jaki on tam Nieznany

Obraz Zbigniewa Herberta, jaki wylania się z wywiadów pomieszczonych w zbiorze „Herbert nieznany - rozmowy”, trudno chyba uznać za szczególnie rewolucyjny czy demitologizujący. Jedyną taką demitologizacyjną próbą w ostatnich latach była miejscami nieszczęśliwa książka Joanny Siedleckiej „Pan od poezji” eksplorująca biografię autora „Pana Cogito” nad wyraz selektywnie. Trudno za taką próbę odbierania Księcia uznać zbiór wywiadów, co akurat wcale nie jest – moim zdaniem – wadą.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą wspólną tych wywiadów jest niezmiennosc i powtarzalność odpowiedzi na podobne pytania. Można powiedzieć, że Herbert wyraźnie pokazuje symboliczny mur, o który się opiera. Na przykład zdanie o pływaniu pod prąd, że wprawdzie nie jest najskuteczniejsze, ale wyrabia mięśnie i to, że z prądem płyną śmiecie. Warto jednak owe powtarzające się deklaracje wytrzymać i, mimo wszystko, uważnie kartkować wywiady, bowiem raz po raz wyłaniają się z nich szczegóły, drobnostki, które umyka-

ły oficjalnym i demitologizującym biografom. Takim „czułym miejscem” jest w wywiadzie przeprowadzanym przez ks. Janusza Pasierba cały ustęp o babci poety. Znakomity jako całość i odbiegający od sztampy jawi się też wywiad o źródłach przeprowadzany przez Renatę Gorczyńską, ci zaś, którzy nie wiedzą, o co się poobrażała na Herberta masa ludzi, może kolejny raz przeczytać wywiad z Jakiem Trznadłem, pierwotnie pomieszczony w zbiorze „Hańba domowa”. Ciekawostką tego zbioru są dwa wywiady, jakie Herbert przeprowadził sam ze sobą (sic!) po powrocie z dłuższego pobytu w Stanach Zjednoczonych.

W sumie zatem to nie tyle Herbert nieznany, ile przypomniany, odtworzony, miejscami wchodzący ze sobą w sprzeczność, otwarcie kpiący z emocjonalnych konstruktów natchnienia, mistycyzmu poezji, odwracający głowę od nadmiernej estetyzacji, twardo obstający przy etycznym rdzeniu wiersza, który miał określać dopiero jego kształt estetyczny. To zresztą dobre tematy do przemyśleń i dzisiaj.

Jurod



Herbert nieznany. Rozmowy.
Zeszyty Literackie, Warszawa 2008

PKPZIN

Tym razem w Paradzie czasopism przedstawiamy czasopismo internetowe, które dostępne jest pod adresem: www.pkpzin.com. Zamysłem jego założycieli było stworzenie nowoczesnego zinu. Ten niekomercyjny i niezależny charakter tak podkreślają sami twórcy: „W ciągle rozszerzającym się internecie ciągle przybywa miejsc, w których można, a nawet warto, zamieścić swoją twórczość. Niestety coraz więcej z nich pełni rolę śmietnika, do którego każdy może wrzucić cokolwiek. Dlatego też blisko dwa lata temu zrodził

się pomysł, by zrobić coś, czego w sieci jeszcze tak wiele nie było, a mianowicie internetowej gazety, miesięcznika, który brzydzi się słowem portal [...]. Tak oto, po kilku miesiącach pracy, pierwszego stycznia zeszłego roku na światło dzienne po raz pierwszy wychylił się PKPZin, czyli miesięcznik Polskiego Kulturalnego Podziemia, którego celem jest przede wszystkim promowanie młodych artystów”.

Na łamach miesięcznika można znaleźć utwory prozatorskie i wiersze, obok nich prezentowane są zdjęcia oraz rysunki, na uwagę zasługuje też obszerny dział recenzji i kącik poświęcony muzyce współczesnej.



Obecnie redakcję tworzy sześć osób: Karol Graczyk (redaktor naczelny), Piotr Kaczorowski (poezja), Monika Buława-Olesińska (proza), Eliza Krawczuk (rysunek), Antonina Dolaniecka (fotografia) oraz Łukasz Pniewski (webmaster).

P.S.

Jak się nazywa ten Staw?

Ciało. Zmącone. Przysłonięte – całunem, snem czy duszą. Wymykające się i wymykające się sobie. Obnażone. Ociemniałe. I oślepiające. Ale też ciało ujrane „w mandrali kropel”. Będące stawem, a więc także lustrem („ten Staw nazywa się Słoneczny”). Być może to właśnie ciało jest najważniejszym tematem wierszy z najnowsze go tomiku Bogusława Kierca „Cło”. A na pewno ich bohaterem jest ktoś, kto w ciebie się przegląda.

B. Kierc: *Cło*

Biuro Literackie, Wrocław 2008.



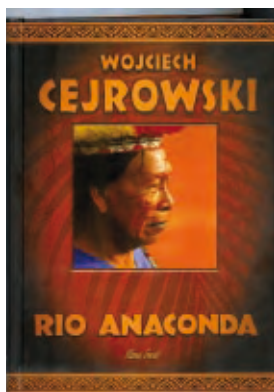
pees

W C Rio

„Nie trzeba lubić Autora, żeby polubić tę książkę, bo czy się komu Cejrowski podoba, czy nie, trzeba przyznać, że opowiada bardzo ciekawie” – w ten sposób wydawca Wojciecha Cejrowskiego poleca Rio Anaconda. Wydawca wie, co mówi. Znając radykalne poglądy autora, aż trudno uwierzyć, że tak dobrze czyta się tę książkę. Doczekała się zresztą już drugiego wydania, więc o czymś to świadczy. Bo ona jest o podróżach. Naprawdę.

W. Cejrowski: *Rio Anaconda*

Wydanie II poprawione. Zysk i S-ka, Poznań 2008



pees

RAMKA

Pan Adam. Z przesłanych wierszy przeczytaliśmy, proszę się nie dziwić, tylko cześć. Zbiór prawie dwustu (!) utworów to trochę zbyt wiele, nawet jak na nas. Następnym razem prosimy dokonać, bardziej przemyślanego, wyboru. Jak zaznaczył Pan w liście: „Jeszcze nie wiem, w którą stronę to wszystko pójdzie. Zresztą, czy to moje pisanie jest dla mnie ważne, cóż... chyba nie jestem pewien”. Na to pytanie sam Pan musi sobie odpowiedzieć, i to zanim prześle Pan wiersze – nam czy komukolwiek. Z kolei **Pan Michał** nadesłał jeden utwór, o którym możemy powiedzieć, że jedna udana fraza jeszcze wiersza nie czyni. Prosimy o więcej.

Publikacją w **RAMCE** postanowiliśmy wyróżnić jeden z kilku aforyzmów przesłanych przez Pana **Patryka Filipowicza**.

Patryk Filipowicz

O CHAOSIE

jeśli już mieć chaos
to tylko swój.

Ogłoszenie

Poszukujemy osób chętnych do podzielenia się wspomnieniami o Będzinie. Tym przedwojennym i tym powojennym również. Jeżeli pamiętasz ludzi, wydarze-

nia z przeszłości, które zasługują na uwagę skontaktuj się z nami. Chcemy zebrać świadectwa o historii Będzina, świadectwa z Waszych ust, poznać je i przypominać o nich. Dla potomnych.

kontakt: **Inicjatywa Brama Cukermana**

Karolina tel. 0 511 016 322

Kuba tel. 0 607 092 488

bramacukermana@gmail.comwww.bramacukermana.com



Dżem

Koncerty zespołu Dżem zazwyczaj gromadzą setki fanów w różnym wieku. Nie inaczej było 4 stycznia w ArtCafe Muza w Sosnowcu.

Maciej Balcar zachęcał publiczność do zabawy, wspomagał go niezwykle aktywny tego wieczoru basista Beno Otręba. Gitarzyści Jerzy Styczyński i Adam Otręba pokazali jak zawsze wysoki poziom, podobnie zresztą Zbyszek Szczerbiński i Janusz Borzucki. Koncert – jak to zwykle bywa w wykonaniu tej grupy – był niezwykle energetyczny. Uwagę fanów nie umknęła zapewne nowa gitara Jurka Styczyńskiego.

Podczas koncertu nie zabrakło takich hitów jak „Wehikuł czasu”, „Detox” lub „Sen o Victorii” oraz utworu, który zapewne znajdzie się na nowej płycie – „Jesteś nie dla mnie”.

Sposobność do zobaczenia Dżemu na Śląsku jeszcze nie raz się nadarzy, a na pewno warto, obejrzeć w akcji jednych z ostatnich gigantów Polskiego rocka... Oby już wkrótce.



W tym roku Dżem obchodzi 30-lecie istnienia. Jak można się domyślić, chłopaki z zespołu będą mieli bogatą w przystanki trasę koncertową, jak również, już na jesień, planowane jest wydanie nowej płyty wraz z niespodzianką dla fanów.

Przemysław Kokot



DŻEM

4 stycznia 2009
Art Cafe Muza

fot. Przemysław Kokot

Czesław Zaśpiewał w Muzie



Po listopadowym koncercie Mozila Art Cafe Muza zgotowało fanom artysty niespodziankę – tuż po Nowym Roku odbył się kolejny koncert artysty. Czesław wystąpił wraz z dwójką swoich duńskich przyjaciół – uroczą saksofonistką Karen Duelund Mortensen i akordeonistą Martinen Bennebo. Żaden koncert formacji nie jest podobny do poprzednich – również tym razem sosnowiecka publiczność została uraczona sporą dawką żywiołowej improwizacji pełnej błyskotliwego żartu.



fot. Przemysław Kokot

W występach Mozila coraz bardziej widoczna jest żyłka kabaretowa – Czesław, jeszcze kilka miesięcy temu zachowujący się na scenie dosyć nieśmiało, teraz jest prawdziwym showmanem – między piosenki, a nawet ich zwrotki, wplata zabawne anegdoty i komentarze, które wywołują u publiczności niepomahowane salwy śmiechu. To, w połączeniu z dobrymi kompozycjami i niezwykle oprawą tworzoną przez towarzyszących muzyków, sprawia, że koncerty zespołu są naprawdę wyjątkowym wydarzeniem.

W trakcie sosnowieckiego występu usłyszeliśmy zarówno kompozycje formacji „Czesław Śpiewa”, jak i utwory duńskiego zespołu Mozila: Tesco Value. Gratką dla fanów było bez wątpienia wysłuchanie świeżej kompozycji



z niedoszlifowanym jeszcze tekstem i linią melodyczną. Nastroje po koncercie były niemal euforyczne – Mozil i tym razem zadowolili fanów inteligentnego rocka, punka... tanga i kabaretu. O jego ponadgatunkowości niech świadczy fakt, że na widowni zasiadło wyjątkowo dużo osób w wieku rodziców artysty. Żywiołowy aplauz świadczył o tym, że Czesław łączy pokolenia. Brawa dla organizatorów – trudno o lepszą inaugurację Nowego Roku!

maba

Czesław Śpiewa

3 stycznia 2009
Art Cafe Muza



Womanizer

– czyli pochwała Photoshopa

Księżniczka popu kusząco potrzęsająca cellulitem? Neeeeeee...A może grubymi poślad-

kami? Też nie bardzo. Waleczki tłuszczu na plecach również nie mają szans na aprobatę publiczności i portali plotkarskich. A co jeśli książeczka nie zdążyła schudnąć przed wielkim powrotem? Pozostaje niezawodny Photoshop. I tak właśnie się stało w teledysku Britney Spears do piosenki Womanizer... Wątpliwe wydaje się, czy praca grafików komputerowych była związana z miłością własną pani Spears i obawą przed upublicznieniem niedoskonałego ciała – wszak przez ostatnie miesiące widywaliśmy ją na zdjęciach i wcale nie wyglądała na nich perfekcyjnie. Przeciwnie – wyglądała ludzko, jak każda kobieta, która walczy z kilkoma kilogramami nadwagi, skórą pomarańczową i nadwyreżoną ciążami skórą na brzuchu. Życie takie obrazki pokornie znosi – scena nie. Ale scena nie znosi również fałszu i nie trzeba ani wprawnego oka, ani szczególnej złośliwości, żeby zauważyć, że gabaryty Britney w poszczególnych scenach się różnią, a kuszące uda są to szczuplejsze, to grubsze. Niedopatrzenie? Wina grafika? Możliwe, nie wiadomo. Wiadomo za to na pewno,

że ciało musi sprostać pewnym standardom kultury gloryfikującej chudość.

Czy szczupła, czy gruba Spears jest doskonałą showmanką – niemniej to nie wystarczy, aby być obiektem westchnień milionów mężczyzn i zazdrości milionów kobiet, które pracują nad swoim wyglądem, ale które nie mogą liczyć na pomoc grafika komputerowego, gotowego zastąpić dietę, siłownię i chirurga plastycznego. Żadna, nawet najlepsza piosenka, nie obroni się sama, potrzebuje oprawy. Gdyby to była piosenka rockowa – wystarczyłoby naćpany, niezbyt czysty i niezbyt porządny facet, który nonszalancko wyśpiewałby ją do mikrofonu – opierając się o jego statyw. Ale Womanizer to piosenka pop, która nie istnieje bez książeczki firmującej ją swoim doskonałym ciałem, sprzedającej marzenia o seksie. I może ktoś powie, że uroda nie ma znaczenia? Albo, że liczy się charakter?

A. S

ZAPOWIEDZI MUZYCZNE

Night of Terror - Pyorrhoea, Iperyt, Exhalation, Ulcer Uterus

20 lutego 2009

Będziński Ośrodek Kultury
ul. Małachowskiego 43, Będzin
tel. (0-32) 267-47-38
Bilety 15 zł

End Of Summer Fest - Winter Edition -

23 lutego 2009, godz. 19:00

Traffic, ul. Trznadla 1, Czeladź

The Analogs

28 lutego 2009

Będziński Ośrodek Kultury
ul. Małachowskiego 43, Będzin
tel. (0-32) 267-47-38

Kasia Kowalska - koncert charytatywny

1 marca 2009, godz. 17:00

Sala Teatralna PKZ, Dąbrowa Górnicza
Cegielki dostępne w PKZ - 20 zł

Irena Santor

Sobota, 7 marca 2009, Godz. 18.00

Sala Teatralna
Bilety: 65 zł, 55 zł, 45 zł

MYSLOVITZ 7 marca 2009, 19:00

Art. Cafe Muza, Sosnowiec.

Bilety: przedsprzedaż 40 zł i 50 zł w dniu koncertu

BM

14 stycznia w klubie Elektro w Katowicach wystąpiła niemiecka artystka Barbara Morgenstern.

Królowa avantpopu, cokolwiek to znaczy, ma się dobrze i chyba dobrze czuje się w Polsce. Nic dziwnego, skoro wraca tutaj już po raz kolejny, a odbiór jej twórczości przez nadwiślańską publiczność jest każdorazowo znakomity. Nie psują tego odbioru nawet prapolskie stereotypy z gatunku: nie mów przy dziecku po niemiecku. Polska panią Barbarę kocha i wybacza jej nawet narodowość. Wybacza jej również śpiewanie po niemiecku – w mowie inżynierów, która w ustach pani Barbary brzmi zmysłowo i lirycznie. A pani Barbara nie pozostaje wobec tej polskiej miłości obojętna i na swojej najnowszej płycie pt. BM śpiewa po polsku! Piosenka *Driving in my car*

jest poświęcona (jak się dowiedzieliśmy na koncercie w Elektro) zmianom klimatycznym na świecie i śpiewana po niemiecku, polsku oraz angielsku. Nie temat chyba jest najważniejszy. Piosenka buja i w tym swoim prostym bujaniu trafia prosto do serca. Podobnie jak ona udany jest cały album BM, co potwierdził koncert w Elektro.

Pani Barbara ma niewątpliwy talent w wygrywaniu na swoich klawiszach hipnotyzujących akordów*, które w połączeniu z jej głosem, sprawiają, że na rękach robi nam się gęsia skórka, a nasze oczy stają się szkliste.

pija

*autor przeprasza za swoją całkowitą ignorancję w kwestiach terminologii muzycznej

Poezja i muzyka w „Muzie”

26 lutego w sosnowieckiej Art. Cafe Muza odbędzie się nietypowy wieczór poetycki, który składał się będzie z dwóch części. Najpierw Maciej Melecki, poeta z Mikołowa przeczyta wiersze z wydanego niedawno wyboru „Zawsze wszędzie indziej” – spotkanie poprowadzi Anna Wiech – krytyczka i doktorantka z Uniwersytetu Śląskiego. Później na scenę wyjdzie duet Brzoska & Mosquito, którzy zagra koncert promujący płytę „NIE-takty” (ukazała się niedawno jako dodatek do ogólnopolskiego miesięcznika „Lampa”).

Zapraszamy!!!

Pierogi z... dedykacją

W czasach zarazy, i nie tylko, najważniejsza jest miłość – o czym wiemy po lekturze książki Gabriela G. Marqueza. W czasach kryzysu może nie najważniejsza, ale przecież ważna jest dobra kuchnia. Polecimy tu inną książkę, „Kuchnię na ciężkie czasy” Marcina Szczygielskiego, czyli – jak napisano na jej okładce – „przepisy i sposoby na lepsze życie w czasach kłopotów z domowym budżetem”. Znajdziemy w niej m.in. porady jak zrobić chleb z ziemniaków, jak wykorzystywać kuchenne odpadki, albo zgromadzić takie zapasy, by zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa w każdym przypadku.

Pani Basia z Dąbrowy Górniczej przysłała nam przepis na tanie (5-6 porcji ok. 8 zł) pierogi kryzysowe, które zadedykowała swojemu mężowi Adamowi.

Pierogi kryzysowe dla męża

Ciasto

- 1 kg mąki
- 1 całe jajko (opcjonalnie)
- ciepła woda (ile mąka zabierze)

Z mąki, jajka i wody zagnieść elastyczne ciasto, cienko rozwałkować.

Nadzienie

- szklanka kaszy gryczanej,
- dwie szklanki wody,
- 1 kostka białego chudego twarogu,
- 1 duża cebula,
- ćwierć kostki margaryny stołowej,
- mała łyżeczka masła,
- sól, pieprz.

Sposób przygotowania:

Ugotować kaszę na sypko w dwóch szklankach delikatnie osolonej wody. Obrąć cebulę, drobno posiekać i przyrumienić na ciemnozłoty kolor na margarynie z odrobiną masła, pokruszyć twaróg, dodać do kaszy, wymieszać, zalać tłuszczem z przyrumienioną cebulą, dodać sól i pieprz. Wymieszać, w miarę możliwości maksymalnie ostudzić ciasto jak na makaron. Szklanką wykrawamy krążki i nadziewamy nadzieniem, starając się w miarę możliwości wypełnić maksymalnie ciasto.

Gotowe pierogi wrzucamy na wrzącą wodę i gotujemy do wypłynięcia, odciedzamy na durszlaku. Pierogi podajemy z przyrumienionym masłem lub innym tłuszczem razem z drobno posiekaną cebulą. Do dania można podawać maślaną lub kwaśne mleko. Smacznego.

Prosimy o nadsyłanie przepisów (z dedykacją i najlepiej krótką historią związaną z potrawą) na adres: kuchnia@zaglebiarka.pl

Paola

Rozmowy piwne

Tradycyjne receptury warzenia piwa, tak jak i małe browary, odchodzą w niepamięć. W ostatnich Rozmowach ponarzekał, że poszczególne marki odróżnić coraz trudniej. Bo piwo, przynajmniej według największych producentów, powinno być takie jak statystyczny konsument – niewyraźne. Niezbyt gorzkie, w smaku nieokreślone, takie, do którego łatwo się przyzwyczaić. Piwo zupełnie jak muzyka w tle. Bez właściwości.

Nasz statystyczny konsument wie, co lubi, nie eksperymentuje, bo ma swoje nawyki. W pubie zdany jest na łaskę braku wyboru – dwie, trzy marki różniące się głównie nazwą. Dobrze też wie, gdzie na sklepowej półce stoi to piwo, które pija najczęściej. A gdyby tak nagle nasz statystyczny poczuł ochotę na coś innego? Mogłoby się okazać, że ma problemy z wyborem, bo jednak w delikatesach, a także super- i hipermarketach i w zwyczajnych spożywczych asortyment (wciąż) wcale nie jest najgorszy. Wystarczy się przyjrzeć.

Jest takie piwo, którego pomylić nie sposób. Ciemne, prawie czarne jak palona kawa, hm, bardzo mocno palona. Stout, czyli mocny. Jak żaden inny gatunek kojarzy z jedną marką. W tym wypadku z tą najsłynniejszą, którą zna każdy, z irlandzkim piwem produkowanym w browarze Arthura Guinnessa St. James's Gate Brewery w Dublinie.

Są różne rodzaje stoutów: delikatny Dry Stout, nieco mocniejszy Foreign Extra Stout, mleczny i słodki Milk Stout oraz warzony z dodatkiem owsa Oatmeal Stout. To oczywiście nie wszystkie. Obok przedstawiamy kilka dostępnych marek na naszym rynku. Przetestowaliśmy i wystawiliśmy oceny.



Stout ciechanowski

Jak na stouta kolor trochę niezgodny ze stylem, ciemny, mahoniowo-brązowy. Piana rośnie i znika trochę za szybko. Zapach przyjemny, karmelowo-orzechowy. Smak raczej zachęcający, chociaż za mało intensywny. W sumie jest to piwo zupełnie przyzwoitej jakości, jednak trochę za mało wyraziście. Dajemy mu słabą czwórkę.



Krajan: Irlandzkie mocne

Nie jest to stout, ale po prostu dobre ciemne piwo, które można kupić w bardzo wielu sklepach, dlatego musiało się tutaj znaleźć. Zapach raczej słaby, karmelowy. Piana średnio obfita, niezbyt trwała. Smak tego piwa wynagradza wszystkie inne niedostatki. Bardzo oryginalna i przyjemna nuta. Piątka z małym minusem.



Gab Stout

Kolor jak na stouta przystało – czarny, nieprzenikliwy. Piana gęsta, szybko redukuje się do minimalnego kożuszka. Wyczuwalny zapach palonego słoju, całkiem przyjemny. Smak wyraźnie kawowo-karmelowy. W sumie mocna czwórka.

CIEKAWOSTKI

Ciemne piwo ze względu na zawartość flawonoidów ma podobny wpływ na serce jak czerwone wino.

HUMOR PIWNY

W Londynie odbywa się wielki festiwal piwa. Cztery prezydenci największych browarów chcą się zrelaksować. Umawiają się więc na wieczór w pubie. Podchodzi kelner i pyta, co podać. Jeden z nich, z hiszpańskim akcentem, zamawia pierwszą.

- Senior, najlepsze na świecie piwo, proszę podać Corone.

Drugi z nich, z jowialnym uśmiechem i niemal nie otwierając ust mówi:

- Podaj mi chłopcze The King of Beer, Budweisera.

Następny, z ciężkim akcentem wykrzykuje:

- Podaj mi jedyne piwo, do którego wyrobu używana jest prawdziwa źródłana woda z górskiego źródła Rocky Mountain. Coors poproszę!

Ostatni z nich, szef Guinness'a, zamawia coca-cola. Przez chwilę panowie piją w milczeniu, ale w końcu nie wytrzymują i pytają czwartego, o co chodzi.

- Szanowni panowie, uznałem, że skoro żaden z was nie pije piwa, to ja nie będę się wyłamywał.

Zachęcamy do dzielenia się refleksjami, historiami nowinkami związanymi z kulturą piwną. Z chęcią zamieścimy je na naszych łamach. Listy prosimy kierować na adres:

kuchnia@zaglebiarka.pl

P. S

Nigdy więcej...

Nie będę relaksowała się przy ulubionej muzyce za kierownicą. Dotychczas moje poranki były najmiłą częścią dnia – jeszcze nie do końca obudzona wsiałam do samochodu, zajmowałam wygodną pozycję i na osłep wyciągałam kasety ze schowka. Nieważne, na którą trafiałam – wszystkie trafiały idealnie w mój nieco chaotyczny gust – Kazik funkcjonował obok ścieżki dźwiękowej z musicalu Evita, Michał Bajor obok Pudelsów, a Mozart współistniał z El Dupą... Ryk moich nieco dresiarских głośników budził mnie do życia, krew zaczynała żywiej krążyć, oczy się otwierały i mogłam niemiarko sięgnąć po pierwszego papierosa. Po 10 minutach

byłam gotowa na podbój kolejnego dnia i A4. I czułam się jak w Ameryce – w końcu, ilu Polaków jeździ do pracy autostradą? A ja tak. Ten zbiór kaset to trochę więcej niż tylko przedmioty, to niemal zapis rozwoju mojej osobowości i kształtowania tego, czym jestem teraz. Przez lata uzupełniany, poszerzany, oczyszczany z tego, co przestało mi się podobać, aby finalnie przybrać kształt zbioru doskonałego, w którym każda piosenka jest ulubiona. I w tym kontekście trudno się dziwić, że dzień, w którym odpaliłam furę, a radio nie zadziałało zrobił na mnie większe wrażenie niż panoszący się kryzys gospodarczy. W głośnikach zabrzmiały jakieś ponure traski przyprowadzające mnie o niemiłe dreszcze wzdłuż kręgosłupa a potem wszystko uciхло... Werdykt zaufanego mechanika był ciosem w moje serce i pożegnaniem z nadzieją – mój wy-

służony „kaseciak” nie wytrzymał złego traktowania i bezpowrotnie umarł, musiałam zatem przezwyciężyć skąpstwo (jak zwykle poszło podejrzenie łatwo) i pojechać do hipermarketu. Wyprawa do sklepu skończyła się fiaskiem – mimo że radio kupiłam. Nikt już nie produkuje modelu, który odtwarza kasety, lata zbierania poszły na marne, nigdy już nie posłucham moich ulubionych piosenek, mogę tylko siedzieć nad wielkim pudłem z kasetami i zalewać się morzem łez – co zresztą czynię. A dzisiaj rano wyrwałam z głowy pierwszy siwy włos, który zdradziecko przedarł się przez pokłady farby. Chyba się starzeję...

OSA

Tomasz Kapel

Felieton „repatriaty”

Przychodzi baba do lekarza... a tam Kryzys. Baba myśli sobie: pójde na zakupy, i wszystko gra, aż tu nagle – Kryzys! Baba idzie więc do domu i sięga po pilota, a tam w wiadomościach, filmach, telenowelach, słowem wszędzie, Kryzys. Ciągnie się on miesiącami, ludzie spotykają się wieczorami w knajpach i sączą piwo, poklepując się po plecach. „Ciężko jest...” „Kryzys mamy...” Kobiety plotkują o nim ściszonymi głosami, mężczyźni groźnie mu w mordowniach wygrażają i każdy ma sto i pół pomysłu, jak temu zaradzić. Kryzys jednak ma się dobrze, bo ludzie go potrzebują.

Zastanówmy się przez chwilę nad pierwszym światem i drugim częściowo też. Od niemal siedemdziesięciu lat żadnych poważnych wojen, ogólny dobrobyt, konsumpcja wzrasta, ryzyko dla życia maleje (obzarstwo się nie liczy), po prostu bomba. Ludzie w rodzą się, idą do szkoły, odkrywają prochy i bzykanie, żenią się, robią kariery i dzieci, kupują, tyją, jeżdżą na wakacje – słowem – mają wszystko

w nosie, znaczy są szczęśliwi. Jeżeli masz pecha i żyjesz w kraju takim jak Najjaśniejsza, to trafisz na szlachetki w rządzie i gospodarczy dziki zachód. Ale wracamy do pierwszego świata: spokojny, znużony reality-show TV, spasyony dostatkami Stephen ma teraz wielki Kraizis, powód, by poczuć się jak bohater walki z recesją, kupując nowy hydy tiwi, bo stary ma już rok. Tak, nie ma jak efemeryczny Kryzys, by wszyscy (poza nielicznymi rzeczywistymi dotkniętymi) poczuli się lepiej. To prawie jak „Szczęki 3D”, niby żarłacz, jeszcze nie prawdziwy żarłacz, ale dreszczyk jest, no i jest czym postraszyć beztresowo wychowanego bachora.

W międzyczasie telewizje i gazety robią kasę, politycy nabijają punkty, świat panikuje i przeżywa każde doniesienie z Łolstrit jak objawienia o najmniej z Fatimy – wszystko dzięki Kryzysowi. Pamiętacie jeszcze tragedię 9/11? Było bardzo podobnie, przez parę miesięcy większość cywilizacji zachodniej poklepywała się po pupciach i chlupała do mankietów, jakby każdy pracował, był kochankiem/dzieckiem pracownika albo zderzył się z WTC. Znów w całej przedłużanej żałobie zapomniano o niemedialnych ofiarach i ludziach rzeczywistych dotkniętych. Za każdym razem, gdy jakiś efemeryczny Kryzys uderza, zarządzający mają ludzi z głowy na parę miesięcy.

U nas w Najjaśniejszej jest spokojniej, Kryzysy

mamy co pół miesiąca. Nie wiem naprawdę, dlaczego Szwedzi nie dali naszym rodakom gremialnie i kolektywnie Nobla za cierpliwość. Ale jedną, podstawową receptę nasze rządy już opanowały, Kryzys kontrolnie co chwilę na łeb i ludzie zajmują się chałupniczo polityką, a władze dalej bezwładnie władają. Gdyby Stephen wiedział, że u nas średnio co pół roku od dwudziestu lat atakują emerytowane-radzieckie-bondy z UB, oraz od sześciu lat buszują nindze z Ipeenu, że nie wspomnę o samobójczych-komandach ojca-konkwistadora, pewnie podarowałby sobie hydy tiwi, a kupiłby gnata i suspensor. Dlatego Polska jest cudownie ocalona z Kryzysu, bo nasi rodacy zwyczajnie nie zauważyliby jeszcze jednego. Pewnego dnia nasze gazety obiegną czerwone nagłówki mówiące „KRYZYS MINĄŁ” – mówię wam, wtedy zacznie się masowa panika. Natomiast w świecie większość ludzi czeka, aż kryzys minie, żeby mogli rozejrzeć się po sklepach i znów dostrzec niezmienną cen i promocji, i może nawet pojechać na Ibizę. Pewnie coś się ruszy, coś splajtuję, ale każdy Kraizis ma swoje ofiary – a ten globalny powinien mieć ich sporo... Zgodni jesteśmy jednak, że najwięcej ich powinno być daleko w trzecim, a nawet piątym świecie (czwartą, jak pisałem, cudownie ocalał). Pozostanie wspomnienie o Kryzysie i strachu przed podwyżką w działach RTV i AGD.

Aleksandra Sarna

Minęło zaledwie kilkanaście dni od grudniowej orgii konsumpcyjnej, podczas której większość z nas leżała na kanapach z rozkosznie ciepłymi, bo wypełnionymi górami jedzenia brzuchami. Jeszcze kilkanaście dni temu świętowaliśmy, jedliśmy, piliśmy i zniechęceni aurą raczej nie opuszczaliśmy domostw. I dopiero wizja pękających w szwach i ciasno opinających bynajmniej niewychudzone ciała kreacji sylwestrowych skłaniała do poderwaniu się z wygodnego miejsca przed telewizorem i oderwaniu się od talerza z ciastkami. Efekty widać głównie w siłowniach czy klubach fitness – jeszcze w listopadzie można było poćwiczyć w ciszy i spokoju, okupować bieżnię, z której teraz zganiają mnie tłumy oczekujących, mierząc mnie wzrokiem nienawistnym i jasnym przesłaniem: „zdychaj”. Zrobienie tzw. serii okazuje się zadaniem niewykonalnym – oczekiwanie na poszczególne maszyny wydłuża się niemiłosiernie, więc zamiast ćwiczyć podpieram ścianę i przysłuchuję się rozmowom,

nie udając nawet, że podsłuchiwanie nie tkwi w mojej naturze. Co tam tkwi – kwitnie, rozrasta się, a co gorsza – jest starannie pielęgnowane. Ale abstrahując od nawyku podsłuchiwania (który woleć elegancko nazywać „predispozycją do wykonywania zawodu psychologa”), przejdźmy do meritum. Tematyka rozmów nie jest zaskakująca – królują diety: kopenhaska, Zone, Kwaśniewskiego, Atkinsa, hinduska, hollywoodzka i nie wiadomo jaka jeszcze. Każda z nich ma zagwarantować schudnięcie ofiarom postanowień poświątętno – noworocznych. Każda czegoś tam zabrania, każda czegoś zakazuje, jest skomplikowana w stosowaniu, wymaga mnóstwa czasu na krojenie, siekanie i przyrządzanie potraw dietetycznych zgodnie z zasadami sztuki (yyyyyy?), a ominiecie jakiegokolwiek zalecenia jest równoznaczne z klęską i koniecznością zaczynania wszystkiego od nowa. Tylko pełne przestrzeganie programu ma doprowadzić kobiety do idealnej sylwetki. Myślę sobie, że do idealnej sylwetki to może niekoniecznie, ale na jakąś małą nerwicę natrętną szansę są spore... Po sprawdzeniu niektórych diet w Internecie nie sposób opędzić się od wizji kobie-

ty z szaleństwem w oku i wielkim nożem, którym sieka przepisywano 27 deko marchwi oraz 3,5 łydgy selera naciowego...

Może czasem warto przywrócić odchudzaniu właściwe proporcje? Przejsięcie na dietę jest wyłącznie kwestią decyzji i niczego więcej. Nie sposób tego obejść, przejść bezboleśnie i zapomnieć. Szczupła sylwetka wymaga pracy – i to pracy przez całe życie. Sprawa jest prosta – albo chcę być szczupłą i nie jem tego pysznego, słodkiego i tłustego ciastka już dzisiaj, albo nie chcę być szczupłą i zjadając się czekoladą myślę sobie, że od poniedziałku przestanę to robić. Nie od poniedziałku – od dzisiaj, od zaraz, bez względu na to, ile dietetycznych grzechów zdążyliśmy popełnić. Nawet jeśli jest późny wieczór, dzięki tej jednej decyzji popełnimy co najmniej jeden mniej, zanim pójdziemy spać.

Nie oszukujmy się zatem – produkty żywnościowe i potrawy, które nie są zagrożeniem naszym sylwetkom, są bardzo łatwe do rozpoznania – to te niedobre...

Palma złota

Świętem kina dlatego jest festiwal w Cannes, że to tam, a nie w Hollywood czy nawet w ważnych miastach festiwalowych, jak Berlin, Wenecja czy Toronto o wielkości filmu w największym stopniu decyduje jego poziom artystyczny, waga społeczna, oddziaływanie na widza. Konkurs na festiwalu w Cannes wyznacza każdego roku dla wielu tysięcy czy nawet milionów ludzi na całym świecie mapę kina absolutnie bezkompromisowego. Daje też wielu niskobudżetowym produkcjom możliwość dotarcia do widza w każdej części globu. Na tym polega paradoks, ale i magia festiwalu w Cannes, że potrafi on z filmów będących zaprzeczeniem komercji uczynić propozycje, na które rzesze widzów czekają z zapartym tchem jeszcze długo przed ich ukazaniem się na dużych ekranach. Dotyczy to wszystkich pokazywanych w sekcji konkursowej filmów, ale przede wszystkim tego, który nagrodzony zostaje Złotą Palmą. Takie zaskakujące, ale absolutnie zasłużone werdykty z ostatnich lat jak „Dziecko”, czy „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni” potwierdzają to wszystko, co o tym festiwalu zostało wcześniej powiedziane. Potwierdził to także zdobywca Złotej Palmy w 2008 roku, francuski film „Klasa”, który niedawno wszedł na ekrany polskich kin. „Klasa” Laurenta Canteta to skromny, autorski obraz, który

siłą swojego przekazu i poziomem artystycznym zachwycił już nie tylko jury, któremu w 2008 r. przewodził Sean Penn. Film przedstawia nie tylko pewne konkretne środowisko, ale także społeczeństwo wielokulturowe Francji czy wielu innych krajów świata, na przykładzie jednej z gimnazjalnych klas, którą prowadzi Francois. Grupa uczniów składa się z przedstawicieli różnych kultur, wyznań, narodowości. To nadaje filmowi wymiaru metaforycznego. Nie jest to klasa, którą uczy się łatwo i przyjemnie, tego właśnie doświadcza Francois. Jednak przyjemnie patrzy się na jego pracę. Jest to bowiem, choć czasem popełniający błędy, człowiek z pasją. Człowiek, który zdaje się doskonale wiedzieć, dlaczego robi to, co robi, i ta wiedza pewnie pomaga mu przetrwać chwile zwątpienia w jakiegokolwiek skutek własnych starań. I tu dochodzimy do istoty tego filmu. Jeżeli bowiem ktoś szukałby w nim odpowiedzi na problemy nie tylko współczesnej edukacji, młodzieży, ale i całych społeczeństw, to jest ona ukryta w postawie tego jednego człowieka. Wytrwałość pomimo porażek, wierność tej pasji, o której w trudnych czy wręcz krytycznych chwilach tak łatwo zapomnieć, cierpliwość i pokora, czy wreszcie szacunek do każdego człowieka, nawet wtedy, kiedy on zdaje się go nie odważajmniej. Właśnie te cechy, a przede wszystkim wytrwałe w nich trwanie pozwalają nauczycielowi zwyciężyć. Zwyciężyć jednak nie nad uczniami, ale zwyciężyć razem z nimi.

„Klasa” dotyka problemów wychowawczych i politycznych, zawsze jednak rozwiązanie sprowadza się do postaw poszczególnych ludzi. Dlatego film ten jest tak uniwersalny i pewnie dlatego został zauważony w Cannes. Daje bowiem widzowi możliwość skonfrontowania swoich postaw z postawami bohatera. Swoich postaw jako nauczyciela, urzędnika, pielęgniarki czy sędziego. Wreszcie swoich postaw w rodzinie, w związku, w przyjaźni czy nieprzyjaźni. Na tym przecież polega wielkość filmu, że daje widzowi szansę, by zobaczył swoje życie na nowo, że pozwala mu wyjść z sali kinowej choć trochę bardziej cierpliwym, kochającym, uważnym czy tolerancyjnym. A błędy popełniane przez Francois tylko nam to ułatwiają, przez możliwość pełniejszego utożsamienia się z nim. Błędy te czynią też z niego człowieka z krwi i kości. Jest to postać, o którą w dzisiejszym kinie trudno i która długo pozostanie w tych, którzy wybrali się lub wybiorą na „Klasę”, skromny, wielki film Laurenta Canteta.

Krzysztof Knefel

Klasa

produkcja: Francja, 2008
gatunek: Dramat obyczajowy
reżyseria: Laurent Cantet
scenariusz: Laurent Cantet, Robin Campillo
zdjęcia: Pierre Milon
czas trwania: 128 min

Mistrz Lucha libre

Darren Aronofsky potrafi tworzyć świetne filmy, czego kolejnym przykładem jest „Zapaśnik” (The Wrestler), a Mickey Rourke kreować role przekonujących bohaterów – twardzieli, niegłupich gości, których życie skręciło gdzieś na manowce, pogubionych i działających wbrew sobie, ale nie wbrew swym najważniejszym zasadom. To niewątpliwe. Rourke po nieudanych operacjach plastycznych i kontuzjach odniesionych w prawdziwym ringu – aktor jest profesjonalnym bokserem – nie przypomina przystojniaka z filmu „Diner”, co sprawia, że do tej roli nadaje się idealnie. Wrestling, czyli odmiana zapasów, która wciąż jest popularna chyba już tylko w Meksyku (gdzie nazywana jest Lucha libre z hiszp. „wolna walka”), to właściwie nie sport i raczej nie sztuka. To wyreżerowane widowisko, w którym zawodnicy nie tylko wyglądają jak przerażające postaci z horrorów,

ale też zadają sobie najbardziej mordercze ciosy, jakie tylko można wymyślić – obrzucanie się obelgami albo wszystkim, czym tylko da się rzucić w przeciwnika, niezależnie od tego, czy jest to kosz na śmieci, czy sędzia, to w tej dyscyplinie codzienność. Tacy zapaśnicy jak Terry „Hulk” Hogan byli idolami, gwiazdami masowej wyobraźni. Czy jest to sport albo sztuka to akurat wątpliwe. Randy „The Ram” Robinson też był gwiazdorem. Szczyt kariery i największe tryumfy ma już za sobą, a stan zdrowia po ataku serca nie pozwala na dalszą walkę. Próbuje więc zapomnieć o byciu zapaśnikiem, znaleźć sobie inną pracę, a przede wszystkim powrócić do wszystkiego tego, o czym kiedyś starał się zapomnieć. Wiąże się z pracującą jako striptizerka samotną matką, stara się też poprawić swoje stosunki z córką, spróbować raz jeszcze podołać obowiązkowi ojca, do czego niegdyś nie był zdolny. Ale jedyne ciosy, które potrafi wytrzymać, to te, które zadają przeciwnicy na ringu. Prawdziwe życie wiąże się z lękiem przed odrzuceniem, a tylko owacje tu-

mu pomagają o tym zapomnieć. Właściwie Rourke zagrał już kiedyś podobną rolę w filmie „Swoją chłopak” (Homeboy), którego bohaterem był Johnny Walker, nieszcześliwie zakochany kowboj i bokser. Jego upadek przypieczętowało przekonanie, że jest już zbyt stary, by poświęcić się miłości, a jeszcze na tyle młody, by dalej walczyć. Mylił się. Tak samo mylił się „The Ram” Robinson. Historia zapaśnika nie jest być może szczególnie skomplikowana, jednak przedstawiona na tyle dobrze, że film warto polecić. „Wrestler” wygrał festiwal w Wenecji, a to musi coś znaczyć.

ps

Zapaśnik

produkcja: USA, 2008
gatunek: Dramat
reżyseria: Darren Aronofsky
scenariusz: Robert D. Siegel
zdjęcia: Maryse Alberti; muzyka: Clint Mansell
czas trwania: 105

„Kręcimy pornola”

Zack i Miri są parą przyjaciół. Znają się od czasów szkolnych, wspólnie wynajmują mieszkanie i pracują w tej samej kawiarni. Łączy ich poczucie humoru, poglądy na życie, niezapłacone rachunki, cóż prawie wszystko ich łączy i – co się wyczuwa od pierwszych minut filmu – miłość w końcu musi ich dopaść. Nim to się jednak wydarzy, wezmą udział w bardzo nietypowym przedsięwzięciu. Tak w największym skrócie rysuje się fabuła chyba jednej z bardziej zabawnych komedii ostatnich lat. Zack jest nieco gruboskórnym, kudłatym tłuściszkiem z wielkim dystansem do siebie. Miri to delikatna dziewczyna, marząca o księciu z bajki, którym równie dobrze mógłby być pewien nieokrzesany, brzu-

chaty kudłacz, gdyby tylko spróbował trochę nad sobą popracować. On nigdy nie powiedziałby jej, co do niej czuje, a ona nie przyznałaby się, że on jest mężczyzną jej życia. Uczucie ich onieśmiela... ale to nie przeszkadza im zostać producentami filmu pornograficznego oraz w nim zagrać. To ostatnie właściwie udało się tak nie do końca. Na pomysł wpadają podczas imprezy dla absolwentów. Kto nie chciałby zobaczyć swojej dawnej koleżanki z klasy uprawiającej seks z kolegą sprzed lat? No i kto nie kupiłby takiego filmu? Jest pomysł i mnóstwo entuzjazmu. Zamierzenie od samego początku napotyka na trudności nieprzewidziane oraz takie, które chyba dało się przewidzieć. Oczywiście, jak łatwo się domyślić, nie samo kręcenie filmu dla podreperowania budżetu okaże się najważniejsze, ale miłość i przyjaźń – już niedługo amatorzy,

którzy spotkają się na castingu ogłoszonym przez tytułową dwójkę, staną się zgraną ekipą. Jak to w komedii romantycznej. W „Zack i Miri kręcą porno” fabuła nie jest może bardzo istotna, ale jak na ten gatunek i tak nie jest zła, a czasem naprawdę zaskakująco. Świetne, inteligentne i lekkie dialogi sprawiają, że film ogląda się z dużą przyjemnością.

ps

Zack i Miri kręcą porno

produkcja: USA, 2008
gatunek: Komedia romantyczna
reżyseria: Kevin Smith, scenariusz: Kevin Smith
zdjęcia: David Klein muzyka: James L. Venable
Czas trwania: 102 min

Nareszcie! – Tak zapewne powitało ukazanie się dzieła wielu będzinian. Ale nie jest to wyłącznie ich sprawa. Wyniosła bryła zamku na wzgórzu przypomina, że mamy do czynienia z miejscem ważnym dla wszystkich Polaków. Wszak to „Strażnica Królestwa Polskiego”, broniąca wrogom dostępu do serca kraju – stołecznego Krakowa – od zachodu i od południa. O tym możemy dowiedzieć się z nowego opracowania (monografii): *Będzin 1358–2008* w trzech okazałych, bardzo ładnie wydanych tomach. To niezmiernie użyteczny pomnik dawnej świetności i obecnych dokonania. A przede wszystkim źródło wszechstronnej wiedzy o Będzinie, jego przeszłości i stanie dzisiejszym.

Wbrew pozorom nie jest łatwo doprowadzić taki projekt do szczęśliwego finału. Ma z tym kłopoty, kreujący się na stolicę Zagłębia Dąbrowskiego, Sosnowiec, mimo iż dysponuje dużo większymi możliwościami. W takich przedsięwzięciach największą trudność stanowi skompletowanie specjalistów z różnych dziedzin, ponieważ w zamysle inicjatorów monografii Będzina było opracowanie wszechstronne, to znaczy stworzenie kompendium obejmującego całość wiedzy o mieście. Udało się zaangażować aż 34 autorów, przeważnie naukowców z Uniwersytetu Śląskiego, a nie zabrakło także badacza z krakowskiego oddziału PAN. Oprócz nich do powstania monografii przyczynili się pracownicy Muzeum Zagłębia w Będzinie i specjaliści z Urzędu Miasta oraz amatorzy-pasjonaci. Nad przebiegiem prac czuwał w imieniu władz Będzina Zespół Redakcyjny Wydawcy w osobach: Anny Smo-

gór – dyrektora Muzeum Zagłębia, Jarosława Krajniewskiego, historyka i kustosa tegoż Muzeum oraz redaktora Romana Szenka – regionalisty z zamiłowania.

Nader liczny zespół autorski wywiązał się z zadania znakomicie, co nie oznacza, że wszystkie rozdziały są jednakowo dobre. Powstało więc dzieło znacznych rozmiarów, podzielone na trzy okazałe tomy, z najobszerniejszym druku. Już z tego wynika, że nie sposób

dokładnie przedstawić zawartości monografii. Wystarczy stwierdzić, iż spisy treści w każdym tomie są co najmniej równe objętości niniejszego tekstu. Dokładne, wręcz drobiazgowo, wyliczenie zawartości to oczywista zaleta z punktu widzenia czytelnika. Niewątpliwie ogromną pomocą są też starannie wykonane indeksy osób i nazw geograficznych. Ponadto, każdy tom zawiera wykaz dotychczasowych publikacji.

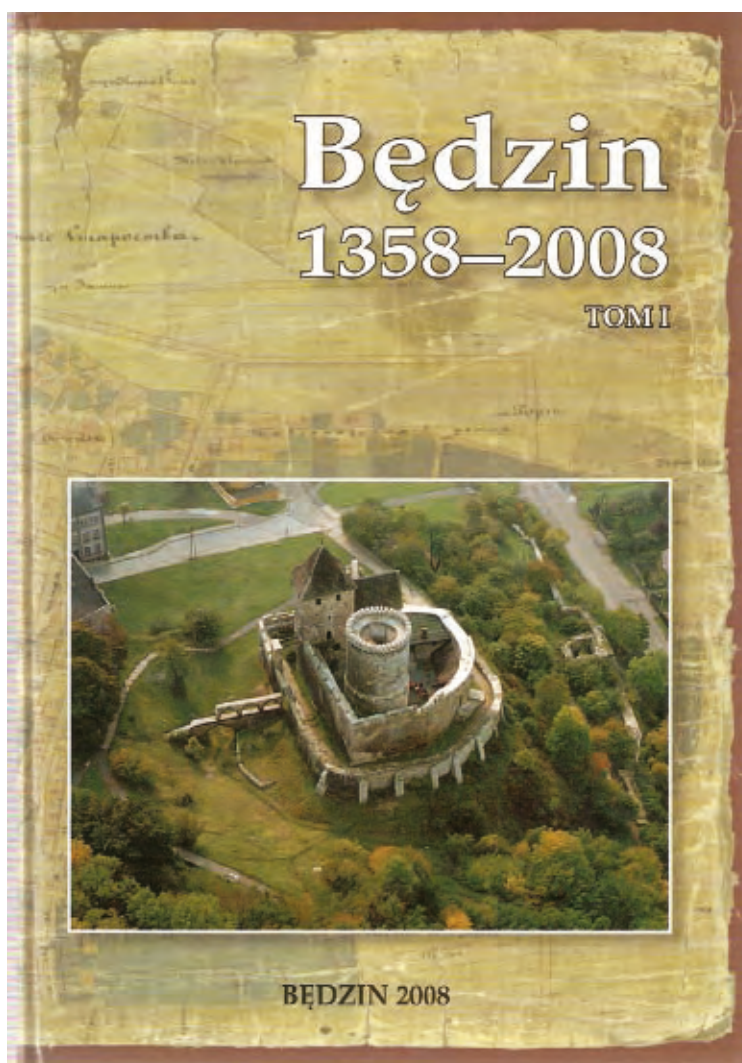
Wszyscy, którzy interesują się Będzinem, znajdą w monografii nieprzebrane bogactwo spraw, faktów, wydarzeń, osób. W miarę możliwości autorzy uwzględniają przeszłość tych osad, które obecnie znajdują się w granicach Będzina. To nie jest książka, którą czyta się raz i odstawia na półkę lub zgoła pozbywa; do takiego dzieła ciągle się wraca. Szczególnie często będą po nie sięgać ludzie czynnie uczestniczący w życiu publicznym. W dobie samorządności jak najwięcej obywateli powinno znać historię i teraźniejszość swej „najmniejszej ojczyzny”. Wiedza taka sprzyja aktywności, a w nie mniejszym stopniu zespala społeczność lokalną wokół wspólnych znaków i symboli. Bez tego nie ma społeczeństwa obywatelskiego.

Układ pracy jest złożony. Tom pierwszy poświęcono środowisku przyrodniczo-geograficznemu Będzina. Opracowało go czternastu autorów wraz z jego redaktorką dr hab. Marią Z. Pulinową, prof. UŚ, specjalistką z zakresu geografii – geomorfologii. Na dobrą sprawę tytuł tego tomu jest mylący, ponieważ jego faktyczną zawartość można by określić słowami: „Przyroda – człowiek – gospodarka”. Nic dziwnego, bo autorzy są w ogromnej większości badaczami z Wydziału Nauk o Ziemi UŚ.

Nie za często nawet dużo większe miasta porywają się na tego typu przedsięwzięcia, kosztowne i trudne do zrealizowania. Z tym większym uznaniem trzeba odnieść się do inicyjatywy ludzi, którzy słusznie rozumują, że naukowy zapis historii i współczesności jest ciekawym i pożytecznym sposobem uczczenia jubileuszu 650-lecia miasta

Wielka Księga

Jan Walczak



Jerzy Nita opracował zarys fizjografii, budowę geologiczną i górnictwo w aspekcie geologicznym i likwidacji skutków eksploatacji górniczej. Rzeźbę terenu przedstawili: Marian Pulina (już nieżyjący), Maria Z. Pulinowa i J. Nita. Damian Absalon i Andrzej T. Jankowski zajęli się tematem wód



powierzchniowych i podziemnych. Mieczysław Leśniok opracował warunki klimatyczne i zanieczyszczenie powietrza. Problematykę środowiska przyrodniczego kończy Andrzej Czyłok rozdziałem o przyrodzie ożywionej (roślinność, świat zwierzęcy).

Powyższa „wyliczanka” daje dobre wyobrażenie o tej części tomu pierwszego, lecz z konieczności jest oczywiście zbyt „sucha”, by zilustrować walory poszczególnych opracowań. A warto np. wiedzieć, że układ sieci rzecznej stworzył dogodny warunki do osiedlenia się w pradziejach ludzi tu, gdzie dzisiaj stoi Będzin. Ważna jest informacja o znacznym spadku w ostatnich latach zużycia wody przez gospodarstwa domowe (prawie o połowę) i przemysł. Wiadomość bardzo dobra, bo wody coraz mniej, dziwi jednak mniejsze zapotrzebowanie na cele domowe; czy tylko z powodu właściwie pojętej oszczędności? Dowiadujemy się też, gdzie w Będzinie jest tzw. zdrowe powietrze, a gdzie gorsze. Wyniki pomiarów się przydają, bo nie zawsze daje się to po prostu „wyczuć”.

Następna część tomu I przedstawia ludność Będzina, gospodarkę i kul-

turę, w niektórych przypadkach z odniesieniami do dalszej lub bliższej historii. Maria Tkocz zajęła się ludnością i gospodarką w czasach dzisiejszych. Między innymi dowiadujemy się, jak wyglądała gospodarka do niedawna i jak się przekształciła po 1989 r. Sprawa jest jasna: zmalała sfera publiczna (państwowa), a ogromnie powiększyła się sfera prywatna. Jednak ta pierwsza nadal zatrudnia 8897 osób (2003 r.), podczas gdy druga – 9639.

Sfera prywatna to prawie wyłącznie handel i usługi. To nie przypadek. Przez całe wieki były one podstawą egzystencji ludności Będzina. Ich znaczenie ilustruje rozdział pt. Będzin – regionalnym ośrodkiem handlu od wczesnego średniowiecza do współczesności, napisany przez Elżbietę Zusańską-Żyśko. Natomiast Urszula Myga-Piątek pokazuje, jak działalność człowieka zmienia oblicze ziemi. Dzieciństwo przeszłości w naszym życiu opisała Dobrawa Skonieczna-Gawlik w rozdziale o zwyczajach i obrzędach dorocznych oraz tradycjach rodzinnych mieszkańców Będzina. Znaczenie przyrody dla człowieka na przykładzie czasów najdawniejszych pokazują M. Z. Pulinowa, A. Czyłok i J. Nita. Z kolei Wojciech Czech, b. wojewoda śląski, zwraca uwagę na znaczenie ładu przestrzennego w mieście, warunkującego zrównoważony rozwój.

Tom II poświęcony jest najdawniejszej historii Będzina i okolic; od pradziejów do rozbiorów Polski w końcu XVIII w. Jego redaktorem jest dr hab. prof. UŚ. Jerzy Sperka, miediewista, uznany badacz historii miast naszego regionu. Tom II podzielono bardzo precyzyjnie na części i rozdziały. Część I w całości opracowała Aleksandra Rogaczewska, która zajęła się archeologią Będzina i okolic. Trudno sobie wyobrazić lepszego znawcę tematu. Dość powiedzieć, że to jej badania przesunęły najwcześniejsze początki grodu do połowy IX w. n.e. Dla historii miasta to nawet ważniejsze niż fakt, że pierwsi ludzie pojawili się tutaj jakieś 100 tys. lat wcześniej. Dalszy rozwój grodu śledzi Bożena Czwojdrak. Na jego dziejach silnie odcisnęło się nadgraniczne położenie. Najpierw chodziło o granicę między Śląskiem a Małopolską. Początkowo gród należał do plemienia Wiślan, a później tych, którzy władali Krakowem. Długo pełnił głównie funkcję strażniczą. Znaczenie Będzina podnosiło położenie na wielkim szlaku

handlowym Wschód-Zachód, biegnącym przez południową Polskę z odgałęzieniem ku bramie morawskiej.

Jerzy Sperka omówił dalsze dzieje Będzina, szczególnie po nadaniu mu praw miejskich (lokacji) w 1358 r. Zanim powstało miasto, pod grodem istniała osada, która zapewne w końcu XIII w. stała się wsią na prawie niemieckim, zarządzaną w imieniu właściciela (księcia, króla) przez sołtysa.

Z1301 r. pochodzi dokument wymieniający pierwszy raz Będzin. W końcu XIII w. zaczęto też na miejscu grodu budować Zamek. Jak podkreśla J. Sperka, lokacja nie zapoczątkowała, lecz zwieńczyła proces tworzenia miasta. Było ono wtedy własnością Króla Polski, dlatego podlegało jego przedstawicielowi – wójtowi, zwanemu później burgrabią. Prawdopodobnie Będzin liczył wówczas około 200 mieszkańców. W końcu XIV w. posiadłości królewskie w rejonie Będzina przekształcono w tenutę (dzierzawę), czyli starostwo niegrodowe.

Następne wieki (XVI–XVIII) opracował Karol Nabiałek. Początek tego okresu zaznaczył się największym rozwojem dawnego Będzina. W okolicy powstawały nowe osady, nabierał znaczenia handel i rzemiosło. Ludność miasta, według szacunków, doszła do 1240 osób na przełomie XVI/XVII w., jeśli liczyć tylko katolików. Pojawił się samorząd miejski z obieralnym burmistrzem. Był to również czas świetności parafii będzińskiej i grodzieckiej; dorobiły się one szpitala, przytułku, szkółek, a nawet biblioteki. Na granicy zapanował dłuższy okres spokoju.

Najazd szwedzki (1655–1656) nie wyrządził większych szkód. Później nastąpił upadek, z którego miasto podnosiło się powoli w II połowie XVIII w., dochodząc do prawie 1000 mieszkańców. W Będzinie dość wcześnie zaczęli osiedlać się Żydzi; w szczytowym okresie mieszkało ich tu około 250. Ich dzieje, sytuację i koegzystencję (niezbyt przyjazną) z ludnością chrześcijańską przedstawia Jarosław Krajniewski. Na końcu tomu II K. Nabiałek zamieścił spisy burmistrzów, rajców, wójtów sądowych, ławników, pisarzy miejskich itp.

Tom III ma objętość równą dwóm poprzednim, choć obejmuje „tylko” niewiele więcej niż dwa wieki dziejów Będzina od 1795 do 2008 r. Ta epoka zaczyna się ogromnym przyspieszeniem, wciąż nabierającym tempa.

Mnogość spraw i wydarzeń oszałamia: epopeja napoleońska, zmiany zaborców, powstania narodowe, kapitalizm, przemysł, kolej, nowe klasy społeczne, nowe prądy ideowe (nacjonalizm, syjonizm, socjalizm, komunizm, liberalizm, konserwatyzm itp.).

Zespół autorski tego tomu pod redakcją dr hab. Anny Glimos-Nadgórskiej miał znacznie trudniejsze zadanie niż autorzy tomów poprzednich, ponieważ w niewielkim stopniu mógł oprzeć się na wynikach wcześniejszych badań. Szczególnie dotyczy to czasów po 1918 r. Większość autorów osobiście przeprowadziła tzw. badania źródłowe w archiwach.

Obraz rozwoju i przemian Będzina w XIX, XX i na początku XXI w. wprost fascynuje. Zakres tematyczny poszczególnych części i rozdziałów jest bardzo szeroki: status prawny, ustrój i władze miasta, przynależność administracyjna, ludność i jej zajęcia, gospodarka, majątek i finanse miejskie, zabudowa, stan sanitarny, oświata, itd.

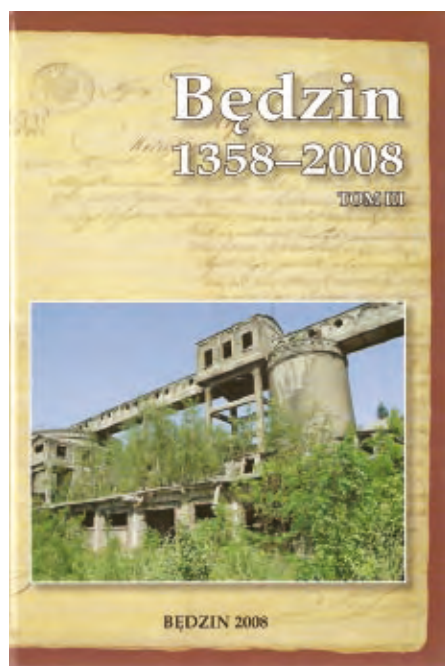
Wczęści pierwszej tomu III (1795–1914) Marek Nita przedstawia te zagadnienia, ujmując poszczególne okresy dziejów Będzina w rozdziałach, których tytuły wiele mówią: Pod zarządem pruskim (1795–1806); Królewskie wolne miasto Będzin w Księstwie Warszawskim (1807–1815); Miasto narodowe (1815–1831); Miasto rządowe (1832–1866); Miasto powiatowe w Królestwie Polskim (1867–1914). Jarosław Krajniewski osobno przedstawia gminę żydowską, Anna Glimos-Nadgórka szkolnictwo, a Jacek Kurek – życie religijne, obyczaje i kulturalne.

Rozwój Będzina w XIX i na początku XX w. odbywał się inaczej niż pozostałych miast Zagłębia Dąbrowskiego, jak Sosnowiec czy Dąbrowa Górnicza. W mniejszym stopniu zależał od przemysłu, więcej zawdzięczał handlowi, usługom i szkolnictwu. Bardzo mu sprzyjało położenie na przecięciu szlaków kolejowych. Mimo wojen, powstań i rewolucji były to na ogół czasy pomyślne dla Będzina. Na przykład liczba jego ludności od końca XVIII w. do 1913 r. wzrosła z 600–700 osób do 55 tys. Znacząco powiększyła się liczba Żydów; ich udział wśród całości wynosił pod koniec XVIII w. około 20%, w 1913 r. – 50%.

Część II tomu III (1914–1945) obejmuje czasy bardzo burzliwe. Bar-

dzo ciężko przeżył Będzin okupację niemiecką podczas I wojny światowej. Ryszard Kaczmarek dokładnie opisał straty miasta i cierpienia ludności, która zmniejszyła się prawie dwukrotnie. Lech Krzyżanowski przedstawia czasy Drugiej Rzeczypospolitej. Pokazuje, jak we własnym państwie mieszkańcy potrafili korzystać z nowych możliwości. Wzrosła aktywność społeczno-polityczna, działały najróżniejsze partie, stowarzyszenia i związki zawodowe. Miasto znacznie powiększyło obszar i ludność; nie zdołano jednak w pełni odrobić strat z I wojny światowej, ponieważ w 1939 r. mieszkało tu 5 tys. osób w tym około 45% Żydów. Będzin utrzymał status ośrodka władzy powiatowej.

Aнна Glimos-Nadgórka wskazuje na poważny rozwój oświaty, szkół



powszechnych, doksztalcających, a Mariusz Trąba przedstawia bogate życie religijne Żydów i chrześcijan. Całość uzupełnia Mirosław Ponczek skromnym rozdziałem o ruchu sportowym. Ciekawym przyczynkiem jest rozdział Zbigniewa Fuińskiego na temat garnizonu będzińskiego i udziału jego żołnierzy w kampanii wrześniowej 1939 r. Część tę zamyka rozdział o Będzinie podczas okupacji hitlerowskiej, także w tym przypadku bardzo kompetentnie napisany przez R. Kaczmarka, i osobny rozdział poświęcony zagładzie ludno-

ści żydowskiej, którego autorką jest Aleksandra Namysło.

Wreszcie część III obejmuje ostatni okres dziejów miasta po 1945 r. Są to czasy budzące ogromne emocje, toteż trzeba podkreślić, że wszyscy autorzy skupiają się na faktach i są powściągliwi w ocenach. Kazimierz Miroszewski bardzo musiał się napracować, żeby ukazać Będzin w powojennej Polsce do 1989 r. Dzieje Kościoła katolickiego opisał Mariusz Trąba. Aleksandra Namysło naszkicowała życie bardzo już nielicznych mniejszości wyznaniowych. Anna Glimos-Nadgórka z braku dokumentacji dała ogólną charakterystykę rozwoju szkolnictwa i oświaty. Sławomir Witek zaprezentował sport, rekreację, kluby, organizacje i obiekty służące tym dziedzinom w latach 1945–2007. W podobnych ramach czasowych Miłosz Skrzypek zaprezentował życie kulturalne.

Będzin w czasach III Rzeczypospolitej przedstawia Marek Barański. Jest to rozdział duży i ważki, ponieważ można zaczerpnąć z niego niezbędną wiedzę na temat samorządu gminy. Autor omawia najważniejsze akty prawne i ustawowe zadania władz samorządowych. Przyda się to każdemu, kto chce świadomie uczestniczyć w życiu miasta. Z zainteresowaniem czyta się o przebiegu transformacji gospodarczej; liczby są tyleż suche, co dramatyczne. Ponadto autor szczegółowo przedstawia rozległą panoramę partii politycznych, kampanie wyborcze i ich wyniki, związki zawodowe i stowarzyszenia społeczne.

Całości dopełnia Sławomir Brodziński Aneks – Władze samorządowe miasta Będzina 1990–2008 r. Jest to wykaz radnych, członków komisji RM, prezydentów i członków Zarządu Miasta.

Szczerze zachęcam do zainteresowania się „Wielką Księgą”.

**Monografia „Będzin 1358–2008”,
Tom I – III**

Związek Zagłębiowski – wydawca „Nowego Zagłębia” gorąco poleca czytelnikom lekturę miejskiej monografii tego historycznego grodu, tak wyczerpująco omówionej przez prof. Jana Walczaka. Jest to bowiem jedno z pierwszych, tak kompleksowych dzieł poświęconych tej ziemi. Dla miłośników regionalistów pozycja wręcz niezbędna.

ZIELEŃ MAŁGORZATY

ZIELEŃ NIEBIESKAWA, DREWNIANE MUMII DZIECIECIEJ Z MEMFIS. JEST BEZ POŁYSKU, SZARA
WA, ALE NOŻEM PRZETARTA UKAZUJE ŻYWSZĄ NIEBIESKOŚĆ. JEST, TO BŁĘKIT MIEDZIOWY, KTO
RY Z BIEGIEM CZASU PRZEOBRZIŁ SIĘ W NIEBIESKAWĄ ZIELEŃ. E. Berger
POKRYWY "Die Maltechnik des Altertums"

SKARABEUSZ Z MALACHITU. ARCHEOLOGIA WSPOMNIEN. TURKUS,
TURKUS, TURKUS! SKROMNA TRZCINOWA ŁÓDZ JZYDY PRZYPEŁYWA
AŻ ZE STAREGO PAŃSTWA. Z DOLNEGO EGIPITU MOJEJ PAMIĘCI. ŁÓDZ SNU
KTÓRĄ SPEŁNYŁA MAKGORZATA: ARCHAICZNA DZIEWICZA NAMIĘTN
OSC. PLATONICZNA SKAMIELINA. MUMIA MIKOŚCI. ZIELONA TOŃ I PA
PIRUSOWE ZAGAJNIKI. NENUFARY I LAZUR. LOTOS I IBISY. SPOKOJNY
ODDECH. RADOŚĆ OCZEKIWANIA. SKONECZNY CZŁONEK SIEGAJĄCY
WÓD POKUDNIA. ZIELONA TKANINA ODDANIA. WADZET, SIOST
RĘ TEFNUT, OTACZA STADO KACZEK O SMUKŁYCH SZYJACH. MOC
ZIELONEGO WĘŻA POCHODZI Z MOCY PAPIRUSU A WSPOMAGA WKŁAD
ZĘ FARAONÓW. ONI RZĄDZA NIEPODZIELNIE JAWĄ ALE WŁYWAJĄ TEL
NA BIEG SNÓW. NOŻEM W RECE FARAONA WODZI WADZET. POCIE
RA NIM NIEBO KTÓRE PRZEJASNIA SIĘ, PRZEMYWA OKO R.E. POTEM
SWOJE A TEFNUT POKRYWA JE WILGOTNYM ŚWIATŁEM. ŚWIAT
YNNE, ZIELONOOKIE KOTY MROŻA BŁYSZCĄCE ŚLEPIA BOST. LE
W ZIELONY. NOCNA ŁÓDZ RE WYDŁUWA Z KROLEWSKI
CH KSIĄG ZAŚWIATOWYCH. MU
RYSA KIEŁKUJĄCEGO, O
PORASTA ZBOŻEM. ZIELE
USZA OPLATA ŁASKĘ
ONIEBIESKIE PIORA
KOSZULKA GIBKIEJ
PACIORKI Z NASZ
UT MŁECZNEJ W
ÓW LOTOSU
AGORY. GRY
GIA SZMAI
MIE
SPO
YT, NA



MA OZY
DRADZA SIĘ
NIEJE. SIKA URE
MOCY. ZIELON
KACZEK TO
WADZET!
YNIKA TEFN
KRZAKIE KWIAT
I OWOCÓW MANDR
NSZPANOWY LEW. RELI
RAGDU. SYKOMORY CIEN.
OŚĆ W ŚWIĄTYNI. LEW Z ASFALTU
WITY ŚWIĘTYMI BANDAŻAMI. NATR
TRYT, NATRYT! NOŻ W DŁONI NACINA
CZA WIEDZIONY RĘKĄ ZIELONEJ MI
KOSNIE NURZA SIĘ W CIELE MUMII.

I rzeczywiście – Adam Kopciuszewski, świetny aktor i organizator, od 1997 roku, gdy objął funkcję dyrektora naczelnego i artystycznego, rozpoczął trwanie w sukcesie. Zwiastunem licznych później nagród i wyróżnień była Złota Maska przyznana Stanisławie Łopuszańskiej za rolę Eugenii w *Tangu*. Aktorka w tej przecież nie pierwszoplanowej roli potrafiła stworzyć postać wyraziście obecną przez cały spektakl. Groteskowa w wyzwoleniu z tradycyjnie przynależnych matronie póz i gestów, wzruszająca dramatyzmem, prawdziwa dama w scenie śmierci. Zaproszenie jej do współpracy było strzałem w dziesiątkę.

Oczarowanie Kordianem Przedstawienie *Kordiana* Juliusza Słowackiego pamiętam do dziś. Pozostało mi wspomnienie spektaklu niezwykle urody. Spektakl konsekwentny. Cały świat był projekcją wizji Konrada wyjętą jakby ze snu i w nim zatopioną. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie scenografia Andrzeja Witkowskiego, jednego z najlepszych obecnie twórców. Oszczędna, lecz wyrazista, operująca po mistrzowsku światłem, rekwizytami, ruchomymi horyzontami. Henryk Konwiński bajecznie skomponował ruch sceniczny, przydając przedstawieniu piękna i wyrazistości. Każda scena miała niepowtarzalny rytm i niekonwencjonalną taneczność. Było wiele momentów zapierających dech w piersi. Do takich zaliczyłam m.in. scenę koronacji, wymakowaną plastycznie i muzycznie, pantomimiczny obraz piekła, spisku w lochach kościoła, spotkania Kordiana z Laurą czy audiencji u papieża. *Kordian* to było dla mnie także spotkanie z reżyserem tego spektaklu Zbigniewem Zasadnym. Nie wiedziałam wówczas, że ten młody, błyskotliwie inteligentny, mający przed sobą świetną przyszłość reżyser pozostanie wśród nas tak krótko. Nie spodziewana śmierć przerwała jego karierę. Potrafił wspaniale pracować z aktorami, uskrzydlać ich możliwości. On to – w rozmowie ze mną – określił też sens pracy w tzw. teatrze prowincjonalnym. – „Dla mnie pojęcie prowincji nie oznacza miejsca na mapie, ale stan umysłu. Nieważne jest więc to, czy tworzę w Warszawie, Chicago, czy... Sosnowcu. Większość istotnych wydarzeń w sferze teatru wcale nie zdarza się w stolicy”.

Na *Kordiana* posypały się nagrody. Złota Maska za najlepszy spektakl roku, dla Zbigniewa Zasadnego za reżyserię i za dwie wielkie role w tym spektaklu – Adama Kopciuszewskiego za

Premiera „Tanga” Sławomira Mrożka w reżyserii Henryka Adamka, 25 kwietnia 1997 roku. Rozpoczęła się era nowego dyrektora Teatru Zagłębia, który tym utworem zapoczątkował jakże istotną, znaczącą i trwającą nadal działalność. Pamiętam ową na stojąco, wzruszonych widzów, którzy w kulisach komentowali, iż... powiało wielkim teatrem

Sentymentalnie o Teatrze

Irena Falkin-Sibiga

wielkiego Księcia i Wojciecha Leśniaka za kreację Szatana.

To jest to! *Ferdynand* Witolda Gombrowicza, w reżyserii Jacka Bunscha oglądałam jako jeden ze starszych widzów z młodzieżą szkolną. W czasie przerwy usłyszałam komentarz – To jest właśnie to! – wykrzyknął młody człowiek, dodając, że nareszcie zobaczył coś niezwykłego, bliskiego jego odczuciom. Świat gombrowiczowskich obsesji, humor balansujący na granicy groteski i realności – cały ten niekiedy śmieszny, ale przegnębiający dramat egzystencjalny – dotarł do wrażliwości młodej widowni. To jeszcze jeden przykład na to, że wprowadzenie prawie całego Gombrowicza na scenę Teatru Zagłębia było decyzją dojrzałą i procentującą uznaniem.

Nie zapomnę tych spektakli. *Iwona Książniczka Burgunda* w reżyserii Zbigniewa Zasadnego zapoczątkowała serię sukcesów. Sosnowiecka *Operetka* porwała zwariowanym tempem, rozśpiewaniem, a nade wszystko grą aktorów. Wśród nich niezrównana Bar-

bara Lubos-Święs jako Młoda Księżna i Adam Kopciuszewski w roli Księcia Himalaja.

Upodobanie Teatru Zagłębia do tego mistrza parodii i groteskowego humoru potwierdziła premiera *Ślubu*, również w reżyserii Jacka Bunscha. Wszystko odbywało się jak w koszmarnym śnie, z którego trudno się przebudzić. Wrażenia te potęgowały już pierwsze sceny przedstawiające grozę i okrucieństwo wojny. Ta nielatwa i mało przyjazna w odbiorze sztuka łączy ze sobą i przeplata nieprawdopodobne związki i sytuacje wyrażające ból, śmieszność, strach i tajemnicę. Ze znakomitym skutkiem pokazano też sosnowiecki *Ślub* w Warszawie. *Operetka* w kategorii Spektakl Roku otrzymała Złotą Maskę. Za rolę męską ta ceniona niezwykle wśród ludzi teatru nagroda przypadła właśnie Adamowi Kopciuszewskiemu. Złotą Maskę za ruch sceniczny zdobył Henryk Konwiński, m.in. również za *Operetkę*. Tak więc spotkanie z utworami Gombrowicza było niezmiernie przyjazne

Beata Deuthsman, Agnieszka Bieńkowska, Marcin Zawodziński w „Świętoszku” Moliere, premiera 2004 r.
Zdj. Roman Koszowski





Robert Daniec, Grzegorz Widera, Iwona Fornalczyk, „Wieczór kawalerski” Robina Hawdon’a, premiera 12.02.2000 r.

Zdj. Krzysztof Sz wajgier

dla Teatru Zagłębia, a kolejne spektakle potwierdzały stale wzrastającą pozycję tej sceny na mapie kulturalnej kraju.

Jest to teatr odważny Teatr Zagłębia w Sosnowcu jest odważny i nie boi się konfrontacji. W repertuarze podejmuje przedsięwzięcia obrosłe legendą doskonałego spełnienia, zdawałoby się – nie do przeskoczenia. Taką decyzją m.in. było wystawienie *Hamleta* Wiliama Szekspira. Bez historycznego koturnu Bartłomiej Wyszomirski umieszczając akcję w realiach lat dwudziestych ubiegłego wieku pokazał, że walor nowości i zwyczajności tej właśnie inscenizacji jest naprawdę duży.

Podobnie było z realizacją *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Bogdana Cioska. Właściwie było to przedstawienie, w którym na prawie pustej scenie aktorzy dramatu rozmawiali bezpośrednio z widzami. Nowością – nieznaną z innych realizacji tego dramatu była postać Chochola. W tej roli Jerzy Dziedzic ucieleśniał również wszystkie inne zjawy.

Do kategorii szczególnie odważnych inscenizacji zaliczyłabym też *Mistrza i Małgorzatę* Michała Bułhakowa, w reżyserii i adaptacji Andrzeja Marii Marczewskiego. Było to niezmiernie ważne i ambitne przedsięwzięcie. Jego wybitne walory reżyserskie, scenograficzne, muzyczne, choreograficzne i aktorskie przełożyły się na trwające stale zainteresowanie tym spektaklem. Także ostatnia premiera

Cyrano była ambitnym, chociaż może ryzykownym zmierzeniem się z utworem klasycznym, jakże inaczej odczytanym i przedstawionym.

Chodzić na aktorów Odwieczną tradycją teatru jest kultywowanie najlepszych. Każdy ma swoich ulubieńców, ja też. To są moje osobiste sympatie, bo w czasie ostatnich dziesięciu lat większość kreacji aktorskich wydawała mi się udana i satysfakcjonująca. Wymienię tylko tych na których ja najchętniej chodzę. A więc Adam Kopciuszewski – już nie jako dyrektor, ale wybitny aktor. Zapamiętałam szczególnie jego Horodniczego w *Rewizorze* Mikołaja Gogola, Księcia Himalaja w *Operetce* Witolda Gombrowicza, niezrównanego Wielkiego Księcia w *Kordianie* Juliusza Słowackiego, Senatora w III części *Dziadów* Adama Mickiewicza. Zagrał też po mistrzowsku, oszczędnymi środkami jakże odmienną tytułową postać w *Kolacji dla głupca* Francisca Vebera. Atutem tej sceny jest też Wojciech Leśniak. Podziwiałam go w wielu wcieleniach – najbardziej jednak jako Szatana w *Kordianie* i Wolanda, jakże ludzkiego diabła – maga w *Mistrzu i Małgorzacie*. Lubię też patrzeć i słuchać, jak śpiewa Ewa Kopczyńska. Z satysfakcją obserwuję, jak z pięknej przede wszystkim kobiety, ukształtowała się i dojrzała aktorka świadoma swych możliwości.

Od jedenastu lat uczestniczyłam w każdym przedsięwzięciu teatralnym sosnowieckiej placówki. Czas tam spędzony przysporzył mi wielu niezapomnianych przeżyć. W tym bardzo osobistym szkicu wymieniałam jedynie te, które najbardziej zapisały się w pamięci, wzruszyły, zafascynowały.

Były naturalnie i takie, o których zapominałam, pozostawiły mnie obojętną. Większość jednak z prezentowanych przez TZ propozycji (wśród nich m.in. doskonały cykl przedstawień dla dzieci, czy też rozrywkowych jak niedawny *Niech żyje bal*) przyciągała uwagę, niekiedy zachwycała, zmuszała do dyskusji. Bywanie na jego przedstawieniach stało się obyczajem, towarzyskim wydarzeniem. Znaczącym punktem w odwiecznej rozmowie aktora z widzem...

Nagrody i wyróżnienia Teatru Zagłębia ostatniej dekady

Rok 1998

Dariusz Niebudek Nagroda Wojewody Katowickiego w dziedzinie rozpowszechniania kultury (za całokształt pracy artystycznej dla młodego Twórcy)

Wojciech Leśniak Kreaton – nagroda Towarzystwa Przyjaciół Teatru – dla najlepszego aktora sezonu, Złota Maska za rolę Szambelana w *Iwonie Księżniczce* Burgunda i Perote’a w *Księżniczce na opak wywróconej*, Nagroda dla Artysty Miasta Sosnowca

Stanisława Łopuszańska Złota Maska za rolę Eugenii w *Tangu*

Zbigniew Zasadny Złota Maska za opracowanie tekstu i reżyserię *Iwony Księżniczki* Burgunda

Rok 1999

Adam Kopciuszewski Złota Maska za rolę Wielkiego Księcia w *Kordianie*, Nagroda MKiS oraz Zarządu Głównego ZASP w Konkursie Wielcy Romantycy za rolę Wielkiego Księcia i Gehenny w *Kordianie*, Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Zbigniew Zasadny Złota Maska za reżyserię *Kordiana*

Wojciech Leśniak Złota Maska za rolę Szatana w *Kordianie*; Wyróżnienie MKiS oraz Zarządu Głównego ZASP w Konkursie Wielcy Romantycy za rolę Szatana w *Kordianie* „KORDIAN”, Złota Maska – nagroda im. Barbary Sośnierz za spektakl roku

Grzegorz Widera Nagroda im. Leny Starke – nagroda Związku Artystów Scen Polskich

Andrzej Lipski Nagroda MKiS oraz Zarządu Głównego ZASP w Konkursie Wielcy Romantycy za rolę cara w *Kordianie*

Rok 2000

Jadwiga Mydlarska-Kowal Złota Maska za scenografię i kostiumy do *Opery za trzy grosze* i *Rewizora*

Adam Kopciuszewski Nagroda w dziedzinie upowszechniania kultury Prezydenta Miasta Sosnowca

Ewa Kopczyńska Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2001

Barbara Lubos-Święś Złota Maska za rolę Iriny w *Trzech Siostrach*

Bartłomiej Wyszomirski Złota Maska za reżyserię *Szewców*

Zbigniew Leraczyk Kreaton dla najlepszego aktora sezonu, Nagroda im. Leny Starke

Rok 2002

Adam Kopciuszewski Złota Maska za rolę Himalaja w *Operetce*

Henryk Konwiński Złota Maska za choreografię w *Operetce „OPERETKA”*, Złota Maska za spektakl roku

Barbara Lubos-Święs Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Jerzy Dziędzic Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2003

Artur Święs Kreaton dla najlepszego aktora sezonu, Nagroda im. Leny Starke

Jacek Bunsch Kreaton dla najlepszego realizatora sezonu, Złota Maska za reżyserię *Ferdydurke*

Rok 2004

Adam Kopciuszewski Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Ewa Kopczyńska Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2005

Ewa Leśniak Kreaton dla najlepszego aktora sezonu, Nagroda im. Leny Starke

Anna Smolicka Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2006

Zbigniew Leraczyk Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2007

Ryszarda Celińska Złota Maska za rolę kobiety Magii w *Tańce z Ballybeg*

Katarzyna Deszcz Złota Maska za reżyserię sztuki *Tańce w Ballybeg*
Wojciech Leśniak Nagroda im. Leny Starke

Joanna Litwin-Widera Kreaton dla najlepszego aktora sezonu

Rok 2008

Grzegorz Kempinsky Złota Maska za reżyserię spektaklu *Bóg*

Grzegorz Kwas Kreaton dla najlepszego aktora sezonu, Nagroda im. Leny Starke.

Nie zmarnowałem tych lat...

Z Adamem Kopciuszewskim – dyrektorem Teatru Zagłębia rozmawia Irena Falkin-Sibiga



Ewa Kopczyńska,
Małgorzata Jakubiec-Hauke,
Adam Kopciuszewski
w spektaklu
„Miłość – to nie takie proste”,
premiera 19.09.2008 r.
Zdj. Tomasz Zakrzewski

Jak ten czas leci. Pamiętam premierę, *Tanga* Sławomira Mrożka, którą rozpoczął Pan przed jedenastu laty działalność w Teatrze Zagłębia. To szmat czasu. Jak go Pan wspomina i ocenia?

To prawie sześćdziesiąt premier, z których ogromna większość, śmiem twierdzić, głęboko zapadła w pamięci widzów. A było ich zawsze sporo w naszym teatrze, przedstawienia nie świeciły pustymi krzesłami. Ten bezpośredni, a często spontaniczny odbiór naszej pracy – mnie jako dyrektora, a często też odtwórcy poszczególnych ról szczególnie cieszy. Nic tak nie niesie aktora jak uznanie publiczności. Jak niepowtarzalna magia, kontakt i porozumienie wykonawców na scenie i widzów na widowni. Na tym polega ten zawód, by to, co robimy, nie było obojętne, byle jakie, aby wyzwało najczystsze emocje. Jesteśmy teatrem miejskim i często spotykam się z pytaniem o jego kształt i przyszłość. Jaki powinien być, jakiego rodzaju prezentować repertuar? Czy bardziej klasyczny, czy też współczesny? Zawsze odpowiadam – dobry. To znaczy odwiedzany i aprobowany przez widza. I to jest jedyny wyznacznik sukcesu lub porażki.

Co to znaczy – według Pana – teatr dobry? Uniwersalny czy elitarny? Snobistyczny, czy powszechny?

Wko jedną sceną teatralną, oznacza, że powinien wychodzić naprzeciw potrzebom i wymaganiom, spełniać marzenia różnorodnych grup społecznych. Bowiem nie mamy innego sposobu na sprawdzian niż odwoływanie się do publiczności, i czy robimy rzeczy dobre czy chyby, to właśnie w teatrze rozmowa z odbiorcą jest wyjątkowo jawna i donośna.

Nie lubię nachalnego eksperymentowania dla koneserów, wąskiej elity i innych niszowych grup. W ostatnich latach teatry ulegały różnym modom, które jednak szybko przemijały. Wspomnę tylko o fali młodych brutalistów, sztuk publicystycznych, czerpiących tematy z pierwszych stron gazet, obsesji pokazywania życia od najbardziej ciemnej strony, zamiłowaniu do dewiacji i nagości. Bardzo nośne są też sztuki dotyczące tematyki żydowskiej, narodowo-wyzwoleńczej. Postawą i fundamentem teatru jest jednak wspólna, wielka klasa, i to nie tylko polska, ale przede wszystkim światowa. A teatr bez

tych wielkich nazwisk nie będzie istniał. Bez Szekspira, Moliera, nie mówiąc już o Sartrze, Ionesco, Beckecie, bez polskich autorów jak Gombrowicz, Witkacy, Mrożek... A o dobrą współczesną sztukę nie jest łatwo. Młodzi twórcy jak też reżyserzy zostali wessani przez przemysł komercyjny, przez te wszystkie seriale, sitkomy, przez film wreszcie i woła w tej dziedzinie angażować talent. A jeżeli już nowe utwory powstają, to nie zawsze dyrektor teatru miejskiego może zaryzykować ich realizację, właśnie dlatego że jest to jedyna taka placówka w mieście. Brakuje nam małej sceny i omija nas możliwość wystawiania sztuk małoobsadowych czy też monodramów. Jako dyrektor nie mogę pozwolić, by scenę zajmowały np. dwie osoby, a reszta członków zespołu pauzowała.

Borykać się muszę również z innymi dylematami. Do takich należy wąskie pole manewru reperturowego. Trudno sprostać oczekiwaniom przy pięciu lub sześciu premierach w sezonie. Dochodzą do tego takie uwarunkowania jak konieczność wystawienia przynajmniej jednej sztuki dla dzieci (w czym mamy zresztą duże doświadczenie), pozycja rozrywkowa i zostaje rzeczywiście mało możliwości. Problem właściwego zagospodarowania społecznych środków prze-

znaczonych na teatr urasta nieraz do niebotycznych rozmiarów. Agdzie miejsce na teatr autorski czy eksperymentalny? Jacek Sierocki, znany krytyk teatralny i naczelny redaktor „Dialogu”, stwierdził kiedyś w rozmowie ze mną, że to, co my tu staramy się robić, jest właściwie formułą teatru narodowego, naturalnie w mniejszej skali. A to nie przysparza punktów we wszelkiego rodzaju rankingach. Ta formuła jest za mało efektywna. Prędzej można zaistnieć czymś kontrowersyjnym. Chociaż nie uciekamy od współczesności. Świadczą o tym takie spektakle jak *Bóg* Woody’ego Allena, *Czwarta siostra* Głowackiego, *Pora zbiorów* Stanisława Bieniasza, *Profesjonista* Dusana Kovacevicza, *Tańce w Ballybeg* Briana Friela. Staramy się pokazywać różnorodność świata, jego blaski i cienie, wszystko to, co się wiąże z losem człowieka, jego psychiką.

Wpiękną wydaną publikacją, która ukazała się na 110-lecie Teatru Zagłębia, jest długa lista nagród i wyróżnień przyznanych kierowanej przez Pana placówce. Są to nagrody indywidualne i zbiorowe, imponująca liczba Złotych Masek i „Kreatonów”. Pozazdrościć! A jednocześnie ostatnie kilka sezonów traktuje się jako czas mniej błyszczący i satysfakcjonujący. Niechętni szepczą o regresie...

Nie można zaprojektować sukcesu w teatrze. Przychodzi niespodziewanie lub go nie ma. Wszystko, co robimy, jest pewnego rodzaju sinusoidą. Radość przeplata się z cierpieniem. Gorycz porażki zmienia się w radość, a nawet euforię. Sztuka jest rzeczą żywą, pulsującą, to nie zastana kałuża wody, ale przede wszystkim subiektywny odbiór. Mówią – regres teatru. Ale na czym on właściwie polega? Bo jeżeli powstaje takie przedstawienie jak *Tańce w Ballybeg*, które otrzymuje dwie Złote Maski i uważane za najlepszy spektakl sezonu? Jeżeli wreszcie *Niech żyje bal* cieszy się niesłabnącą aprobatą widzów, walą na niego tłumy i jest oklaskiwany na stojąco – czy to jest regres? Naturalnie, nie wszystko się udaje, nie każda wizja jest zrealizowana ku satysfakcji teatru i widzów.

Wilkul wywiadach mawiał Pan, że jest szczęśliwym dyrektorem. Czy dzisiaj może Pan też to stwierdzić?

Mówiłem, że jestem szczęśliwym dyrektorem z wielu powodów. Spotkałem wspaniałych artystów, którzy się przez ten teatr przewinęli. Kilkudziesięciu znakomitych reżyserów, cała plejada, co mogę z dumą powiedzieć, najlepszych polskich scenografów. Wszyscy zaistnieli na tej scenie. Niektórzy z nich pomiędzy jedną pracą w Tokio a drugą w Meksyku zawitali do Sosnowca. Spotkałem również wielu znakomitych kolegów, z którymi mogłem pracować również jako aktor. Jedną z największych wartości Teatru Zagłębia jest stworzenie zespołu, utalentowanego, twórczo nastawionego do zadań, utrzymującego towarzyskie kontakty. To nie jest zbyt powszechne. Realizacja pewnych przedstawień byłaby niemożliwa bez ich zaangażowania i pasji.

Tak – jestem szczęśliwym dyrektorem mimo wszystko, mimo wielu przeciwności. Tak się w życiu składa, że nie brakuje w nim bezinteresownej załości, nie brakuje ludzi, którzy chętnie zastąpiliby mnie na tym miejscu, kiedy wszystko już jest uporządkowane, wyremontowane, gotowe...

Cieszy mnie więc fakt, że dzięki środowiskom miejskim jakie otrzymałem, podniósł się również komfort oglądania spektakli. Ale najważniejsze, by teatr przyciągał najlepszych, kształcił i niekiedy wzburzał, był miejscem twórczego niepokoju i wytchnieniem dla zmordowanych. Sporo z tych założeń udało mi się spełnić. Uważam więc, iż lat danych mi w Teatrze Zagłębia nie zmarnowałem.

Zespół Teatru Zagłębia w sezonie teatralnym 2008/2009

Dyrektor Naczelny i Artystyczny: Adam Kopciuszewski

ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY:

Ryszarda Bielicka-Celińska, Aleksander Blitek, Agnieszka Bienkowska, Maria Bienkowska, Beata Ciołkowska-Marczewska, Beata Deutschman, Krystyna Gawrońska, Artur Hauke, Małgorzata Jakubiec-Hauke, Marta Kadłub, Przemysław Kania, Adam Kopciuszewski, Ewa Kopczyńska, Krzysztof Korzeniowski, Grzegorz Kwas, Elżbieta Laskiewicz, Zbigniew Leraczyk, Wojciech Leśniak, Agnieszka Okońska, Andrzej Rozmus, Andrzej Śleziak, Piotr Zawadzki

Współpracują: Zygmunt Biernat, Wojciech Cecherz, Monika Rzeźniczek, Ewa Leśniak, Łukasz Konopka

Suflerki: Agnieszka Dzwonek, Ewa Żurawicka

Inspicjenci: Urszula Czyż, Jarosław Tyran

Z-cadyrektora, Gł. Księgowa: Helena Równicka

Biuro Obsługi Widza: Jolanta Wędzik, Danuta Skurzyńska, Agnieszka Zarychta,

Kasa biletowa: Jacek Januszko

Koordynator ds. artystycznych: Adrianna Pancewicz

ZESPÓŁ OBSŁUGI SCENY:

Kierownik techniczny: Paweł Dzierzkowski; **Sekcja światła i dźwięku:** Maciej Kędzierski, Paweł Dąbek, Leszek Wiślak, Krystian Dziubanek; **Montażysci sceny:** Piotr Labiś, Rafał Chojecki, Sebastian Dąbek, Krzysztof Czermak; **Pracownia perukarska:** Maria Bem, Aneta Młynarkiewicz; **Rekwizytornia:** Grzegorz Dzwonek, Marek Walendzewicz; **Garderobiane:** Jadwiga Goncerz, Dorota Jamrocha, Leokadia Penkala, Danuta Pater; **Pracownia krawiecka:** Halina Gocyła, Małgorzata Soból, Jolanta Stompel, Jolanta Trzcińska; **Pracownia modelatorska:** Andrzej Słowiński, **Pracownia stolarska:** Witold Kraczyński, Kazimierz Zimny, Tomasz Cesarz.

Czarne skrzydła Z powieści piłsudczyka Juliusza Kadena-Bandrowskiego z lat dwudziestych reżyserzy Ewa i Czesław Petelscy wybrali wyłącznie wątki społeczne. Pozbyli się modernistycznego stylu powieści. Poprzestali na robotniczym buncie w realiach Zagłębia Dąbrowskiego 1923 roku. Filmowe *Czarne skrzydła* opowiadają o zderzeniu kapitału i proletariatu, posługując się przy tym marksistowską analizą konfliktu.

Akcja rozgrywa się w fikcyjnej kopalni „Erazm” w Dąbrowie Górniczej, gdy górnicy pod wpływem wieści o zamierzonych redukcjach zatrudnienia szykują strajk, którego jednak nie będzie, bo wybucha gaz i w kopalni dochodzi do katastrofy. Zdesperowani górnicy wywlekają francuskiego zarządcę kopalni z samochodu i wrzucają do płonącego szybu. W finałowej sekwencji, gdy górnicy niosą zwłoki ofiar katastrofy ulicami miasta, policja strzela do spokojnej manifestacji. Zdarzenia z powieści Kadena-Bandrowskiego miały miejsce w Dąbrowie Górniczej w 1923 roku, gdy doszło do pożaru w kopalni „Reden”. Jednak, mimo że akcja rozgrywa się w Zagłębiu Dąbrowskim, zdjęcia realizowano głównie w Chorzowie i Świętochłowicach, a sekwencje podziemne w atrapie kopalni zbudowanej w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Niektóre fragmenty filmu są udane, w tym niesłychanie dramatyczna sekwencja finałowa. Interesująco zarysowano sylwetki dyrektorów przemysłu. Jednak film razi propagandowym przesłaniem, pozostawiając wrażenie sztuczności

Zajmując się kinem regionalnym, zauważyłem, że w czasopismach filmowych, a dzisiaj także na filmowych stronach internetowych, obrazy rozgrywające się w przemysłowej scenerii kopalni i hut określane są wyłącznie jako „śląskie”. I to nawet wtedy, gdy akcja ewidentnie toczy się w Dąbrowie Górniczej. Czasopisma filmowe nigdy nie odróżniają Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego!

Postanowiłem policzyć, które z polskich filmów rozgrywają się w Zagłębiu. Chodzi o kinowe filmy fabularne z akcją umiejscowioną w wyraźnie rozpoznawalnej scenerii Zagłębia Dąbrowskiego. Jest to pierwsze, pionierskie rozpoznanie tematu. Zatem po kolei...

Jan
F. Lewandowski

Krecone nad Przemszą

tamtego Zagłębia i jego dramatów społecznych.

Drugi brzeg W drugim filmie fabularnym Zbigniew Kuźmiński sięgnął po opowiadania pochodzącego z Będzina Stanisława Wygodzkiego, związanego w młodości z komunizmem, a później emigrującego do Izraela. Posłużył się sensacyjną formułą, by nakręcić film wyraźnie propagandowy, przygotowany na 20. rocznicę PPR.

Podstawą scenariusza były opowiadania Wygodzkiego, lecz scenarzyści (Andrzej Szypulski i reżyser Kuźmiński) posłużyli się nadto wspomnieniami innych działaczy komunistycznych. Historia Pawła Lasonia w latach 1936–1942 jest uogólnieniem ich losów. Zagrany przez Józefa Nowaka najpierw zostaje skazany na lata więzienia, w 1939 roku ucieka, a po kampanii wrześniowej rozpoczyna konspirację antyniemiecką. To również

dramat przyjaźni i nieufności. Bowiem Lason podejrzewa o zdradę swego przyjaciela Stefana, by dopiero po jego śmierci zorientować się, że był to ktoś inny.

Film Kuźmińskiego nie mógł spodobać się publiczności z powodu gloryfikacji partii komunistycznej. Na nic zdały się papierowe kreacje wielu znanych aktorów tamtego czasu. Nie pomogły surowe, czarno-białe zdjęcia Karola Chodury. Dzisiaj *Drugi brzeg* pozostaje tylko świadectwem swego czasu.

Gorąca linia Jakubowska zainteresowała się powieścią *Dzień z nocą na trzy podzielony* Jana Pierzchały, nagrodzoną właśnie wtedy w konkursie wydawnictwa „Śląsk” na powieść górniczą. Pierzchałe też powierzyła napisanie scenariusza.

Zamierzeniem reżyserki było nakręcenie filmu realistycznego, zgodnego oczywiście z wymogami politycznymi owego czasu. Film opowiada o starej, zatopionej przed wojną kopalni, którą należy przywrócić do życia. Sama kopalnia jest żywiołem opierającym się władzy kolejnych dyrektorów. Dopiero młody Przybora (w tej roli Lech Skolimowski) naprawia błędy poprzedników i buduje nowy szyb. Akcja rozgrywa się w znacznej mierze pod ziemią, gdzie górnicy walczą z wodą zagradzającą drogę do węgla. Na końcu, gdy walka zostaje wygrana, dyrektor odchodzi, podejmując się nowej ryzykownej misji w kolejnej kopalni.

Najważniejszym bohaterem filmu Jakubowskiej jest sama kopalnia. Z pieczołowitością zadbano o górnicze realia. Zdjęcia nakręcono po części w kopalni „Mortimer” w Zagórzcu, w specjalnie zbudowanych dekoracjach kopalnianych w Siemianowicach Śląskich, a także w atelier Wytwórni Filmów Fabularnych we Wrocławiu. Zatrudniono konsultantów z branży górniczej.

Młody Wojciech Siemon zagrał w „Czarnych Skrzydłach” Ewy i Czesława Petelskich
działacza komunistycznego Jana Dusia
Zdj. archiwum Autora





Akcja „Zielonych lat” Stanisława Jędryki rozpoczyna się niedługo przed wybuchem wojny. Zdj. archiwum Autora

Po latach film Jakubowskiej może zaciekawiać górniczą scenerią, bo jako dzieło filmowe nie wzbudza raczej namietności.

Czerwone i białe Gdy Paweł Komorowski przystępował do ekranizacji kolejnej powieści Jana Pierzchały *Krzak gorejący*, pisarz miał rangę lokalnego klasyka. Naturalne więc, że do realizacji doszło w zespole filmowym „Silesia” w Katowicach. Zakupienie powieści Pierzchały było zasługą kierownika literackiego zespołu Feliksa Netza.

Film *Czerwone i białe* to prawie wierna ekranizacja powieści. Losy robotnika Rafała Naziemca to kilkadziesiąt lat polskiej historii osadzonej w scenerii Zagłębia Dąbrowskiego.

Akcja rozpoczyna się w 1914 roku, gdy do Zagłębia wkraczają Niemcy, a Naziemiec wstępuje do Legionów. Z jego losami przeplatają się dzieje jego legionowego kolegi Ocieckiego, w którym można dopatrzeć się sosnowieckiego lekarza-ginekologa Felicjana Sławoja-Składkowskiego, późniejszego generała i ostatniego premiera II Rzeczypospolitej. Znajdujemy w filmie sekwencję likwidacji przez niego akcji komunistycznej w Zagłębiu w 1918 roku.

Niewątpliwie dramatyczna historia Naziemca nie ma jednak takiej sugestywności. Dlatego krytyka przyjęła ją z rezerwą. Zwracano uwagę na błędy dramaturgii i skłonności do ilustracyjności.

Nie potrafiła ożywić bohatera sucha kreacja Czesława Jaroszyńskiego. W efekcie adaptacja powieści Pierzchały należy dzisiaj do kategorii filmów zapomnianych.

Pejzaż horyzontalny Dokumentalista Janusz Kidawa spróbował zmierzyć się z tematyką wielkiej budowy w formie fabularnej. Jego pierwszy film fabularny ma zatem luźną, epizodyczną strukturę. O budowie huty opowiada poprzez losy trzech młodych bohaterów, którzy przybywają z różnych stron kraju. Pracę rozpoczynają na odcinku kierowanym przez dziwnego inżyniera Kolečkiego, który nadzoruje pracowników i dyscyplinę pracy przy pomocy wielkiej lunety. Ani razu nie pada nazwa, ale wiadomo, że chodzi o hutę „Katowice”. Zamiarem reżysera było opowiedzenie o niej w formie komediowej. Kpiarskie, miejscami groteskowe spojrzenie omiata także cienie wielkiej budowy. Niemniej historia okazała zbyt wątła scenariuszowo, by pozostawić głębsze wrażenie. Zdjęcia do filmu kręcono także w Bełchatowie, gdzie powstawała elektrownia. Stosując metody z dokumentu, Kidawa opierał się na aktorach mniej znanych, także na naturczykach, zatrudniając m.in. dziennikarza Jacka Maziarskiego, fotoreportera Jerzego Troszczyńskiego i satyryka Jana Pietrzaka. Z pewnością pozostanie po filmie świetna ballada tytułowa Wiesława Dymnego z muzyką Jana Kantego Pawluśkiewicza.

Zielone lata Stanisław Jędryka zrealizował kolejny film z dziecięcymi bohaterami, ale tym razem dla dorosłych. Opowiada o zdarzeniach z 1939 roku, w dodatku rozgrywających się w jego rodzinnym Sosnowcu. Podstawą filmu stała się powieść pochodzącego też z Sosnowca pisarza Jerzego Przędzic-

kiego *Troje znad czarnej rzeki*. Akcja filmu rozpoczyna się przed wybuchem II wojny w Sosnowcu. Bohaterami jest trójka dzieci narodowości polskiej, żydowskiej i niemieckiej. Przyjaźnią się ze sobą przed wojną, a potem przeżywają nowe doświadczenia, które wystawiają ich przyjaźń na próbę. Nastrojowe sekwencje początkowe, prezentujące dziecięce zabawy, z chwilą wybuchu wojny przechodzą w sytuacje bardziej dramatyczne.

Jeden z nielicznych filmów z akcją w realiach Sosnowca jako miasta kulturowego pogranicza. Zdjęcia niemal w całości kręcono na miejscu, z wyjątkiem jednej sekwencji katowickiej. Pojawiają się w nim fragmenty Śródułi i Pogoni nad Czarną Przemszą. Do najważniejszych należą sceny z pałacem fabrykantów Schoenów, a szczególnie sceny ze sztucznymi kamiennymi grotami w przepalacowym, neoromantycznym parku.

Anna i wampir Zapowiedzi Janusza Kidawy sugerowały nie tyle film o mordercy kobiet, Zdzisławie Marchwickim, ile o milicji tropiącej zagłębiowskiego wampira. I faktycznie: to film zrobiony jakby na milicyjne zamówienie.

Zatem Kidawa pokazuje wieloletnie śledztwo, a przede wszystkim oficerów MO z operacji „Anna” (od imienia pierwszej ofiary wampira), starając się sportretować ich jako zwyczajnych ludzi. Film zrobiono z perspektywy kapitana Jaksy, który zza kadru opowiada o najważniejszej akcji swego życia. Jego pierwowzorem był kapitan Jerzy Gruba, późniejszy szef komendy wojewódzkiej MO, wsławiony niechlubnie późniejszą pacyfikacją górników „Wujka”. W dodatku Kidawa starał się o stylizację dokumentalną wykorzystując taśmy nakręcane podczas operacji „Anna” przez milicję. Natomiast zdjęcia do filmu realizowano głównie w Będzinie, Dąbrowie Górniczej i w Sosnowcu, gdzie najczęściej grasował Marchwicki, ale filmowi zabrakło dramatycznej zwartości. Po latach do tej sprawy powrócił Maciej Pieprzycy w dokumencie *Jestem mordercą*.

Jak widać z tej lustracji tematu, niewiele powstało filmów z akcją umiejscowioną w Zagłębiu Dąbrowskim. A te, które nakręcono, przeważnie nie są najwyższej próby. Może z wyjątkiem sosnowieckich *Zielonych lat* Jędryki. Niemniej siedem filmów nakręcono.

Może ktoś zechce przypomnieć je za pomocą interesowanej publiczności w jednym ciągu...

Paweł Barański: Panie Profesorze*, jak zrodził się pomysł zorganizowania w szkole Turnieju Jednego Wiersza? Czy kierowały Panem ambicje krytyczno-literackie, a może poetyckie, czy też po prostu chęć promocji młodych twórców?

Michał Waliński: Parę wierszy w życiu napisałem, do kilku z nich mam sentyment, ale na szczęście oknałem się i powiedziałem, że Grochowiakowi nigdy nie dorównam. Ambicje krytyczno-literackie, owszem, miałem w czasach studenckich i po nich, ale nie one zdecydowały. A więc raczej chęć promocji twórców w wieku rimbaudowskim.

Jak to wyglądało? Czy tamten Turniej zdecydował, iż jest to impreza roczna?

Laur był skromny, jeśli chodzi o ilość wierszy, zresztą nadesłanych tylko z naszego regionu, ale bardzo bogaty w oprawę. Prowadzili go jako konferansjerzy po raz pierwszy i ostatni poloniści Elżbieta Gorzkowska i Mirosław Auguściak, kilkunastoosobowemu jury przewodniczyła prof. Anna Opacka z Uniwersytetu Śląskiego (dziękuję, Pani Profesor!). Czy myślałem o kolejnych turniejach? Szczerze mówiąc, miałem nadzieję na następny. Wydałiśmy z uczniem Maciem Ederem i z jego ilustracjami, pierwszy skromny, ale budzący wzruszenie tomik i – chciało się jeszcze. Wciągnąłem w organizację wielu uczniów. Kiedyś powiedziałem sobie, że w szkole może być ciekawiej i w tej wspólnej z uczniami pracy łączą się stosunkowo płynnie różne działania: klasy autorskie, praca olimpijska – polonistyczna i filozoficzna, teatr szkolny, gazetka uczniowska. Wiele z tych uczniów to ludzie renesansu. Dziś absolwentka Plater i studentka 3. roku polonistyki katowickiej Ania Szczepanek edytuje ze mną tomik 6. z serii.

Nie podejrzewał Pan zapewne, jaką rangę osiągnie Turniej w ciągu najbliższych lat, a tymczasem wpłótł się niepostrzeżenie w tradycję szkoły, jest najważniejszym tego typu wydarzeniem w Zagłębiu o zasięgu ogólnopolskim, a nawet międzynarodowym. To dobrze? Jak Pan się w tym odnajduje?

Gdyby to znaczenie mierzyć np. setkami zebranych przeze mnie wycinków prasowych, to jest się czym pochwalić. Cieszą wiersze

nadchodzące z zagranicy. Mamy w Sosnowcu i w Zagłębiu sporą grupę liczących się poetów (lub poetów z Sosnowca się wywodzących). Oczywiście nie jest to zasługą największą Laur Plateranki, takie cykliczne imprezy jednak dobrze wpływają na ogólny klimat poetycki miasta. Tak, turniej wpisał się także w tradycję szkoły. To święto poezji, organizuje go mnóstwo uczniów, nie tylko reprezentujących biuro turniejowe, ale

ne pokolenia uczniów i absolwentów.

Jak ocenia Pan poziom nadsyłanych wierszy?

To zależy, jak na to spojrzeć. Duża grupa wierszy reprezentuje poziom... No, jakby to powiedzieć? Nie widać w nich należytego, czytaj: żadnego dystansu Autora do swojego Dzieła. Te od razu trafiają do opasłego archiwum. O wiele mniejsza grupa – to teksty zasługujące na uwagę. A wśród nich za-

Poezja dobrze służy klimatowi miasta

Michał Waliński opowiada Pawłowi Barańskiemu o „Laurze Plateranki”

tygodniami przygotowujących występy artystyczne. Laur wyzwala niebywałe moce kreatywne u młodzieży i niektórych kolegów nauczycieli. Stał się też imprezą integrującą ze sobą i szkołą róż-

wsze trafiają się perły czy perełki. Rzecz jasna w tomikach nie możemy umieszczać wyłącznie tych najwybitniejszych wierszy. Muszą być w jakimś sensie reprezentatywne. Ale przecież mamy na turnieju tak miarodajnych znawców poezji, jak prof. Opacka właśnie, prof. Marian Kisiel, dr hab. Roman Cudak, dr Paweł Majerski, prof. Tomasz Stępień czy prof. Anna Węgrzyniakowa. Muszę podkreślić, że poetyckiego nosa mają także jurorzy wywodzący się spośród uczniów czy absolwentów.

Czy może Pan wymienić laureatów turnieju, którzy okazali się poetami godnymi zapisu?

Może nie tylko laureatów, ale finalistów w ogóle, np. Krzysztof Siwczyk był zdobywcą Laur Plateranki w III Turnieju, Tomasz Pułka w XIV edycji, ma już własny tom na koncie i pięknie znaczy na poetyckim Parnasie, Mateusz Antoniuk z Krakowa to liczący się poeta, ale także krytyk i historyk literatury.

Konkurs organizowany jest wyłącznie dla młodzieży uczęszczającej do szkół średnich z Polski i ze środowisk polonijnych poza granicami kraju czy nie myślał Pan o poszerzeniu formuły?

Myslałem, owszem. Na przykład, czy nie zaprosić do udziału w turnieju studentów. Najprawdopodobniej jednak będę optował za utrzymaniem dotych-



XVI Ogólnopolski
Turniej Jednego Wiersza
O Laur Plateranki

czasowej formuły. Jest w Polsce wiele konkursów poetyckich w ogóle, mniej – dla młodzieży szkół średnich. Dopuszczamy: nie odrzucamy wierszy gimnazjalistów. Zapraszamy.

Zwieńczeniem każdej edycji Turnieju są tomiki poetyckie, zawierające wyróżnione wiersze. To kolejna inicjatywa podjęta przez Pana przy okazji Turnieju Jednego Wiersza – seria poetycka liczy już 15 tomów...

Nie ukrywam, jestem dumny z tej serii, z faktu, że współtworzą ją uczniowie. Dziełem uczniów i absolwentów (np. Katarzyna Borcz, Bartłomiej Dudek, Karolina Dzwonek, Justyna Czerniak), a czasem zaprzyjaźnionych z Laurem plastyków (Ewa Marzec) są okładki i ilustracje. W tomikach drukujemy nie tylko wiersze i komunikaty jury. Drukowaliśmy eseje pracowników Uniwersytetu Śląskiego, uczniów, nauczycieli, absolwentów, zamieszczamy szczegółowe kroniki wydarzeń okołolaureowych. Pozwolę sobie zauważyć, że II LO im. E. Plater w Sosnowcu stało się potęgą wydawniczą wśród liceów w ogóle – nie tylko ze względu na tę serię. Dominika Słowik z XIII Lauru wygrywała i inne konkursy. Liczę, że ujawnią się jeszcze poetycko Aleksandra Kurcman z Sosnowca i Beata Płucieniczak z Włoszakowic.

***Michał Waliński** – absolwent polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, w latach 1974 – 1982 pracownik Instytutu Literatury i Kultury UŚ, od 1983 roku dyplomowany nauczyciel języka polskiego, filozofii i wiedzy o kulturze w II Liceum Ogólnokształcącym im. Emilii Plater w Sosnowcu. Jest autorem wielu innowacyjnych programów nauczania dla klas o profilu klasycznym i 133. publikacji naukowych i popularnonaukowych, krytycznoliterackich, przekładów z języka angielskiego itd. Odznaczony Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym Krzyżem Zasługi RP. Jest Laureatem Na-

grody Miasta Sosnowca za dorobek publicystyczno-naukowy w roku 2007.



„Jaskinia Filozofów” wg Z. Herberta w wykonaniu szkolnego Teatru Naszego w reż. K. Kani i A. Krogulskiej z kl. 3f

Beata Siemieniako

*Każda niedziela była trochę francuska –
Może przez perfumy i szminkę mej matki.
Chrapiący dźwięk miasta pod oknem się pluskał,
Wierzaliśmy w Boga, w harmonię, w przypadki.*

*Mieliśmy meble z ikei i kwiaty w wazonie,
wspólne szaliki, filmy, i sushi-wieczory.
Razem wyprowadzaliśmy psa, a potem myśliśmy dłonie.
Do łez nas wzruszał teatr i wkurzało słowo „sorry”.*

*Było nudno. Za to jak w literaturze.
Mamy wszystko – mówiłem, lecz chyba zapomniałem,
że nigdy ojca nie było i dlatego, może
niedoczekanie, stałem się pedalem.*

Powiedziałem jej.

*Szminka zszarzała,
przez twarz przetarzały się barwy lukrowanego, wieczornego nieba,*

*Zbierały się w kłębki
i nie wiedziały jak się ze zwartej tkanki twarzy wygrzebać.*

*Myśli się śliniły
i powoli wymykały wypychając cebulki włosów z czaszki,*

*Skakały na kurz,
ale najwidoczniej było za ciężko na latania igraszki.*

*Powietrze zresztą
też uciekało do innego domu i innej rodziny,*

*Szepnęła mi tylko na ucho:
„Przez ciebie umieram w swoje urodziny”.*

I. Nagroda i Laur Plateranki w XVI Turnieju Jednego Wiersza (2008 r.) – Beata Siemieniako z III LO im. K.K. Baczyńskiego w Białymstoku za powyższy wiersz; otrzymał on także Nagrodę Publiczności ufundowaną przez Samorząd Uczniowski.

O poezji Stanisława Krawczyka w 70. rocznicę urodzin

Destruktor symbolu

Marian Kisiel

1 Debiutował późno, podobnie jak część poetów z jego generacji. Rzecz jednak charakterystyczna: ujawniając się światu, Stanisław Krawczyk przeszedł w poprzek istniejących tendencji estetycznych. To zadecydowało o kształcie jego liryki, zebranej w kilkunastu tomikach, od *Przedpokoju – Lasu mieszanego* (1981) zaczynając.

2 Poezja Stanisława Krawczyka światom sypuie się w przestrzeni wielostylowości. Jak gdyby autorowi Tajemnicy twarzy nie wystarczył jeden obraz świata. Jak gdyby mu nie ufał, nie akceptował go i nie chciał zaakceptować. Wynikają z tego rozmaite komplikacje (także poznawcze), rodzą się problemy, które dzisiaj nie wywołują takich wątpliwości jak kiedyś. Dawniej zawołanie szło o konstrukcję świata. Stanisław Krawczyk od początku stanął na stanowisku destruktora rzeczywistości istniejącej. W poezji rzecz – naturalnie – szła o symbol.

W XX wieku impresjoniści zanegowali filozofię odzwierciedlania rzeczywistości w twórcach sztuki; stwierdzili, że szyba świata pękła, każde widzenie jest podmiotowe. Podobnie powie poeta w wierszu *Autoportret we wnętrzu rodziny*:

*Ja
w lustrze rozbitym
cały
odbity
choć rozbity lustrem*

Widzenie impresjonistyczne znajdzie wyznawcę w autorze *Drogi*. Człowieka, więc – siebie i nas, będzie on odtąd po-

strzegał pod postacią układających się w całość, lecz rozproszonych elementów.

Reczywistość rozbita, przeszerzegowana, zdaniem poety, wymaga spojrzenia osobniczego. Tajemnicza, nie do końca poznawalna, wywołuje w podmiocie odczucia metafizyczne. Jest to metafizyka miejsca i pamięci. Tutaj rozgrywa się dramat i ocalenie, dokonuje tworzenie i niszczenie. Tutaj odnajdujemy i gubimy siebie. Tajemnica miejsca i pamięci staje się naszym ocaleniem, wyzwala z chaosu, wprowadza porządek do świata, który zapomniał o jednorodności.



3 W wierszach Stanisława Krawczyka dużą rolę odgrywa mała ojczyzna. Poetę zajmuje świat prywatny, więcej: świat jako doświadczenie intymne. W bliskiej sobie (choć nie do końca poznanej) rzeczywistości stara się on odkryć prawa, jakie dotyczą nas bezpośrednio. Co wiemy o świecie? Krawczyk powie, że tylko to, co intymne – jest sprawdzalne. Nie da się wykreślić z pamięci tylko tego, co przeżyte (*Krajobraz najbliższy*).

Przestrzeń poetycka obejmuje więc pamięć i doświadczenie, jest geograficznie rozpoznawalna i emocjonalnie uchwytana. To przestrzeń domu i najbliższej okolicy. Jest zaludniona przez osoby bliskie: rodzinę, przyjaciół, znajomych. Poeta tworzy tutaj prywatną mitologię. Nie ma ona jednak charakteru arkadyjskiego. Prywatne objawienia Krawczyka sąsiadują z gorzką świadomością upadku starego i rozpadu obecnego świata. Nie jest łatwo pod koniec XX wieku „patrzeć w oczy, słuchać jak wnętrzości płaczą” (*O czym ciągle marzą*). Poeta staje się depozytariuszem odchodzącego świata, który w „księgach wieczystych” zapisuje „śmiertelnie ranne” miejsca i zdarzenia z życia – „pejzażu wewnętrznego”.

4 Ważną rolę w poezji autora *Drogi* odgrywa religia, choć poeta nie jest autorem religijnym. Obecne w jego wierszach doświadczenie tajemnicy ma jednak religijny rodowód. W wierszu *Rozmowa przeczytamy: notuję tajemnice bytu podziemnych wstrząsów związków cząsteczek gdzie myśli pęcznieją pod skałami mitów*

Poetyckie „notatki” koncentrują się na religijnym doświadczeniu przestrzeni (Mircea Eliade mówi w takim wypadku o „miejscach świętych [...] prywatnego świata”), a także na – w specyficznym sposobie czczonych – przedmiotach i zjawiskach przyrody (kamień, fotografia, drzewo). Ujawniają głębokie przywiązanie do szczegółu, najbliższej leżących człowieka konkretów codzienności.

Rzecz jest głębsza. Już w pierwszym 20-leciu XX wieku fascynacja konkretem odbiła się w poezji Polski Odrodzonej. Nie można tych fascynacji porównywać. Okazuje się jednak, iż ten „wątek” znajduje głębokie uzasadnienie w liryce Stanisława Krawczyka, staje się pretekstem uzgodnienia między zewnętrzną i wewnętrzną wizją świata.

5 **M**ilość. Przeżywana w tej poezji ekstazy i milcząco. Liryka erotyczna autora *W samogłoskach i w kolorach* ubrana jest w kostium malarski i tradycji literackiej. Do tego obrazowania poetyckiego przywiązuje Stanisław Krawczyk bardzo wielką wagę. Jak chociażby w tym erotyku:

*Czym jest róża ukryta w dłoni?
przenikającym ciebie płomieniem
moim pragnieniem.*

To wiersz oddziałujący na wielu poziomach. Wpierw – na bardzo intymnym, osadzonym w konkretnej rzeczywistości zmysłowej, doświadczeniu poety (Róża to imię jego żony). Dalej – na poziomie odwołań do Rilkego i jego wiersza o róży. Wreszcie – dwójakich odwołań do poezji Tadeusza Różewicza; do Róży:

*Różę w ciepłej dłoni można złożyć
albo w czarnej ziemi
i do pointy Jesiennego wiersza:
Kochanka syczy
róża niegasnąca.*

Uwikłania w tradycję literacką są w tej poezji wielorakie. Nie tylko przywołują wiersze innych poetów, także – przekształcają znane maksymy, sentencje, skrzydlate słowa.

Na przykład eschatologiczne i aksjologiczne wyrażenie z *Księgi Rodzaju* (3, 9): „boś jest proch i w proch się obrócisz”, u autora *Relacji* przybierze jakże inne znaczenie (erotyczno-lingwistyczne):

*ze słowa powstałaś i milczeniem się
staniesz,
nie rozpoznana do końca, unoszona
przez pamięć.*

Liryka erotyczna Stanisława Krawczyka przywołuje rzeczywistość zmysłów, jak gdyby poeta chciał nam powiedzieć, że tylko w największej intymności człowieka spoczywa prawda jedyna. O nas – tkwiących w nas atawizmach radości, pragnieniu szczęścia. Sugestywny obrazowo wiersz oddaje jedynie drobnutki fragment naszego

16 maja 2008

*Po południu słyszałem
zanikające dzwony śmierci
z pobliskiego kościoła
a potem przybyły trzy postaci opiekuńcze –
od krwi kości i mięśnia sercowego
od duszy i wybawienia z mroku studni
oraz od rozumu*

*dwaj uczeni w piśmie
pilnowali trąby powietrznej
którą od tygodnia zapowiadała żona*

*jeden z beczelnie młodą
niosącą kotkę z mojego wiersza
drugi odgrzebywał Walta Whitmana
w „Tataraku”*

*jak powiedziałem było popołudnie róż
i stukotu kafarów na przyszłej autostradzie
Irena spóźniła się o dwa lata z powodu roweru
ale była o wyznaczonej godzinie*

*było popołudnie róż ale także whisky
pierwszy objawił się ostatni
kiedy odlatywałem
żeby poznać niemoc metafory
w momencie upadku*

spełnienia. Czy o coś innego może jednak chodzić? Tak zwana „pełnia” człowieka, dowodzi poeta, w istocie rzeczy jest ułomna i fragmentaryczna, zawsze poszukuje dla siebie „kontekstu” większego. Pragniemy połączenia ze swoją drugą połową.

*Znalazłem połowę,
której połowa moja nigdy nie
zaprzeczy*

czytamy w jednym z wierszy, doskonale rozumiejąc, że tylko w połączeniu jing

i jang odnaleźć możemy sens istnienia całkowitego. I rozumiemy także, co poeta chciał powiedzieć w tych słowach:

*Ciałem się stały
dwa ciała, dwa obłoki [...], zbliżały
się i oddalały.*

6 Jakże bliski tak wyrażanej poezji erotycznej jest temat – zdziwienia. Zdziwienie zawsze było przedustawnym warunkiem poznania prawdy. I u Krawczyka jest ono wszechobecne. W *Tajemnicy twarzy*, *Rozmowie*, *Moście nad czarną rzeką*, *Tańcu z kogutem* i wielu innych utworach – staje się siłą motoryczną, czymś, co popycha do udzielenia natychmiastowej odpowiedzi na męczące pytania. Cel jest wspólny i jedyny: chodzi o poznanie siebie w świecie, odkrycie własnego „ja”, wciąż nie do końca znanego, jeszcze zadziwiająco obcego.

Poezja Stanisława Krawczyka, dzieląc się światu i sobie, stara się odnaleźć drogę do prawdy. Czytając wiersze poety, wiersze zdumiewające się wielością barw świata i oblicz człowieka pełnego, także podążamy tą drogą, staramy się odkryć prawdę o nas samych. Nie jest ona prosta i natychmiastowa. Bywa zmienna. „Odbici” w „lustrze rozbitym” nie możemy się ludzić, że uda się nam złożyć w jedność to, co wymyka się nieustannie i co próbujemy wciąż uchwycić.

7 Omawiane wiersze są oszczędne w słowach, niejednokrotnie aforystyczne. To, co do nich przekonuje najbardziej, to głównie ich walor obrazowy. Krawczyk ufa wyobraźni, jej nieskończonym możliwościom. Zakorzeniając wiersz w rzeczywistości wyobraźniowej (jak napisze: w „pragnieniu mitu”), poeta nie ufa jednak symbolowi i jego sile ekspresji. Liryka, do której odwołuje się autor *Morza cierpliwego*, jest bardzo podatna na symbolizację, spiętrzenie pokładów wyrażania. Krawczyk ufa konkretowi, choćby banalnemu. Tylko konkret jest prawdziwy, tylko dzięki niemu można dotrzeć do sprawdzalnej sfery ludzkiej wrażliwości.

8 Poezja Krawczyka jest poznawaniem (przez konkret) – człowieka i świata, w jaki ów człowiek został wrzucony, w którym się gubi, ale także i odnajduje.

STANISŁAW KRAWCZYK (Edmund) – ur. 16. listopada 1938 roku w Czeladzi.

Debiut wierszem *Buty* na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (1961).

Debiut prozą na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (1962). Publikacje w takich pismach jak: „Życie Literackie”, „Współczesność”, „Więź”. W latach 1963–1968 współorganizował Rybnickie Dni Literatury. W latach 1980–1982 reporter dwutygodnika „Poglądy” i „Panorama”. W latach 1982–1988 współpracował z „Przeglądem Tygodniowym”, „Tak i Nie” i „Katolikiem”.

Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W latach 1996–2005 wiceprezes katowickiego Oddziału SPP i od 2008 do nadal. Stypendysta Ministra Kultury w latach 1997/98. Stypendysta Bałtyckiego Centrum Pisarzy i Tłumaczy na Visby w 1999. Pomysłodawca i organizator Międzynarodowego Konkursu Poetyckiego „O Złote Cygaro Wilhelma” (od 1997 roku), którego laureatami byli obok autorów polskich poeci z Czech, Słowacji, Niemiec, Austrii, Holandii. Moderator spotkań z pisarzami rosyjskimi (Kaliningrad) i niemieckimi (Kolonja). Organizator Międzynarodowych Konferencji Literackich (Dialog w środku Europy i Dialog Regionów) mających na celu wzajemne poznawanie dokonań w obszarze kultury i tworzenie nowej wartości w tożsamości Europy, a także w tożsamości pogranicza polsko-czeskiego i słowackiego. Redaktor i współredaktor książek indywidualnych i zbiorowych.

PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE SAMODZIELNE

WIERSE: *Przedpokój* – Las mieszany, ZLP, Katowice 1981; *Brzegi płomienia*, LSW, Warszawa 1986; *Morze cierpliwe*, „Śląsk”, Katowice 1986; *Relacja*, „Mona”, Kraków 1990; *Księgi wieczyste*, U.W., Katowice 1991; *Droga*, WAM, Kraków 1993; *Dusze zwierząt domowych*, WAM, Kraków 1993; *W samogłoskach i w kolorach*, „Zachęta”, Katowice 1995; *Błądzą*, „EGO”, Katowice 1996; *Szepty*, „Miniatura”, Kraków 1997; *Tajemnica twarzy*, „Miniatura”, Kraków 1998; *13 wierszy*, „EGO”, Katowice 2002; *ONA i ONA*, „MOK”, Czerwionka-Leszczyny 2007.

PROZA: *Czas przejściowy*, „Miniatura”, Kraków 1998; *Zapiski na prowincji*, „Świadek”, Bydgoszcz 2000.

TELEWIZJA: *Widowisko poetyckie* pt. *Lustra przestrzeni*, TVP 3 1995.

W PUBLIKACJACH ZBIOROWYCH: *Ogród różany* (antologia poetycka), Wydawnictwo „ASTRUM”, Wrocław 1993; Krzysztof Karasek, *Współcześni poeci polscy. Poezja polska od roku 1956*, „Iskry”, Warszawa 1997; *Nabożeństwa Drogi Krzyżowej*, WAM, Kraków 1997; *Zagłębie poetów* (antologia), Wydawnictwo Gnome, Katowice 2002; *Slavica Literaria*, Masarykova Univerzita w Brnie Rocznik 2004.

Wiersze Stanisława Krawczyka tłumaczyli na język rosyjski – Wiktor Borysow, Albina Samusiewicz, na włoski – Adam Pietras, na czeski – Henryk Jasieczek, Eva Bergerova, Libor Pavera, Libor Martinek, Ludvik Štěpan, František Všeticka, Jindřich Zogata, na macedoński – Barbara Georgijewska, na słowacki – Marian Milčák, na niemiecki – Jan Sebastian, Wiesław Trzeciakowski. Opowiadanie *Rozmowa* tłumaczyła na czeski Helena Stachova.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA: Polskiego Radia za opowiadanie *Rozmowa*, 1981; „Solidarności” za „Książkę Roku 1993” – „DROGA”, 1994; Złota Lampka Rybnickich Dni Literatury, 1995; Medal 800-lecia Rybnika, Statuetka „Karolinki” – nagroda Miasta Czerwionka-Leszczyny.

o Stanisławie Krawczyku eseje publikowali literaturoznawcy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – prof. zw. Włodzimierz Wójcik, prof. zw. Marian Kisiel, dr Paweł Majerski, Prof. Ludvik Štěpan z Uniwersytetu w Brnie, doc. dr František Všeticka z Uniwersytetu w Ołomuńcu, dr hab. Libor Pavera z Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku Białej.



„Ogrody” – grafika Marka Przybyły

Jerzy Suchanek

Zdawka

Ot i już. Jakby między tik, może tyk, a tak. Przeciek kryształu, i jak tyk wódki o nazwie „Kryształ”. Chlust w biust. Ciekłe kryształy rozświecają się w tobie i ciebie tobie objaśniają. Ot i już, otóż to, otóż tak, odwrót? Nie, na odwrót. Jeszcze mówi do ciebie, a już nie jest tu, choć też nie tam. A o czym? To ważne? Ważne! Nieważne, czy o chlebie, czy o niebie, o wodzie, czy o głodzie. O chłodzie? Też. Ot też? Ot i o modzie, nagrodzie, narodzie! Że łodzie płyną po wodzie, że duch na ogrodzie, a na spodzie głąb, co się mu powodzi z głębi jego, jednak nie tu, nie tam, nie między duch duchem, duszkiem dyskantu zstępuje, gdy zostawia resztkę mówienia, słowa reszka do góry. Ot, ot! I już, wciąż tuż, zarazem tamże, że to, co w smrodzie, żyzne, pożyteczne, a że żre, tylko żre żarło i żarło będzie, cokolwiek, jakkolwiek w głąb bez żadnej głębi się zrzuci, aż do zżarcia żarcia, zażarcie do zeżarcia, to cóż. Cóż! Cóż!!! Cóż, że żarliwy głąb pożre mięśnie, kości, bebechy, skórę, łuski i pióra, głodny głąb, wciąż głąb głodniejszy, zżuje głąb, czy to gołąb będzie, czy labędzie, bo głąb głęboko w głąbie, a nie ma w głąbie głębi, jest głąb. Czy to kto jeszcze, czy już co? Och, nie pytaj, zstąp w głąb, zstąp w głębię, zobacz, czy jest kim, czy tym, co w jego gębie. Jeszcze mówi do ciebie, a już. Głąb mówi? Nie głąb, on mówi, a on mówi z głębi, ze swej głębin między przed, obecnie i po, wywijając się z obecności i z nieobecności. Nie, nie! Nie na lewo, nie na prawo, nie w nie i nie w tak. Więc gdzie? Gdzie? Ot, gdziekolwiek. Ot i już. I ot też. Muska cię, ledwie muska. Jedno skrzydełko w miodzie, drugie w ogrodzie. Wiesz, to wiesz, że głąba z głąba nie wyciąga, bo na gębie głąba stoi tak wysoko, tobie zrzuca wylinki. Tyk, tak, tyk, tak. Już. Ot i już. Między. Między, między! Jesteś na między, na między. Tam głąb, tu duch. Wszelki duch, co chwali. Wszelki głąb, co mlaszcze. Duch głaszcze twą główkę, gdy głąb wyjada ci język. Bo dla ducha masz nastawiać ucha, nie mleć jęzorem ani pod pozorem, ani wieczorem. W uchu dech ducha, duszna dawka, porcyjka, znak tyk, tak. Tak. Tak mówi do ciebie. Jeszcze mówi i już nie jest tu. Ani tam. Duch robi ruch, ruch ducha. Kto zrobił głąba, co w głąb głąba wysysa cię z ciebie? Nie duch, nie ruch, to głąb zrobił głąba. Tak ci się zdaje? Tak ci się zdaje, że głąb się tobą naje, a duch. Co duch? Duch tak tyk przystaje.

Ciemko

Ona budzi wszystko. Choć nic nie śpi. Patrzy. Wszystko na nic. Nic na wszystko. Mało na dużo. Mniej na więcej. Obiera. Żółte, gęste, twarde przy paznokciu. Obiera skórę. Słyszy chrzęst. Przy uchu. Wzdryga się. Obrąć ucho zamierza, czy uciąć, bo łatwiej. Ciach. Znika falbanka, palec zatyka dziurkę, bo się chce do niej wlać to, co teraz wycieka, ciepłe, gęste, słodkie. Próbuje, próbuje. Nic próbuje wszystko, wszystko nic. Ma gorzej w tym. W tym. W tym, tym obranym. Przez wszystko. Przez nic. Obranym. Na coś, kogoś, jakoś, proś. Coś proś? Proś wszystko. Nic. Żółte to nic, to przy paznokciu, to pod pachą, to w pachwinie, żółte, cyk, żółte ukłuć! Ukłuje! Ooo. Już. Już. I uśnie? Budzone, choć nie śpi? Obrane, obcięte, obrobione z grubsza. Rozszczepia skórę, zaszczepia światłem, szczypie szczypczykami. Nie śni, że uśnie. Nie uśnie, bo nie śni. Nic. Wszystko. W tym z tym. I bez tego poza tym. Gasi skórę. Ale nie skóra oślepia. Ale nie. Dlaczego ale, a nie lecz. Obiera, obcina, obrabia, odkłuwa, odsącza żółte, lecz? Lecz! Lecz w tym czerni się, żarzy się czernią, i palec z wylotu trąbki przekłada na to. Na to. Nic. Nie usypia i żarzy się, rozżarza czernią. W nią ścieka nic, wszystko. Wzdryga się, wzdryga. I nic, ścieka. Wstrząsa się. Na nic. Nic na to. Ścieka, zasysane, mieszane w tym rozżarzeniu. W czerń. W obranym obierane. Przewraca się, wytrzepuje. W czerń spływa tak w dół, jak w górę. Tak samo. Samo. W tę czerń, w tę tęczę czerni, żar. Żar. W leju lejka. Leję się, ulewam, wlewam ulewą, jęczy, jęczę. Szczypczyki odszczepiają się. Skóra odczepia światło. Owija skulenie. Zaparcie na wszystkim. Zaparcie na nic, ssanie wszystkiego. Wirowanie i rozpryskuje się, na ściankach owinięcia, otulenia, chlapnięcia, kawalki. Strączki warg na natrętym języku. Miąższ i sok z gruszki cycka. Majtająca się pępowina. Szyja ze śladami. Kopytka ząbków, tyk-tuk, tyk-tuk, tyk-tuk. Rurki, włókna, listki, płatki, żdźbła. Śrubki, śrubokręty, śruta i śrut. Grzeszność. Grzechotka moszny. Zgrzebło ręki. Zgrzebność łona. Kluseczki. Pętka włoska. Pęta paciorków. Powtarza koronkę. Liczy czerwone korale, owija się warkoczem góralki. Nie ma drugiego. Podzielili się. Śpiewała na skale o zmierzchu. Po rosie. Po wrzosie. Po ciemku. O tym ciemko. O tym. O tym przed ciemko i już po ciemku. O tym takim zwijaniu się w czerń, w laniu w lej ciemko, w lek rozżarzenia, w lęk przed lejkiem, przed luką w tym. W tym wszystkim. W tym nic. Nic nie budzącym. Wylącznie nic, lecz ciemko bólu. Ciemko włącza, włącza w ból, wlewa, spływa, od wewnątrz, struga, obiera strużyna po strużynie, odbiera siebie sobie, obiera.

Jerzy Suchanek (ur. 1 sierpnia 1953 r. w Bytomiu) – pisarz, poeta, publicysta.

Wiersze, prozę i teksty krytyczne publikował m.in. w „Poezji”, „Nowym Wyrazie”, „Kujawach”, „Integracjach”, „Studio”, „Autografie”, „Opcjach”, „Śląsku”, „Artylerii”, „Migotaniach”, „Przejaśnieniach”, „Akanicie” i „Mediaskrypcie”, a także w antologiach: *Nowy sezon* (Mikołów 1997); *Arka poezji* (Bydgoszcz 1998); *Gliwicki Almanach Literacki* (Gliwice 2001); *Zagłębie poetów* (Katowice 2002). Jest laureatem m.in. nagrody głównej X Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. J. Śpiewaka (Świdwin 1979), III nagrody konkursu Przeciw Wojnie (Warszawa 1981), Kogi Gdańskiej (1985 – za upowszechnianie poezji młodych twórców), III nagrody Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego O Rubinową Hortensję (Piotrków Trybunalski 1996), III nagrody IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rafała Wojaczka (Mikołów 1996). Laureat nagrody Towarzystwa Kultury Teatralnej Za osiągnięcia w upowszechnianiu teatru (Warszawa 2001). Laureat Nagrody Artystycznej Miasta Sosnowca 2007). Współzałożyciel Piwnicy Literackiej przy SCK Zameczek-Remedium w Sosnowcu i współredaktor jej wydawnictw (1981, 1983–85), współzałożyciel i współredaktor almanachu „Kwartal” (Warszawa 1981). Współredaktor wkładki literackiej „Zjawiska” do Gliwickiego Informatora Kulturalnego (1994–1996). Właściciel, współzałożyciel i redaktor naczelny wielu czasopism samorządowych i obywatelskich.

W latach 1994–1999 był redaktorem programowym gliwickiej filii bydgoskiego Instytutu Wydawniczego „Świadectwo”. Pomysłodawca i organizator I Pszczyńskiej Biesiady Poetyckiej (1985), pomysłodawca i współorganizator Mysłowickich Tygodni Poezji (1986–91), współprowadzący Klub Literacki w gliwickim Klubie Perelka (1993–98).

Wydal zbiory poetyckie: *Proszę rozejść się do domów* (Sosnowiec 1974); *49 wierszy* (Warszawa 1981); *Jestem nie tylko słowem* (Katowice-Sosnowiec 1983); *Czytaj szeptem* (Mysłowice 1991); *Bębny* (Gdańsk 2007); *Pusto* (Sosnowiec 2007); *Widzimi się* (Gdańsk 2008), oraz cykl przypowieści *Ośle ziółka* (Bydgoszcz 2008). W 2007 roku ustanowił własną literacką Nagrodę Otoczaka.

I ojciec przytaszczył z werandy skrzynię, która przez ostatnie trzydzieści lat stała w kącie pod murem. Postawił ją na środku salonu, a cała rodzina zebrała się wokół drewnianego, na pół zmuszającego pudła.

Na skoblach nie było klódek, przerdziały, metalowe zatraski ustąpiły bez oporu. Po pokoju rozpląnął się zapach starzyzny i wilgoci.

Pod stertą pośliskich haftowanych serwetek i makatek leżała warstwa płóciennej materii. Niedokończone suknie, wykrojone z ciemnego muślinu, szpule nici i kłębki wyblakłej wełny. Jakby porzucone, w pośpiechu opuszczone skrawki dni, wieczorów, spotkań, elegancji, drobnomieszczańskiej rywalizacji o to, która z dam prezentuje się najlepiej w ciężkich czasach niedostatku. Teraz leżały upchnięte w kufrze, pozbawione kontekstu i wartości.

Pod nimi były rzeczy dużo cenniejsze, jak mi się wydawało. Ojciec wyjmował po kolei małe zeszytiki zapisane cienką stalówką równym kaligraficznym gotykiem, pochylonym lekko w prawo. Słowa, zdania, nieczytelne – nie tylko dlatego, że w języku niemieckim. Litera fantazyjnie pozawijane w serpentyny ogonków i skrzydełek niemal w ogóle nie przypominały tych, jakie poznawałem właśnie w szkole. Obok kajecików leżała sterta czarnobiałych widokówek z miejscami, których nie znałem. Ale ojciec odkrywał, co i rusz, na wyblakłych fotografiach bliższą i dalszą okolicę, tylko mniej tam było domów i ulic, wzgórz pokrywały lasy i łąki poprzetykane strumykami, a niemieckie nazwy na pocztówkach nie informowały o niczym. Nikt ich od dawna nie używał. Na widokówkach ludzie w niemodnych ubraniach przechadzali się niespiesznie brukowanymi ulicami, tu i ówdzie tryskała w górę fontanna, przemykała dorożka, a wśród pagórków przebijały się wieże kościołów.

Im głębiej zanurzaliśmy się do wnętrza skrzyni, tym cenniejsze skarby wyjmowaliśmy na powierzchnię. Na samym dnie ukryte były równo poukładane duże zeszyty ze składanymi na kilka części płachtami kraciastych stronnici. Wypełniały je potężne wykresy okraszone rzędami i kolumnami cyfr, posortowanych w równania i wzory. Żmudna praca projektanta, długie noce spędzone nad deską kreślarską. Myśl i wiedza przeniesione na papier stalówką i tuszem, umysł spełniony w ręcznej robocie. Między zeszytami potykane leżały sztywne rulony wypełnione projektami domów, stadionów i dworców. Niektóre obrazy widywałem niemal codziennie na okolicznych ulicach. Myśl

Początek

Dariusz Olejniczak

przemieniona w czyn i dzieło.

Zawartość kufru podzielona została na rzeczy ważne i mniej ważne oraz niezbędne szpargały.

Do tych ostatnich ojciec zaliczył skrawki niedokończonych sukien i nici. Cenniejsze zdobycze wylądowały w ojcowskich szufladach i często wyjmowaliśmy je i oglądaliśmy, rozkładając na stole i porównując szczegóły planów z ich odpowiednikami w architekturze okolicy. Ten podział dokonany autorytarnie przez ojca przebiegał idealnie wśród linii oddzielającej świat męski i żeński. Materiały krawieckie i malutkie zeszytiki zapisane archaicznym gotykiem należały do pierwszej gospodiny domu. Frau, jak nazywała ją moja babka, mieszkająca tu niemal do końca czterdziestego piątego roku i najprawdopodobniej tuż przed wyjazdem do nowej – starej ojczyzny spakowała wszystkie te rzeczy w nadziei, że być może uda się je zabrać w podróż do nowego domu. Nie zabrała ich jednak ze sobą, jak zresztą wielu innych przedmiotów – mebli, naczyń, porcelany, landszaftów. W jej bagażu z pewnością znalazły się rzeczy najcenniejsze, a wśród nich pamiątki po mężczyźnie, który był autorem wykresów odkrytych przez nas w zmuszającej skrzyni.

Kim był? Architektem i żołnierzem, najprawdopodobniej oficerem Wehrmachtu. Któregoś dnia wyruszył na wojnę, w obronie Heimattu i na podbój nowych przestrzeni. Nigdy z tej wyprawy nie wrócił, a teraz my zajmowaliśmy jego terytorium.

Moja babka nigdy nie rozmawiała z Frau o mężu, o jej historii. Pewnego wiosennego dnia stanęła przed drzwiami domu przy ulicy Fredry i stwierdziła stanowczym głosem, że teraz ona będzie tu mieszkać z matką i dwiema córkami. Niemka rozumiała sytuację. Wyniosła się do najmniejszego pokoju, resztę metrażu oddając do dyspozycji czterech Polek. I ona i jej nowa lokatorka, a właściwie następczyni, różniły się pod każdym względem, ale jedno je łączyło. Obie były zdane na siebie i teraz obie musiały nauczyć się żyć pod jednym dachem, nie rozumiejąc swojego języka, różniąc się poglądami, historią, nawet wiarą.

Babka narzekała, że „Niemra nie umie gotować”. Sama musiała nauczyć się gotowania w czasie wojennej tułaczki. Naj-

pierw Niemcy zburzyli jej dom w Warszawie, potem rozstała się z mężem, aż wreszcie zamieszkała w Radości, sama z dziećmi i schorowaną matką. Kiedy nadszedł czas, wyruszyła na Ziemię Odzyskane i osiadła w mieście, które nietknięte przez przewalające się między frontami armie, wyglądało wtedy jak bajkowa kraina ukryta wśród lasów i wzgórz. Ta kraina, i tak od dawna górnicza, szybko zamieniała się w węglowe zagłębienie poorane szybami górniczymi i zasypane nowymi hałdami, ale dawni mieszkańcy już tego nie widzieli. Wszyscy wyruszyli na Zachód do ojczyzny, która tak naprawdę nigdy nie była ich domem.

Nasza Frau (babka nigdy nie wymówiła jej imienia, podejrzewałem nawet, że przez te wspólne miesiące spędzone pod jednym dachem, nigdy jej o imię nie pytała) także wyjechała. Zostali nieliczni, garstka bezdomnych, opuszczonych, starych ludzi. Jeden taki Niemiec mieszkał w naszej okolicy. Starzec włóczył się po ulicach od wiosny do późnej jesieni tocząc przed sobą zdezelowany metalowy wózek wypełniony skarbami ze szkła i makulatury. Był z innego świata, nie wiem dlaczego nie wyjechał do nowych Niemiec. Może nie miał do kogo. On sam nie rozumiał świata, w którym my żyliśmy. Nie rozumiał, dlaczego ulice, po których chodził noszą obco brzmiące nazwy. To już nie była Adolf Hitler Avenue, to już nie była Altwasser czy Weisstein, to już nie był Waldenburg. Tylko on pamiętał, gdzie była Charlottenbruner Strasse. Ilu takich jak on zostało po wojnie w mieście, ilu

żyło przez następne lata? Znałem tylko jego, ale jeśli byli jacyś inni, to pochowali się gdzieś w swoich dzielnicach, w kwartałach znanych sobie ulic, w komunalnych kłódkach, jakie udało im się wyżebrać od nowych właścicieli Heimattu.

Mój dom, jak wszystkie domy, był poniemiecki. W każdym z tych domów dawni właściciele pochowali pamiątki przeszłości. Stare gazety, hitlerowskie mundury, odznaczenia, reichsmarki, fenigi, książki, znaczki pocztowe z podobiznami wodzów Rzeszy. Wyciągaliśmy te pamiątki przy okazji remontów, spod podłóg, parapetów, schowków. Organizowaliśmy ekspedycje do piwnic i na strychy w poszukiwaniu skarbów, a jedyne, co znajdowaliśmy to sterty papieru zadrukowanego gotyckimi czcionkami z fotografiami żołnierzy na froncie. Wypoczywali, przeżyli piersi do orderów, uśmiechali się, teraz zalegali w stertach poniemieckiej makulatury. Należeli już do przeszłości.

Nie wiem, co czuła moja babka, kiedy stanęła przed drzwiami tego domu. Wybrała go z listy wyłożonej w siedzibie Rady Narodowej. W gromadzie innych repatriantów, przekrzykujących się przy wysiadaniu z wozów, szukających dobytku w stertach worków i mebli przywiezionych ze Wschodu, dowodzonych przez szeregowych wyzwoliciele z ludowego wojska, musiała chyba być pewna siebie.

Pewna swojego wyboru. Musiała być pełna nadziei i wiary, że jakoś to się poukłada. Ale musiała też czuć żal, że ten dom, nie jest tym, który opuszczała w pośpiechu przed Powstaniem. Musiała wie-

dzieć, że to ironia okrutnego losu zawiodła ją do drzwi, które za chwilę otworzy jej wdowa po hitlerowcu, jednym z tych, co wypędzili ją z Warszawy, z tamtej Polski. Którzy zburzyli dawny porządek. Nigdy jej o to nie spytałem, ale myślę, że nie było w niej uczucia triumfu. Była na pewno pogarda. Frau wyczuwała to. Czuła też upokorzenie, będące jeszcze jedną wspólną nicią łączącą obie, w każdym calu obce sobie, kobiety. Każda na swój sposób przeżywała upadek narodu i swój własny. Bez względu na późniejsze zadośćuczynienie w postaci życia danego na nowo i na nowej ziemi, ból i poczucie straty nie opuściło ich już nigdy.

II

Kamienica przy ulicy Fredry miała symbol ślimaka. Każdy budynek był tu oznaczony godłem umieszczonym nad główną bramą. Były świerszcze i słoń, były kwiaty i narzędzia murarskie. A nasza brama ozdobiona była właśnie ślimakiem. Te symbole, to podobno były znaki drużyn murarskich budujących poszczególne kamienice. Ale równie dobrze ślimak mógł oznaczać powolne tempo, w jakim robotnicy wznosili dom do góry.

Bardzo byłem ciekaw, jak wyglądała nasza ulica przed wojną. Niestety, w kufrze porzuconym przez Frau zachowało się tylko jedno poźółkle zdjęcie z tamtego czasu. Wśród drzew prześwitywała witryna jakiegoś zakładu usługowego, szewca, albo krawca. Gotyckie litery z nazwą firmy wyraźnie odznaczały się na tle poszarzałych ścian, a liście – pewnie soczyście zielone – zaglądały do okien mieszkań na wyższych kondygnacjach. Na tej fotografii wszystko było inne, niż widziałem na co dzień. Było w tym widoku coś z bajki. Bo teraz nie było już ani tego krawca, ani drzewa.

Ale drzewa i zieleń dominowały na naszej ulicy jeszcze wiele lat po wojnie. Przed kamienicami spory kawał ziemi zajęty był przez ogródki, a drzewa, ogromne, wysokie dęby, rosły niemal w każdym z nich. Pamiętam, że po latach trzeba było je przycinać, bo przesłaniały widok z okien na wyższych piętrach, a w razie silniejszego wiatru mogły runąć na domy. Nasz ogródek, niestety, nie miał swojego drzewa.

Babka nie pamiętała przedwojennej nazwy naszej ulicy. Albo nie chciała pamiętać. W każdym razie ja nie poznałem jej nigdy. A nazwy nadane przez władzę ludową wprowadzały pewien chaos w najbliższym otoczeniu. Fredry graniczyła z placem Wojska Polskiego, który krzy-



zował się z ulicą Chopina, a niżej biegła Ogińskiego, która tak jak Fredry, łączyła się ze Świerczewskiego. Równoległa do naszej ulicy była Staszica wiodąca od drogi generała w górę, do Paderewskiego. Kawalek dalej szła Żwirki i Wigury. Pomieszczenie klucza wojskowego z literackim i muzycznym.

Ale Fredry mi się podobała, lubiłem ją z jej podwórkami, ogródkami i zakamarkami w piwnicach domów. Świetna okolica na kryjówki i podchody.

Nasz dom jak wszystkie inne też miał takie mroczne kryjówki. W piwnicy była pralnia, w której niemieccy lokatorzy czyścili i suszyli ubrania. Ale najważniejszy był schron. Mieliśmy prawdziwy schron przeciwlotniczy oddzielony od reszty piwnicznych pomieszczeń ciężkimi, żelaznymi drzwiami. Zamykało się je na dwie spore dźwignie. Prawie jak w łodzi podwodnej. Polacy podzielili schron na mniejsze pomieszczenia i wykorzystali na piwnice, do trzymania węgla, kartofli i konfitur. Niemcy też nigdy nie schodzili do schronu, żeby ukryć się przed nalotami. Nie musieli. Wałbrzych ominęła wojenna ruina. Wszystko było jak kiedyś, o ile nie zniszczyli tego powojenni przybysze.

Granice między starym, a nowym porządkiem widać było jednak wyraźnie. Dla mnie biegła ona wśród domów, podwórek i ulic noszących wciąż ślady minionego czasu, choć żyli tu już inni ludzie.

Jeszcze raz stanąłem na tym pograniczu wiele lat później, przy okazji remontu mieszkania. Pod grubą warstwą kolejnych powojennych farb odkryłem kolor, który położyli na ścianie niemieccy robotnicy, a może tajemniczy mąż Frau. Małeńki pokój, zajmowany przed laty przez Niemkę, pokryty był przytłaczającą, ponurą, mroczną granatową farbą. Dla mnie koszmarny, ale oni mieli taki gust. Ich prawo.

III

Repatrianci ze Wschodu zasiedlili Wałbrzych niemal kompletnie. A tam, gdzie nie zamieszkali byli lwowiacy, czy boryslawiacy, wprowadzali się przybysze z Warszawy. Z Zachodu przyjechali górnicy z Belgii i Francji. Dawni emigranci wrócili fedrować w wolnej Polsce. Pewnie po latach wielu żałowało tego powrotu, ale z francuskimi emeryturami wyróżniali się wśród górniczej braci, jeśli tylko wiedzieli, na co wydawać ciężko zaharowane franki. Cyganie zasiedlili całe budynki na Starym Zdroju, a greccy komuniści zamieszkali w co lepszych domach w okolicach Rynku. Żydzi urządzali się gdzie popadło i szybko w mieszkali się w polską społeczność, choć



Zdj. Tomasz Kowalski

rodzinne związki z gojami wciąż były nie do pomysłenia.

Na ulicy Fredry osiedleńcy zza Buga żyli obok warszawiaków, „Francuzów” i Żydów. Moja babka mieszkała wśród boryslawiaków, ale po drugiej stronie ulicy, w kamienicy naprzeciwko, lokal na parterze zajmowali Żydzi – państwo Dzwonnikowie. On łysawy krągły sklepikarz, ona przy tuszy i przy mężu. Mieli dwie córki, Helenę i Irenę. Przez kilka lat, mimo tak bliskiego sąsiedztwa babka nie utrzymywała z państwem Dzwonnik żadnych kontaktów. To się zmieniło, kiedy i ona i jej sąsiadka znalazły się w centrum tragicznych wydarzeń pewnej wiosny w końcu lat czterdziestych. W tamtym czasie w mieście kursowały regularne linie tramwajowe łączące Rynek z peryferiami. Górzysty teren ze stromymi wzniesieniami sprawiał, że czasem czerwone wagoniki wyskakiwały z szyn i wypełnione po brzegi ludźmi pędziły ku katastrofie. Mimo licznych rannych a bywało, że i zabitych, ludzie wciąż wsiadali do tramwajów. Nowe Miasto z jego główną ulicą, generała Świerczewskiego, łączyła linia wiodąca aż do Rynku. Wystarczyło zejść w dół ulicą Fredry i już było się na przystanku, a po chwili wagon wiozł publiczność „do miasta” jak się wtedy (i teraz chyba też) mawiało. Najpierw pod górę, a potem w dół serpentyną na plac Tuwima i dalej znów wspinał się na Rynek. Tamtego fatalnego poranka moja babka wsiadła do tramwaju, bo chciała pojechać na zakupy „na Zieleniaku”. Tramwaj ruszył w trasę, ale kiedy dojeżdżał już do placu Tuwima, koła nie wytrzymały naporu rozjeżdżonych wagonów i wyskoczyły z szyn. Z hukiem, w lawinie isker, żelastwo

potoczyło się po bruku wprost w ścianę hotelu stojącego w centralnym punkcie placu, który właściwie był wtedy niewielkim skrzyżowaniem. Kiedy maszyna wbiła się w budynek, rozpętało się piekło. Pokrwawieni, krzyczący ludzie usiłowali się wydostać na zewnątrz. W płataninie ciał i zrozpaczonych głosów moja babka wydobyła się ze zmiażdżonego wagonu. Cudem nic się jej nie stało, ale patrzyła z przerażeniem na to, co dzieje się dookoła niej. Wtedy wśród innych twarzy zobaczyła twarz pani Dzwonnik. Kobieta była zalana krwią, skórę głowy razem z włosami miała niemal całkowicie zdartą. Babka pomogła jej wydostać się z gruzowiska i nie odstępowała jej aż do szpitala. Tak zaczęła się wieloletnia zażyłość pań Skonieckich z państwem Dzwonnik.

Moja matka i ciotka – Mirka i Wanda, zaprzyjaźniły się z Dzwonnikównami, uczestniczyły w ich życiu rodzinnym, tak jak Helena i Irena zadomowiły się w domu rządzonym silną ręką przez moją babkę. Chodziły do jednej szkoły, wspólnie biegały do zaprzyjaźnionej żydowskiej rodziny na telewizję. Bo to były czasy, kiedy telewizor był w jednym mieszkaniu na kamienicę. Kiedy pan Dzwonnik wyjeżdżał za granicę, czekały z jego córkami na powrót, bo przecież wtedy mało kto bywał za granicą. Najwyżej w NRD, a co dopiero w Stanach. Przywoził z tych podróży przede wszystkim jedzenie. Słodczyce zawsze były pyszne i w kolorowych opakowaniach, inaczej niż gorzka czekolada z unry.

Po sześćdziesiątym ósmym nic się właściwie nie zmieniło. Pan Dzwonnik dalej był kierownikiem sklepu, od czasu do czasu wyjeżdżał za granicę, regularnie chodził do bożnicy. Z czasem święty-

nię zamknięto, a większość Żydów wyjechała do Izraela. Myślę, że już wtedy państwo Dzwonnik myśleli o emigracji. Pierwsza wyjechała Irena. W latach siedemdziesiątych z mężem i córeczką pojechała na wycieczkę do Austrii. Byli Żydami i mieli pieniądze, władza takich nie lubiła. To chyba wystarczyło, żeby dostali paszport i wizę. Przez obóz dla azylantów dotarli do Włoch, a stamtąd wyładowali na Nowej Zelandii. Po kilku latach, ze względu na zagrożenie trzęsieniami ziemi, przenieśli się do Australii. Pan Dzwonnik latał teraz do córki na Antypody. Pamiętam smak miodu, który przywiózł z Nowej Zelandii. Pięć słodkich pudełek pachniało aromatem egzotycznych kwiatów, egzotyczną słodyczą, tajemnicą. Pamiętam jak smakowało masło orzechowe w czasach, kiedy ani ja, ani żaden z moich rówieśników nie miał pojęcia o istnieniu takiego masła. Pamiętam ananasy, daktyle i suszone figi. Nigdy nie zapomnę.

Krótko przed stanem wojennym w odwiedziny do siostry pojechała Helena z kilkuletnim synem.

Już nie wróciła z tej wizyty. Państwo Dzwonnik dołączyli do córek jakiś czas potem. Polecili do Brisbane, a ich cały dobytek – w tym ciężki, czarny fortepian – popłynął na drugą półkulę statkiem. Przysyłali na Fredry listy, a czasem paczkę z nieodmiennie jednakową zawartością, dużą tabliczką czekolady mlecznej z orzechami laskowymi. Wierzyli, że robią nam przysługę, ale my, bardziej od czekolady, spragnieni byliśmy wieści o tym, jak im się układa w nowym miejscu. Z listów wynikało, że żyje się im jak w bajce. Ich córki miały własne domy, pracę, wnuczki chodziły do szkoły, na basen, jeździły konno, a na wakacje cała rodzina latała do Disneylandu. Kiedyś przysłali zdjęcie z takich wakacji. Ale i bez tego, ja wierzyłem w tę bajkę.

Dariusz Olejniczak – ur. w 1967 roku. W latach 80. pisał teksty piosenek dla nowofalowego zespołu Bizzare (występy m.in. na dużej scenie podczas festiwalu Jarocin 88). Pracował jako dziennikarz w prasie ogólnopolskiej, obecnie zajmuje się fotografią uliczną i prowadzeniem bloga społeczno-politycznego <http://innewidoki.wordpress.com>. Jako prozaik debiutuje na naszych łamach.

Zamek wzięty!

Damian Dawczyński

Zamek Biskupów Krakowskich w Siewierzu jest perłą architektury a także, dzięki staraniom siewierskiego samorządu, od kilku miesięcy dużą atrakcją turystyczną na mapie naszego regionu.

Wstyczniu 2008 roku zakończyły się prace związane z budową platformy widokowej wraz ze schodami w wieży bramnej.

Był to pierwszy etap adaptacji ruin siewierskiej warowni dla potrzeb ruchu turystycznego. Aż 85% środków zostało pozyskanych na realizację zadania (tj. ok. 317 tys. zł) zostało pozyskane z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Rozwoju Subregionu Centralnego. Około 7% kosztów inwestycji (ok. 25 tys. zł) siewierski samorząd otrzymał jako dotację z budżetu powiatu będzińskiego. Mieszkańcy Gminy, turyści i pasjonaci zabytków z Polski, a także z zagranicy mogli zwiedzać zamek od maja do czerwca, bo w lipcu rozpoczęły się kolejne prace konserwatorskie i zabezpieczające.

Uroczyste otwarcie mostu zbudowanego odbyło się 9 listopada w ramach obchodów Narodowego Święta Niepodległości. 11 listopada odnotowano nowy rekord liczby

osób odwiedzających zamek – tego dnia przeszło przez most, zwiedziło dziedziniec oraz wieżę bramną prawie 800 osób. W sumie w ub. roku ruiny siewierskiego zamku odwiedziło blisko 15 tysięcy osób!

Niebawem na dziedzińcu zamku zakończą się prace budowlane, polegające na przebudowie oraz wzmocnieniu płyty stropowej piwnicy i dostosowanie jej do wymogów scenicznych. Pozwoli to na organizację imprez kulturalnych, przedstawień teatralnych oraz wielu innych występów plenerowych, które przyciągną do Siewierza jeszcze większą liczbę turystów. Zakończenie prac zaplanowano na koniec listopada zeszłego roku. Całość prac już wykonanych oraz zaplanowanych na zamku zgłoszono w celu dofinansowania w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Śląskiego – wartość całego projektu to ponad 3,5 mln zł.

Ponadto trwają intensywne prace nad przygotowaniem iluminacji zamku. Na realizację czeka także koncepcja zagospodarowania terenów wokół zamku, gdzie mają powstać liczne boiska, obiekty rekreacyjno-sportowe, plac zabaw, miejsca do spacerów i odpoczynku oraz amfiteatr.



Zdj. archiwum Autora

Jan Pierzchała urodził się, tak jak jego ojciec i dziadek, w Jaworznie. Tu dorastał, tu przeżywał pierwsze uniesienia. Potem wyjechał, aby tworzyć polską kulturę w innych miejscach kraju. Napisał wiele książek, został piewcą Śląska i jego eseistą. Lubił jednak wracać we wspomnieniach do zakątków niewielkiego wówczas miasteczka na pograniczu Małopolski i Śląska. Do zaułków i budynków, których od dawna już nie ma, do miejsc których nazw już młodzi jaworznianie z niczym nie kojarzą...

Tego miasteczka już nie ma...

(Monolog niegdyś zasłyszany spisał
Zbigniew Adamczyk)

Mój rodzinny dom stał w Koczurowym Kącie, w Jaworznie, na rogu ulicy Wandy i Barbary. Był to dom babki mojej, w nim się urodziłem i w nim urodziła się moja matka. W tym domu ukrywał się ksiądz Stanisław Stojalowski. Wszyscy byliśmy związani z księdzem, toteż rodzina była niemile widziana na plebani, bowiem kuria nie tolerowała ks. Stanisława.

Kiedy dzisiaj słucham o sukcesach Szczakowianki, wspominam niegdyś spacerując przez obsadzoną drzewami, ale zupełnie pustą drogę przez Galmany, gdzie kąpałem się z przyjaciółmi w którymś z dwóch kopalnianych basenów służących do zamulania szybów. Do wody dodawano piasek i wpuszczano do wyrobisk. Woda płynęła przez Warpie, Sodową, wtedy częściej nazywaną Wapiennikiem, Górę Piasku....

Szczakowa była wówczas, prawdę mówiąc, mocno zantagonizowana z Jaworzniem. Inteligenckie miasteczko graniczne, z wieloma dobrze funkcjonującymi zakładami pracy. Utkwiła mi w pamięci jako miasteczko fajnych ludzi, kolorowych parasolek, pań prowadzących dziewczynki z warkoczykami.... Ludzi ze smakiem. Siostry mojego ojca mieszkaly w Szczakowej. Nie można było z nimi rozmawiać. Przyjeżdżały w takich kapeluszach, że wyglądały jak niespotykane zjawiska. To byli zupełnie inni ludzie. Oni dyktowali pewien styl życia w mieście. W Jaworznie, w Przyjaźni wystawiano Jaselka, a w Szczakowej – wielki repertuar muzyczny. Przy fortepianach siedzieli ludzie wykształceni, po konserwatorium muzycznym, urzędnicy, śpiewacy. Pani Bem była śpiewaczką po konserwatorium. Trochę zadzierali nosa... Ale to bardzo stare dzieje. Tego miasteczka już nie ma. Zostało w mojej pamięci. Może jeszcze trwa w kilku osobach.

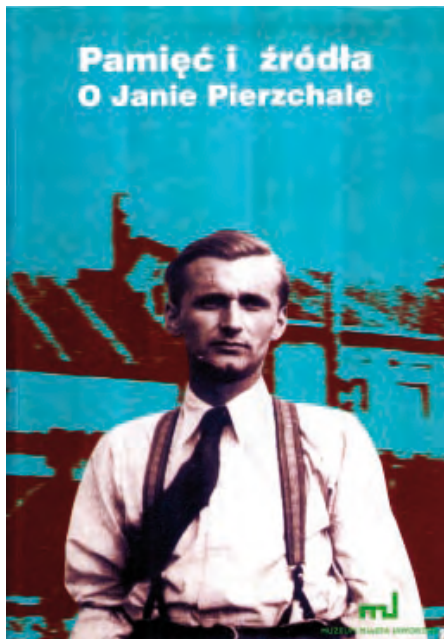
Po wojnie wyjechałem na studia do Wrocławia. Po nich zostałem dyrektorem rozgłośni wrocławskiej. Potem przyjechałem do Sosnowca, bo z rozgłośni mnie wyrzucano. Dziwna historia. Chyba w roku 1951,

do rozgłośni na Krzykach weszła gromada około czterdziestu Żydów. Wszyscy grają, wszyscy są muzykami. W tym czasie pan Serebyński ze Lwowa organizował orkiestrę symfoniczną Polskiego Radia w oparciu o muzyków właśnie stamtąd. Chętnie i szybko zorganizowaliśmy więc komisję. Komisja przesłuchiwała grajków, z których każdy grał „od ucha”, ale żaden nie grał z nut. Nie można więc ich było przyjąć. Ledwie dwóch, którzy czytali nuty, zakwalifikowano. Oburzeni muzykanci pojechali do komitetu partii ze skargą, że ich wyrzucano... I tak się zakończyła moja kariera.

Wyjechałem więc z Wrocławia po nieprzyjemnej rozmowie, w czasie której padło wiele niedobrych słów. Kara dodatkowo – zamiast krytą ciężarówką, mój dobytek przewieziono do Sosnowca odkrytym samochodem. Po drodze ulewy doszczętnie wszystko zmoczyły. Przez kilka dni sużyłem meble, by się wprowadzić do mieszkania po koledze, którego awansowano na dyrektora ośrodka dzieci z Korei. W tym

czasie założyłem wydawnictwo „Śląsk” w Katowicach. Pierwsza redakcja publicystyczna, jaka powstała przy Wydawnictwie Górniczo-Hutniczym nazywała się właśnie „Śląsk”. Pracowałem w niej do 1956 r. Następnie wyjechałem do Niemiec, gdzie byłem attaché kulturalnym. Wróciłem w 1959 r. Podjąłem pracę w redakcji „Poglądów” i tam doczekałem emerytury.

Do Jaworzna zaglądałem często – do rodziny. Kiedy wyszła jakaś z moich książek, zdaje się *Rozstanie i powrót*, zaproszono mnie do Sokoła w czasie Dni Książki i Prasy. Przy stoliku spędziłem pół dnia, podpisując tomiki i rozmawiając ze znajomymi. Była to jedyna okazja, kiedy zjawiłem się w Jaworznie jako pisarz. Chociaż nie. Była i druga okazja. Na spotkanie z czytelnikami Biblioteki dla Niewidomych zaprosiła mnie pani Barbara Sikora. Miałem tam wieczór autorski. Zeszli się wszyscy moi starzy znajomi, bardzo dobrzy znajomi.



Jan Pierzchała – ur. 1921 w Jaworznie – zm. 2003 w Sosnowcu. Prozaik, poeta, eseista, autor scenariuszy filmowych, słuchowisk i widowisk telewizyjnych. Autor powieści, m.in. *Dziewczyna* (1952), *Noce bez światła* (1954), *Rozstanie i powrót* (1957), *Dzień z nocą na trzy podzielony* (1964), *Krzak gorejący* (1975), *Jak krótkie lato* (1980), *Opasani ciemnością* (1983); zbiorów opowiadań, m.in.: *Antykwariat przy ulicy Barbarossy* (1962), *Przeczekaj deszcz* (1972); oraz dramatu *Czarny anioł* (1966). Wydał tomik poetycki *Wiersze* (1948). Utwory literackie, a także reportaże, artykuły publicystyczne, recenzje i przekłady zamieszczał w wielu czasopismach polskich i zagranicznych. Otrzymał m.in. Nagrodę Literacką m. Wrocławia (1949), Nagrodę ZLP za pracę *Droga w górę* (1950), Nagrodę Literacką woj. katowickiego (1962 i 1973), Nagrodę II stopnia Ministra Kultury i Sztuki w dziedzinie literatury za powieść *Krzak gorejący* (1973), Nagrodę Artystyczną Miasta Sosnowca (1998).

Życie artystyczne w Zagłębiu

Tomasz Kostro

Galeria „Extavagancja” w Sosnowcu, wernisaż fotografika Zbigniewa Podsiadło.
Zdj. archiwum Autora.



Co to takiego? Wszędzie, gdzie istnieje choćby jeden czytelnik i jedna pisząca osoba, jeden artysta i jeden odbiorca sztuki już coś się dzieje i życie artystyczne, choćby skromne, istnieje. A w Zagłębiu – jak wszędzie – i piszących w bród i czytających też, malujących, rzeźbiących, muzykujących, istnieją teatry – starszy od miasta, dramatyczny teatr w Sosnowcu, teatr lalkowy o pięknej tradycji w Będzinie, tu i tam zespoły amatorskie.

Otóż mimo wszystko, mimo licznych i niebanalnych twórców wywodzących się stąd lub tu tworzących, do tej pory Zagłębie nie doczekało się ani cyklicznej imprezy, ani artysty o randze i sławie światowej, który byłby identyfikowany jasno i jednoznacznie z Zagłębiem. Poza Janem Kiepurą... Dlaczego? Mnóżmy pytania: czy w Zagłębiu żyje i działa na tyle duża liczba znaczących twórców, by można mówić o miejscowym środowisku? Czy ci z kolei, którzy są, identyfikują się z regionem na tyle, że będą skłonni tworzyć lokalne środowisko z wszelkimi tego konsekwencjami? Czym wreszcie odróżnia się twórca „zagłębiowski” od – powiedzmy – „podlaskiego”?

Ranga regionalna W roku 2002, roku Robchodów stulecia przyznania praw miejskich Sosnowcowi, wydano piękną książkę *Zagłębie poetów*. To antologia mieszcząca utwory poetów, tak czy inaczej związanych z Zagłębiem, w zasadzie – dwudziestowiecznych. W tym miejscu wolno spytać o kryteria, jakimi autorzy antologii kierowali się dokonując wyboru. I to nie artystyczne, ale właśnie „regionalne”. Zdaje się, że zastosowano formułę możliwie najszerszą, podobnie jak w pomnikowym dziele *Pisarze i badacze literatury w Zagłębiu Dąbrowskim. Słownik Bibliograficzny*. Twórcy obu książek musieli odpowiedzieć na pytanie, kto i dlaczego ma być wzięty pod uwagę. I nie do końca konsekwentnie rzecz przeprowadzili. Czy bowiem „pisarzem zagłębiowskim” jest ten, kto tu się urodził i wychował? Czy może bardziej ten, kto tu żyje i tworzy, choć pochodzi skądinąd? A co z tym, w którego twórczości Zagłębie jest obecne, choć ani się stąd wywodzi, ani tu żyje? Nie chcę wymieniać nazwisk, ale skoro w Antologii jest miejsce dla kilku wierszy Włodzimierza Dulęby, którego związki z Zagłębiem, poza pochodzeniem, są

iluzoryczne – to dlaczego zabrakło dla Stanisława Wygodzkiego, który nie dość, że stąd pochodzi, to rodzinemu Będzinowi poświęcił wiele utworów. Jest za to obecny Władysław Broniewski. Autorzy słownika „biobibliograficznego” poszli jeszcze dalej. Tam jest miejsce dla wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób „otarli się” przynajmniej o Zagłębie.

Mówi się i pisze... Czy jednak owe setki twórców – różnej przecież rangi i charakteru – tworzyło życie artystyczne Zagłębia? Niektórzy niewątpliwie tak. Na pewno przed wojną Konstanty Ćwierk, na pewno Waław Stacherski, choć w tym samym mniej więcej czasie, to przecie na różnych poziomach. W jakimś sensie zagłębiowskie życie artystyczne tworzą uczestnicy zjazdów pisarzy, czy – jak to ostatnio się nazywa – Spotkań organizowanych konsekwentnie co pięć lat przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Sosnowcu. Była znacząca w plastyce Grupa Zagłębie. Niewątpliwie w tworzeniu życia artystycznego mają swój udział organizatorzy różnych imprez, od konkursów, jak choćby *Przeciw poetom* organizowanym przez Związek Zagłębiowski, czy szkolny konkurs o długiej już tradycji *O Laur Plateranki po Zderzenia Poetyckie*, są to jednak wydarzenia okazjonalne.

Z drugiej strony jest dość zastanawiające, dlaczego w zapowiedziach i relacjach w kulturalnych programach ogólnopolskiego radia i TV tak mało Zagłębia, zgoła wcale, podczas gdy wiele innych regionów, miast i miasteczek potrafiło się przebić z propozycjami porównywalnymi, jeśli nie skromniejszymi od naszych. Co jednak począc, jeśli odwiedza nas artysta o światowej sławie, to nazbyt często nawet lokalna prasa nie chce tego zauważyć.

Pismo artystyczne Chroniczny brak w Zagłębiu pisma literackiego z prawdziwego zdarzenia, obejmującego zasięgiem cały region (i docierającego do innych centrów kulturalnych – to bardzo ważne), godnego nazwy i rangi artystycznej, o znaczeniu kulturotwórczym jest przyczyną słabej wyrazistości miejscowego środowiska. Były – owszem – w przeszłości, a i obecnie są podejmowane, próby stworzenia takiego periodyku. Jak dotąd bez powodzenia. Przynajmniej bez widocznego sukcesu mierzonego w latach, boć przecie nie stworzy się autentycznego życia artystycznego w regionie na bazie pisemek-efemeryd, albo ograniczonych do maleńkich środowisk jednej gminy, albo wydawanych w mikroskopijnych

nakładach, albo istniejących jedynie przez kilka miesięcy. Na range i znaczenie trzeba pracować latami. A takie pismo to nie tylko możliwość publikacji, to także – a może przede wszystkim – szansa na krytykę, tę prawdziwą, twórczą, to szansa na integrację środowiska i pokazanie „na zewnątrz”. To także – poprzez spotkania – możliwość zaistnienia zjawiska nazywanego figlarnie i nieprecyzyjnie „kawiarnią literacką”. Choć trochę zorientowani w temacie wiedzą o co chodzi. Historia niejednokrotnie dawała przykłady, że „kawiarnia” często zyskiwała większe znaczenie, niż poszczególne utwory. I takie próby były podejmowane (vide: pamiętny „TOKAJ”), z różnym skutkiem i o różnym zasięgu. Być może łamy na których ten tekst się ukazuje, czyli *Nowe Zagłębie* (a w nim i *Zagłębiarka*) wypełni tę dotkliwą lukę. Oby...

Godny mecenas Jak świat światem nigdy żadna sztuka nie mogła obyć się bez mecenasa. To nie dobra wola, lecz obowiązek. Jest osobnym tematem określenie właściwej formy mecenatu, skutecznego i godnego, co pozostawiam do dalszej dyskusji. Przy okazji: wypada zwrócić uwagę na podstawową wadę mecenatu samorządowego. To dominująca tendencja do zamykania się we własnych opłotkach. A przecież książka żyje wtedy, gdy jest w obiegu czytelniczym. Obraz, gdy jest oglądany. Muzyka, gdy jest wykonywana i słuchana. Zbyt wiele, czasem całkiem ciekawych dokonań wędnie li tylko, że powstały w oparciu o lokalną dotację i nigdy im nie pozwolono pozbyć się „lokalności”. Dotowanie książek, załączających potem w urzędowych szafach i na półce autora, to zwykłe marnotrawienie środków. Są na szczęście przykłady inne. Głośna, dzięki ogólnopolskiej nagrodzie, mądra i piękna książka Małgorzaty Szejnert powstała dzięki lokalnemu wsparciu. Szkoda, że poza Zagłębiem, choć bardzo blisko. Inny przykład – skrajnie inny. Romuald Pawlak został autorem książki roku (dla dzieci) choć o Jego istnieniu i twórczości tutejsi działacze do niedawna zgoła nie wiedzieli.

Próba oceny Czas przejść do sprawy drażliwej, a mianowicie do oceny miejscowego środowiska artystycznego. Warto pochylić się nad każdym pretendującym do miana ar-

tysty, zwłaszcza nad młodym (w tym wypadku nie tyle myślę o metryce, co raczej o stażu). Czasem choćby po to, by uświadomić złą drogę. Podobnie z innymi dziedzinami sztuki. Może kiedyś ktoś zdoła się wybić i właśnie o tego chodzi. Ostatecznie nawet najwięksi też kiedyś zaczynali. Byłbym skłonny zaniechać tworzenia miejscowych hierarchii „ważności” na rzecz ogólnej atmosfery wzajemnej życzliwości, cichego i głośnego wspierania się. Oczywiście, nie da się uniknąć wartościowania, bo przecież taki jest charakter wszelkiej sztuki, ale bez przesady. Są zresztą różne gusta, a te – jak wiadomo – dyskusji nie podlegają.

Zagłębie wraz z utratą jednolitego przymysłowego charakteru utraciło wyrazistość. Nie jest już tak specyficznym regionem, jakim było w wieku XIX, choć w zamian zyskało kilka wyższych uczelni. Pozostało z minionych lat jedno: brak wyrazistego centrum. Największy w regionie Sosnowiec nie spełnia tej roli, nie jest nim Dąbrowa ani powiatowy Będzin czy Zawiercie. Nad Zagłębiem dominują... Katowice, autentyczna regionalna metropolia. I czy to się komuś podoba czy nie, dominować będzie. Tam też siłą rzeczy skupiać się będzie życie artystyczne. Są pisma, są najważniejsze instytucje kultury, jest liczne środowisko w znacznej części wywodzące się z Zagłębia. Czy z tego wynika byśmy tu dali sobie spokój? Niekoniecznie. Zagłębiowskie pismo, jako zaczyn miejscowego życia artystycznego, powinno wreszcie powstać. Może *Nowe Zagłębie* przełamie zaklęty krąg niemożności?

Naturalnymi mecenasami i, poniekąd, nakuszerami powinny być samorządy zjednoczone we wspólnej sprawie. Czy to realne? Czy może się ziścić we współczesnym kontekście uwarunkowań administracyjnych i niestety politycznych? Nie jestem w tej materii optymistą. Sztuka nie jest demokratyczna. Liczy się talent i dokonania. Tu niczego nie osiągnie się uchwalami. Musi powstać natomiast przychylny klimat, żyzna gleba i mądre wsparcie roztropnego mecenasa.

I rzecz ostatnia: integracja. Mniemam, że dziesięciolecie słusznie minionej epoki spowodowały rozbitcie środowiska na sztuczne „branże” i ich wzajemną izolację. Ostatecznie dziś, i zawsze w przeszłości, wielu wybitnych twórców uprawiało i uprawia różne dziedziny. Właśnie w Zagłębiu kilku ze znaczących artystów plastyków równie ciekawie prezentuje się w literaturze. Niech więc środowiska twórcze się integrują, niech powstanie wspólny ośrodek myśli promieniujący na region i kraj. Niech ci wszyscy, którym się powiodło i uznali za stosowne przenieść się do Warszawy, Krakowa, Londynu czy Nowego Jorku, nie zapominają o swych korzeniach, niech stale noszą w sercu i myśli rodzinne Zagłębie. A tak będzie, gdy tu odnajdą i zapamiętają życzliwe sobie środowisko ludzi twórczych, wolnych od zawiści, słowem... wielkich.

Tomasz Kostro od kilku lat prowadzi dodatek literacki (artystyczny) do sosnowieckiego „Kuriera Miejskiego”, obecnie „SOSNart”.

Galeria w Olkuszu, wernisaż prac Czesława Gałuznego i Zbigniewa Podsiadło. Zdj. archiwum Autora.



Nie miał aparycji Rafała Wojaczka. Nigdyby ktoś kręcił o nim film, w jego roli musiałby obsadzić aktora charakterystycznego, który nie przyciągnąłby do kin tłumu zakochanych nastolatków. Kazimierz Ratoń był ciężko chorym poetą, którego choroba wpędziła w alkoholizm, a ten z kolei w samotność. Być może nawet w ostatnich chwilach życia był jednym z najbardziej samotnych ludzi na świecie. Konkurs olkuski Jego imienia chyba mu to jakoś tam wynagradza.

Całkiem możliwe, że był nieco mniej utalentowanym poetą niż Wojacek, ale na pewno był poetą prawdziwym,

ta poezja przemawia do młodych ludzi, a postać autora, człowieka odrzuconego i osobnego, intryguje. Bez problemów udało się do idei konkursu przekonać kierownika Galerii Małopolskiego Biura Wystaw Artystycznych w Olkuszu, małarza Stanisława Stacha, władze miasta, powiatu, a następnie redaktor naczelny kwartalnika „Fraza” Magdalenę Rabizobirek oraz szefową wydawnictwa „Oficyzna 2” Małgorzatę Staniewicz; nie stanowiło też problemu namówienie grupy poetów i krytyków do uczestniczenia w jury konkursu.

Numer monograficzny „Poezji” poświęcony Kazimierzowi Ratoniowi

Gdy w grudniu 1982 r., ledwie w 40. roku życia umierał w piwnicy jednej z warszawskich kamienic, nawet nie mógł przypuszczać, że za ćwierć wieku znajdą się ludzie, którzy będą pamiętać o nim, tragicznym poecie, utrwalając...

Ratoń

Olgerd Dziechciarz

pamiętany

w Olkuszu

bo jak twierdzi literat Bogdan Dworak: „Ratoń nie udawał”.

Patronem obrano więc poetę, który z Olkuszem nie miał nic wspólnego, ani się tu nie urodził (pochodził z Sosnowca), ani tu nie mieszkał i całkiem możliwe, że nigdy w Olkuszu nie był. Ale nie to było ważne. Istotne było, że

wydano w 1983 r. Niemal dekadę później, w 1992 r. ukazał się w Warszawie tomik *Pieśni ocalone*, a po kolejnych ośmiu latach, w 2000 r. Jan Marx umieścił esej o Ratoni i garść jego wierszy w I tomie antologii *Legendarni i tragiczni*. W 2002 r. w warszawskim wydawnictwie „Oficyzna 2”, w opracowaniu Jana Z. Brudnickiego ukazał się starannie wydany tom *Poezje Kazimierza Ratonia*, gromadzący bodaj wszystko, co poeta napisał i co udało się odczytać z rękopisów. O Ratoni powstała również strona internetowa (<http://k.raton.webpark.pl/>).

Wciągu czterech lat wiersze nadesłane z wszelkich możliwych polskich miast, a także z zagranicy, oceniało jury w rotacyjnym składzie, co powoduje, że w kon-

kursie nie ma monotonii, a zwycięstwo daje nie tylko satysfakcję finansową, ale także prestiż, bo mimo ledwie 4 lat olkuski konkurs jest w środowisku młodej polskiej poezji traktowany poważnie. Także i dlatego, że z pierwszą nagrodą wiąże się jeszcze coś – wydanie książki poetyckiej, której patronuje rzeszowski kwartalnik „Fraza”.

Wkolejnych latach zwyciężali: w 2005 – Maciej Sawa z Przemyśla (*rok Sroki*, Olkusz 2006), w 2006 – Marcin Orliński z Warszawy, w 2007 – Krystyna Myszkiewicz ze Zgorzelca (*Na pstryk i zew*, Olkusz 2008). Tomiki doczekały się recenzji w prasie literackiej, a nagrodzeni autorzy wyjeżdżali z finału kon-



Zdj. archiwum Autora



kursu w Olkuszu z przekonaniem, że co jakiś czas serce polskiej poezji bije nie tylko w Warszawie, Krakowie czy Wrocławiu, ale także w tym małym mieście bez większych tradycji literackich.

Interесujaco było i w tym roku, 7 listopada, w piątkowy wieczór, gdy w Galerii BWA, wśród postindustrialnych obrazów Barbary Kasperczyk, odbył się IV finał konkursu im. K. Ratonia. Po uważnej lekturze 100 zestawów poetyckich jury w składzie: Wojciech Bonowicz, Karol Maliszewski, Janusz Pasterski, postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia: I nagroda, 900 zł i wydanie tomu wierszy – Izabela Kawczyńska z Łodzi, II nagroda, 600 zł – Michał Nowak z Warszawy, III nagroda, 400 zł – Czesław Markiewicz z Zielonej Góry. Wyróżnienia (po 250 zł): Marzena Orczyk z Dąbrowy Górniczej, Marek Radecki z Jasienicy i Arkadiusz Stosur z Krakowa.

Może nie wszyscy, ale wielu z uczestników piątkowego wieczoru, czuło obecność dobrego ducha patrona konkursu.

Jedyna taka w regionie

Galeria Sztuki Współczesnej

ELEKTROWNIA

Wiesława Konopelska



Zdł. archiwum galerii

Elektrownia jest jednym z niewielu obiektów – świadków „złotego wieku” kopalni „Saturn”, o znakomitej architekturze z początku XX wieku oraz zachowanych w świetnym stanie oryginalnych maszynach i innych urządzeniach. To niezwykle atrakcyjne miejsce, o sporej kubaturze i intrygujących rozwiązaniach konstrukcyjnych, które wygląda tak, jakby dopiero przed chwilą stanęły maszyny. Ogromne koło zamachowe o imieniu... „Wanda” z wybitą datą „1903”, potężne ogniwa łańcucha uczonego kroczącej wzdłuż ścian suwnicy, pulpit sterowniczy z połyskującymi zegarami, gigantyczne urządzenia wytwarzające prąd.

Galeria działa od września 2005 roku i gościła już wiele ekspozycji: archiwalnych wielkoformatowych fotografii, fotografii artystycznej, malarstwa i grafiki. Stała się miejscem odwiedzanym przez fotografów i filmowców poszukujących niebanalnych wnętrzy. Jest też celem wędrówek miłośników zabytków techniki.

Galeria powstała z inicjatywy czeladzkiego Stowarzyszenia Inicjatyw Kulturalnych. We wnętrzu widnieją portrety właścicieli „Saturna” i głównych udziałowców zarządzającego licznymi dobrami górniczymi w Zagłębiu Towarzystwa Górniczo-Przemysłowego „Saturn”.

Od początku działalności odwiedziło ją kilka tysięcy osób. Planowane są

wydarzenia parateatralne i multimedialne oraz działania muzyczne. Odbывают się tu różnorodne imprezy promocyjne i spotkania organizowane wspólnie z miastem. Wysoki poziom wydarzeń artystycznych

jest możliwy dzięki nawiązaniu przez Stowarzyszenie Inicjatyw Kulturalnych współpracy z Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach, Okręgiem Katowickim Związku Polskich Artystów Plastyków, Instytutem Sztuki Uniwersytetu Śląskiego oraz Oddziałem Śląskim Związku Polskich Artystów Fotografików. W galerii gościły prace artystów niemieckiego związku plastyków. Galeria współpracuje ze Śląskim Teatrem Tańca, co zaowocowało prezentacją egzotycznych zespołów tanecznych i bębniarzy z Sudanu i Senegalii podczas Międzynarodowej Konferencji Tańca Współczesnego. O prestiżu tego miejsca świadczy również fakt, iż najnowsza wystawa, którą można tam zobaczyć, jest ekspozycja zatytułowana



„Zamknięte – otwarte”, na której dzieła prezentuje 7 znakomitych artystów rzeźbiarzy związanych ze Śląskiem, a gościem specjalnym wystawy jest wybitny rzeźbiarz prof. Bronisław Chmura. Z kolei w kalendarzu tegorocznych zdarzeń już zapisano jedną z trzech ekspozycji Triennale Grafiki Polskiej odbywającego się w ramach krakowskiego Międzynarodowego Triennale Grafiki.

Galerię, podobnie jak cały pokopalniany kompleks, czeka wielki remont mający na celu przeobrażenie tego niezwykle go miejsca na mapie Czeladzi i Zagłębia w atrakcyjny zespół nie tylko dla miłośników sztuki, ale także nauki, turystyki i rekreacji. (Więcej na www.galeria-elektrownia.pl).

Rzeźba doskonała

czyli o fotografii Wacława Wantucha

Małgorzata Stępień

Niedawno w Galerii ExtRavagancE (Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki) odbyła się wystawa fotografii Wacława Wantucha „Akt”. Artysta na co dzień zajmuje się fotografią studyjną, mimo że ukończył wydział rzeźby krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Jego dorobek tworzą dwa wspaniałe albumy poświęcone gloryfikacji kobiecego ciała: „Akt” i „Akt 2”. Prace Wacława Wantucha podziwiać można obecnie na jego stronie internetowej <http://www.waclawwantuch.com/>

Obecna kultura jest kulturą ciała. Żyjemy w czasach, w których „rządzi golizna”. Na szczęście są jeszcze tacy, którzy odczuwają jej przesyt. Na szczęście są zdjęcia inaczej mówiące o ciele i nagości. To właśnie prace Wacława Wantucha. Jego fotografia jest niekomercyjnym podejściem do kobiecego ciała. Zdjęcia artysty udowadniają, że fotografia kobiecego aktu może być jednocześnie zmysłowa i nie erotyczna. To wspaniała kreacja artystyczna bez odzierania z kobiecości. Esencję estetyki tworzą tu trzy elementy: wyobraźnia artysty, ciało modelki i światło. Złożenie tych elementów pięknie wpisuje się w słowa starego łacińskiego powiedzenia „Omne trinum perfectum”, czyli „Wszystko, co złożone z trzech, jest doskonałe”. Dobre akty przy użyciu minimum środków to nie lada sztuka.

Niewątpliwie nauka w Liceum Plastycznym, a także studia na Akademii Sztuk Pięknych miały ogromny wpływ na postrzeganie ciała jako złożonej bryły. Zdjęcia ukazują zarówno kunszt pracy, jak i profesjonalizm artysty. Jest to przede wszystkim czarno-biały akt kobiecy. To studium światła i cienia połączone z doskonałą formą tworzoną przez kobiece ciało. Specyfiką prac Wantucha jest miękki światłocieniony modelunek, ale też i mocne kontrasty. Na zdjęciach pojawia się półmrok kryjący intymność modelek, powstaje



Zdjęcie rodzi się w głowie, nie w aparacie – to dzięki wyobraźni artysty oraz umiejętności i cierpliwości modelek powstają tak zaskakujące formy, czasem jakby odrealnione. Czystą formę ujęcia wzmacnia brak draperii i rekwizytów w kompozycji. Artysta intryguje widza, wydobywając detale ciała kobiety, takie jak: stopy, pierś, sutek, oko czy usta. Ciało modelki jest dla niego tworzywem, materiałem kreacji artystycznej, z którego formuje nietypową rzeźbę. Piękno kobiecego ciała to jedyna inspiracja do tworzenia, ważny jest sposób przedstawiania, a nie ciało

idealne. Na fotografiach artysty pojawiają się kobiety o różnej budowie ciała, od anorektycznie chudej aż po „rubensowskie gracje”. Najważniejsze dla artysty są możliwości modelki i umiejętność odpowiedniego wygięcia ciała, dlatego większość z nich to zawodowe tancerki. Plastyczność ciała modelki sprawia, że kreowane pozy i ujęcia łączą w sobie niesamowitą geometrię, zachowując przy tym zmysłowość, jednak tajemnica estetyki zdjęć Wacława Wantucha tkwi przede wszystkim w jego ogromnym szacunku do kobiet.

nastrój tajemniczy i niedopowiedzenia. Wantuch buduje światłem, „bawi się” formą, przekształca biologiczne ciało kobiety w byt abstrakcyjny. Ciała modelek przybierają wyszukane kształty, tworząc „żywe rzeźby”.



Jest... Mają tu siedzibę wszyscy liczący się w świecie przewoźnicy – kurierzy, czyli tzw. cargo, a ci dopiero mają świetne rozeznanie w najlepszych lokalizacjach dla własnych placówek. Tę bardzo sobie cenią. Lotnisko stale się modernizuje: niedawno otrzymało system ILS, tzn. instalację nawigacyjną umożliwiającą lądowanie statków powietrznych w ekstremalnych warunkach. Od kilku też lat działa radar zbliżeniowy najnowszej generacji. Pozostała tylko instalacja nowych świateł podejścia. Kolejnym i niezbędnym etapem rozbudowy lotniska stanie się położenie drugiego pasa startowego z niezbędnymi łącznikami i drogami kołowania oraz budowa płyty postojowej dla kilkunastu samolotów. Obecnie – w ciągu godziny może tu wylądować 10 maszyn, po przebudowie – nawet dwa razy tyle! Budowa terminala „C” to dalsze plany.

Było... U początków śląskiej awiacji legła aerodrom Katowice-Muchowiec, dzisiejsza siedziba Aeroklubu Śląskiego. Otóż w 1926 roku, z inicjatywy prezesa Dyrekcji Kolei Państwowych (tak, tak!) oraz tutejszej LOPP powołano Śląskie Towarzystwo Lotnicze. Na Muchowcu wydzierżawiono od Katowickiej Spółki Akcyjnej dla Górnictwa i Hutnictwa obszar 56 ha z zastrzeżeniem, że eksploatacja węgla pod terenem przyszłego lotniska będzie możliwa dopiero po 1950 roku. I to ABSOLUTNIE nie na

Pyrzowice stają się lotniskiem obsługującym nie tylko całą Polskę południową i centralną, ale też pobliskie rejony Republiki Czeskiej i Słowacji. Czy mają szansę, aby zostać głównym portem lotniczym kraju? To pytanie nikogo już nie bulwersuje w przeciwieństwie do sprawy nadania lotnisku odpowiedniej nazwy? Wywołała „burzę w szklance wody”. Faktem jest, że obecnie używana – Katowice Airport to nazwa handlowa, od lat wpisana we wszelkie rejestry jako KTW. Nikt i nic tego nie zmienia, a kwestia nazwy „honorowej” (w tym przypadku np. im. Jana Kiepury), jest rzeczą całkowicie wtórną. No bo kto z nas, na dobrą sprawę, pamięta choćby tylko kilku z patronów polskich lotnisk?



NASZE lotnisko

Jerzy Przygoda

zawał! Wkrótce powstały istniejące do dziś budynki katowickiej Cywilnej Stacji Lotniczej. Historia ŚTL kończy się jednak wraz z powstaniem PLL LOT w styczniu 1929 roku.

ZMuchowca do początków wojny latało m.in. do Warszawy, Brna, Wiednia, a także... Krakowa. Teren dzisiejszego airportu pomiędzy Zendkiem a Pyrzowicami pojawia się w 1938 roku, kiedy został wytypowany na tzw. wojenne lotnisko zapasowe. Jego dalsze losy zapisał jednak hitlerowski okupant, który wysiedlił mieszkańców okolicznych wiosek, osuszył bagienny grunt przy pomocy warstw końskiego łajna i ziemi, następnie całość pokrył ukraińskim czarnoziemem i... Ale oto co na ten temat pisze znawca zagadnienia, red. Cezary Orzech (dziennikarz Radia Katowice, a jednocześnie rzecznik prasowy GTL SA): „W 1940 roku dowództwo Luftwaffe postanowiło zrealizować program rozwoju sieci lotnisk wojskowych. Konsekwencją tego

było wybudowanie dwóch lotnisk na ziemiach polskich, obiektów położonych w niewielkiej odległości od dotychczas używanych. Były to jednostki w Rudnikach na północ od Częstochowy oraz Zendek położony 30 km na zachód od Zawiercia i 16 km na północ od Będzina. [...] Lotnisko w Zendku dysponowało bardzo szerokim pasem startowym. Nawierzchnia pasa wykonana została z bazalto-asfaltu i leżała na kierunku E-W. Lotnisko przeznaczone było dla jednostek obrony przeciwlotniczej górnosląskiego okręgu przemysłowego. Spełniało dwie funkcje: było lotniskiem zapasowym a także etapowym w lotach z Rzeszy na front wschodni i z powrotem. Plany z tym właśnie lotniskiem wiązał konstruktor niemiecki H. G. Moeller, zarządzający jednym z zakładów przemysłowych w Zawierciu. Lotnisko zostało nazwane Udetfeld po tragicznej śmierci wybitnej postaci niemieckiego lotnictwa – Ernsta Udet.

Na początku 1944 roku zaplecze techniczne lotniska zostało wyposażone w urządzenia obsługujące samoloty z napędem rakietowym Me 163 Komet. Latem tego samego roku utworzono tam ośrodek szkolny wydzielony z Erpobungskommando 16 (16. Oddział Doświadczalny) w Bransik koło Lipska. Początkowo jednostka w Mierzęcicach znana była jako Erganzugstaffel JG 400, czyli jako dodatkowy oddział pułku myśliwskiego 400. Dowódcą pułku był wówczas kapitan Robert Olejnik. We wrześniu 1944 roku sformowano tam ostatecznie eskadry 13. i 14. oraz załazek 15. Dowódcą 13. eskadry był porucznik Adolf Niemeyer a 14. porucznik Mano Ziegler.

Uczniami byli młodzi chłopcy po przeszkoleniu w pilotażu na szybowcu SG 38. Grunau Baby i DSF Karnich za wyciągarką na holu oraz szkoleniu



w ośrodku specjalistycznym znajdującym się w Gelnhausen. [...] Szkolenie w eskadrach 13. i 14. polegało na wykonaniu kilku lotów na Me 163A w wersji szybowcowej, z balastem, bez silnika, holowanym na wysokość wyczepienia

Me 163 i Me 262, jak również przystosowano jeden z Me 163A-0 do uzbrojenia w pociski rakietowe. Polegało to na tym, że pod każdym skrzydłem zainstalowano 12 wyrzutni szynowych dla niekierowanych pocisków rakietowych typu R-IVM kaliber 55 mm

do Brandis koło Lipska, gdzie zastała ją ka-



Me 163B Komet ze zbiorów Berlńskiego Muzeum Lotnictwa
Zdj. Wikipedia

przez Bf 100C. Następnie wykonywano kolejne loty szkolne na 163A-0 z pracującym silnikiem.

Kolejne loty to już bojowe 163B, początkowo ślizgowe z pustym zbiornikiem, a następnie ze zbiornikiem wypełnionym wodnym balastem, by zakończyć na ostrych startach z pracującym silnikiem. W ten sposób każda eskadra mogła w przeciągu miesiąca wyszkolić około 90 pilotów. Program został jednak skrócony w momencie, kiedy zaczęło brakować paliwa rakietowego. Wtedy młodego ucznia od razu umieszczano w ciężkim 163B z wodą w zbiorniku. W tym samym czasie na Udetfeld realizowano również niektóre tematy programu rozwoju techniki lotniczej. Wypróbowano tam nowy typ celownika przewidziany do zainstalowania na

klasy powietrze – powietrze. Taka konstrukcja na pewno wpływała na opływ skrzydeł, jednak nie miało to bezpośrednich konsekwencji związanych z zachowaniem się samolotu w locie. Właśnie takie próby przeprowadzono w Mierzęcicach jesienią 1944 roku.

Testowany na Udetfeld Me 163A-0 był pierwszym na świecie myśliwcem o napędzie rakietowym i uzbrojonym w pociski rakietowe. Kilka miesięcy po tych testach w taką samą broń wyposażono 12 myśliwców typu Me 163B, jednak nie odegrały one znaczącej roli w walkach powietrznych. W obliczu zbliżającego się ze wschodu frontu, pod koniec grudnia 1944 eskadry zostały ewakuowane do Szprotawy, a następnie

pitulacja. Kiedy w styczniu 1945 roku Niemcy opuszczali lotnisko, zniszczyli instalacje lotnicze w Zendku-Mierzęcicach. Wszystkie urządzenia zmieciono w pył.

Wkrótce po wyzwoleniu (i aż do 1951 roku!) wprowadzają się tutaj lotnicy rosyjscy, a po nich 39 Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. I w tym momencie przecinają się losy obu śląsko-zagłębiowskich aerodromów, bowiem wskutek eksploatacji pokładów węgla pod płytą lotniska Muchowiec zostaje zamknięty dla regularnego ruchu lotniczego i przez długich osiem lat Śląsk pozbawiono



Zdj. Robert Pasek

komunikacji lotniczej aż do 1966 roku, kiedy to wykorzystując instalacje i obsługę lotniska wojskowego w Mierzęcicach wystartował stąd w inauguracyjny rejs do Warszawy samolot w barwach PLL LOT. Wkrótce powstały pierwsze obiekty lotniska cywilnego – ulokowanego (w odróżnieniu od wojskowego) w Pyrzowicach. Obydwa lotniska obsługiwał jednak personel wojskowy przeszkolony doraźnie w procedurach lotnictwa cywilnego. W latach siedemdziesiątych latano stąd przede wszystkim do Warszawy, ale również sezonowo – do Gdańska, Koszalina i Poznania. Odbływały się również czartery do czarnomorskich kurortów w Bułgarii.

Postępujący od połowy lat siedemdziesiątych wzrost cen biletów, pogarszająca się sytuacja gospodarcza kraju oraz częste porwania samolotów (od 1970 do 1982 roku doszło do 10 porwań tylko



z Katowic, w tym dwóch udanych) osłabiły zainteresowanie kolejnych rządów nie tylko do rozwoju krajowej infrastruktury lotniczej, ale nawet do jej utrzymywania w tak skromnym nawet zakresie. Kompletna zapaść śląskiego aeroportu, a nawet próby całkowitej jego likwidacji nastąpiły – co paradoksalne – w momencie przełomu ustrojowego, wskutek czego w październiku 1990 roku odleciał stąd ostatni samolot rejsowy do Warszawy. Jednak społeczeństwo województwa i jego władze oraz środowiska gospodarcze podjęły radykalne działania na rzecz zmiany tego stanu. Powiodło się to i 6 marca 1991 roku powstało Górnośląskie Towarzystwo Lotnicze S.A. zawiadujące do dzisiaj lotniskiem KATOWICE AIRPORT.

Jutro? Podstawową bolączką lądowiska jest problem wewnętrzregionalnej komunikacji, a konkretnie połączenia

szybką koleją z Katowicami i innymi miastami okolicznymi. Jak nam powiedział prezes zarządu GTL SA Artur Tomasiak, problem trudny do przezwyciężenia przez PKP na najkrótszej z możliwych tras, a mianowicie przez Michałkowice, bowiem teren górniczo zdewastowany i jego umocnienie kosztowałoby zbyt dużo. Rozważane są inne trasy dojazdu – łatwiejsze do zrealizowania: od Tarnowskich Gór czy też Zawiercia. W tym ostatnim przypadku jest to o tyle uzasadnione, że na tym odcinku zachowały się tory kolejowe, po których do dzisiaj kursują pociągi dowożące paliwo na lotnisko i do bazy paliwowej. Tą trasą mogłyby też jeździć szynobusy z Katowic, umożliwiając skomunikowanie z lotniskiem pasażerom nadciągającym od strony Kielc i Warszawy. Okazuje się jednak, że największe szanse ma trasa via Bytom – Tarnowskie Góry...

Zdj. Leszek Niedbał



Tereny Wyżyny (Jury) Krakowsko-Częstochowskiej od lat przyciągają amatorów krajoznawczych wycieczek, miłośników skałkowych wspinaczek, cyklistów turystycznych i górskich, lotniarzy, speleologów, a ostatnimi czasy amatorów mocniejszych wrażeń na ryczących quadach i skuterach śnieżnych. Nic dziwnego, bo to jeden z najbardziej malowniczych zakątków Polski o wspaniałych możliwościach krajobrazowych i rekreacyjnych. Region – trudno powiedzieć, że nietknięty palcem komercji, ale jeszcze niepotrafiący zaspokoić potrzeby szybko rosnącej rzeszy odwiedzających. Na szczęście budzi coraz większe zainteresowanie potencjalnych inwestorów

Przerobić Jurę na złotówki

Jurajska Organizacja Turystyczna. Razem z Polską i Regionalną Organizacją Turystyczną współuczestniczy w budowaniu promocji tego urokliwego obszaru za pomocą m.in. stoisk regionalnych na imprezach targowych oraz imprez studyjnych dla touroperatorów. Warto odnotować, że na największych w kraju targach turystycznych „Tour Salon 2008” w Poznaniu stoisko województwa śląskiego, przygotowane przez Śląską Organizację Turystyczną uhonorowano prestiżową nagrodą „ACANTHUS AU-REUS”, jako najbardziej przyjazne strategii marketingowej regionu. Wspólny udział w targach wykazał, że Jura zaczyna być modna. Stąd wnioski o połączeniu wysiłków w jednolitym konsorcjum, w którym animatorzy turystyki, podmioty gospodarcze, turystyczne i sportowo-rekreacyjne, a także przedstawiciele samorządów lokalnych oraz organizacji społecznych znajdą wspólne pole działania. To również potrzeba określenia i stworzenia, a później i konsekwentnego rozwoju produktu turystycznego, zogniskowanego wokół lokalnych atrakcji. Korzystne położenie powiatu zawierciańskiego, atrakcyjne tereny turystyczno-rekreacyjne, liczne zabytki historyczne i krajoobrazowo-przyrodnicze

oraz duże zalesienie tworzą doskonałe warunki do wypoczynku i atrakcyjne możliwości zwolennikom turystyki pieszej, rowerowej, wspinaczki, speleologii, baloniarstwa, jeździectwa czy narciarstwa. Służy temu wytyczanie nowych tras rowerowych i pieszych, rozbudowa małej infrastruktury turystycznej i noclegowej oraz agroturystyki.

Jurajski pejzaż sprzyja sportom jeździeckim, jak też rajdom ekstremalnym oraz biegom na orientację. Atrakcyjność wyżyny nie maleje także w sezonie zimowym. Z powodzeniem można uprawiać narciarstwo biegowe, śladowe czy zjazdowe.

JOT wpisuje się w te działania poprzez wydawanie różnego rodzaju przewodników i map, organizując środowiskowe spotkania studialne, nie zapominając przy tym o lokalnych tradycjach. Współczesny turysta ma jednak spore wymagania, poparte często zasobnym portfelem. Konieczne są więc istotne nakłady inwestycyjne. Transformacja ekonomiczna spowodowała, że branża turystyczna stała się na tyle dochodowa, by zapewnić godziwe utrzymanie. Jest także jedną z form przeciwdziałania bezrobociu. Osoby zarabiające w sektorze agroturystycznym odprowadzają podatki pośrednie do gmin – każdy na tym korzysta.

Można zaobserwować dynamiczny, choć nierównomierny rozwój sieci gastronomiczno-noclegowej – najszybszy w tych miejscowościach, gdzie powstały ośrodki wielokubaturowe, czyli w Kroczycach, Ogrodzieńcu i Włodowicach. Żarnowiec, Pilica, Szczekociny czy Irządze dopiero w to wkraczają. Trzeba jednak podkreślić, że Jurajska Organizacja Turystyczna nie jest ordynnikiem turystyki masowej. Optuje za sprawnie

Przemysław Pieniążek

funkcjonującym systemem turystyki hobbystycznej.

Leszek Łazarowicz (prezes JOT) wyjaśnia: – Z całą pewnością należy opracować spójnie działający system logistyczny. Z siecią transportu po Jurze nie jest najlepiej, szczególnie w okresie wakacyjnym.

Ruiny zamku w Ogrodzieńcu



Zdjęcia na tej stronie: JSPC, Kosin

Ruiny zamku w Smoleniu



Problemem nie są drogi dojazdowe do miejsc atrakcyjnych turystycznie, lecz powszechny brak bezpiecznych miejsc parkingowych. Należy także poprawić komunikację masową oraz spowodować, aby zawierciański dworzec stał się przyjazny turyście. Przecież teraz nie ma tu miejsca na spokojne i bezpieczne oczekiwanie. Kluczowym też zagadnieniem jest ułatwienie dostępu do komunikacji niepełnosprawnym.

Oczywiście narosłych problemów nie rozwiążą od razu ani Jurajska Organizacja Turystyczna, ani lokalne samorządy, ani prywatni inwestorzy. Do tego należy namawiać wszelkich możliwych sprzymierzeńców. Najważniejsze, aby te działania były planowe – w ramach strategii rozwoju regionu. Jura jest naszym naturalnym bogactwem, które musimy w odpowiedni sposób wykorzystać.

Gmina najważniejsza!

Eugeniusz Kapuśniak, wójt gminy Żarnowiec, w rozmowie z Łukaszem Konarskim

Łukasz Konarski: Jest Pan jednym z najdłużej urzędujących włodarzy w historii RP. Jak się zaczęła przygoda z samorządem?

Eugeniusz Kapuśniak: 28 lat temu postanowiłem wrócić w rodzinne strony i wybudować dom. Dopiero co wróciłem z kontraktu i dowiedziałem się o wakacie na stanowisku naczelnika Żarnowca. Po przełomie w 1989 r., kiedy były pierwsze wolne wybory, zostałem wybrany do Rady Gminy, a następnie – wójtem. I tak jest nadal...

Czy mając takie poparcie lokalnej społeczności oraz takie doświadczenie samorządowe nie myślał Pan o zaangażowaniu się na innym szczeblu – sejm, senat?

Miałem propozycję startu praktycznie w każdych wyborach – do sejmiku, senatu, sejmiku województwa. Otrzymywałem również propozycje urzędnicze. Odmawiałem, ponieważ najważniejsze jest dla mnie środowisko, w którym się wychowałem i dla którego pracuję. Warto też wiedzieć, że więzy rodzinne, szczególnie w okresie powojennym, silnie związały mieszkańców z Zagłębiem, ale przyglądając się sąsiednim województwom, zastanawiamy się, czy tam nie byłoby nam łatwiej. Ze szczególną żądzą obserwujemy województwo świętokrzyskie, w którym inwestycje – zwłaszcza dotyczące infrastruktury, są bardzo widoczne.

W tym roku powiaty obchodzą 10-lecie. Jak Pan z perspektywy gminy ocenia ten okres?

Nikt nie lubi, jak odbiera mu się część kompetencji i tak naprawdę oddala się to, co było blisko. Dla mieszkańców mojej gminy jest to bardzo dosłowne – żeby załatwić sprawę, muszą jechać 40 km do Starostwa w Zawierciu. Druga kwestia to infrastruktura, dzisiaj rozbija

na gminną i powiatową. A mieszkańcy? Dla nich jest bez znaczenia, czy droga jest gminna, powiatowa, czy wojewódzka. Chcą, żeby była porządna. Ponadto połowiczna reforma samorządowa stworzyła kolejny szczebel administracji, nie dając żadnych pieniędzy. Jej za-



łożenia okazały się wadliwe. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Jaka jest sytuacja ekonomiczna i społeczna w gminie?

Sytuacja społeczna wynika tak naprawdę z ekonomicznej. Żarnowiec jest gminą rolniczą, a wiadomo, rolnik lubi narzekać, jest wyczulony na to, co będzie się działo w przyszłym roku, jaki będzie urodzaj i jakie będą ceny, bo od tego zależy utrzymanie rodziny. Patrzy z niedowierzaniem na deklaracje władzy, ponieważ jej obietnice zbyt często się nie spełniają, jak lansowane na początku transformacji hasło: „małe jest piękne”. Dziś to małe albo upadło, albo zostało przejęte. Również w zeszłym roku poprzez działania korporacji ceny

zboża i płodów rolnych były niższe o 40% w porównaniu do 2007, co wyraźnie jest odczuwane przez mieszkańców mojej gminy. Ale mieszkańcy są zaangażowani w życie gminy. Prężnie działa dom kultury, Zespół Pieśni i Tańca Żarnowiaczy, sekcje gry na instrumentach muzycznych, tańca. Na terenie gminy działają dwa koła gospodyń wiejskich, biblioteka publiczna z dwoma filiami, świetlica środowiskowa i świetlice wiejskie, trzy orkiestry dęte i Ochotniczej Straży Pożarnej. Przez te wszystkie moje lata w gminie została zbudowana infrastruktura – nazwałbym ją – cywilizacyjna. Szczególnie żał jednak braku znaczących inwestorów, jakich nie udało mi się ściągnąć. Niestety, Żarnowiec nie leży przy żadnym znaczącym szlaku komunikacyjnym. Także pod względem infrastruktury jesteśmy skazani na siebie. Problemem jest jakkolwiek inwestycja na drogach powiatowych, a takich dróg jest u nas 106,5 km z 250 km sieci w gminie.

Jakie widzi Pan perspektywy i co chciałby jeszcze zrobić?

Perspektywy są dobre. Gmina ma charakter rolniczy i to może pomóc ją odkryć, podkreślić istotne walory wypoczynkowe i turystyczne. Na pewno niewielu czytelników wie, że w gminie Żarnowiec średnie zaludnienie wynosi 39 osób na km², przy średnio 123 osobach na km² w skali kraju. Można tu dobrze wypocząć, z dala od zgiełku, w miejscach czystych, o nieskażonym środowisku. Posiadamy przeszło 40 km ścieżek rowerowych biegnących wzdłuż rzek i lasów. Da się tutaj jeszcze zakupić działki. Chcę

nadto utworzyć porządne przedszkole gminne, poprawić stan dróg powiatowych na terenie gminy, utworzyć centra sołeckie, tzw. centra wsi, Izby Pamięci Regionalnej, zbudować oczyszczalnię ścieków i kanalizację oraz zbiornik retencyjny.

Co, z racji imponującego doświadczenia chciałby Pan przekazać młodym samorządowcom?

Trzeba lubić ludzi i ich słuchać, rozmawiać, pytać, wyciągać wnioski, a potem decydować i konsekwentnie realizować cele. Na pewno wiele osób, szczególnie notorycznie niezadowolonych, będzie przeszkadzało, ale z biegiem czasu przekonają się do słuszności tych działań.

Rok 2008 był ważnym rokiem dla niewielkiego, prawie 10-tysięcznego miasta leżącego nad Czarną Przemszą. Poręba, bo o niej mowa, świętowała 35-lecie. A tutejsza Fabryka Urządzeń Mechanicznych, która stała się, bez względu na historycznie i gospodarczo trudne chwile, niemalże ikoną miasta, obchodziła 210. rocznicę powstania

Poręba jest miastem nowym, ale o historycznych korzeniach. Pierwsza wzmianka pochodzi z 1373 roku jako o osadzie Czarna Poręba i wywodzi się od lasu wyrąbanego wokół Czarnego Jeziora. Od 1375 roku była własnością wywodzącego się z Moraw Krzywosąda (lub Krzywonośa). W XV w. należała do Pileckich, po czym przeszła we władanie kasztelana oświęcimskiego Wojciecha Padniewskiego, a później księcia Jana Zbarskiego. Na przełomie XV i XVI w. nastąpił największy rozkwit Poręby. Należała ona wówczas do fary w Ciągowicach i jako jedna z pierwszych została założona na prawie magdeburskim. Kolejnym właścicielem był senator Rzeczypospolitej, kasztelan krakowski Stanisław Warszky. Jednym z ostatnich posiadaczy wsi nad Czarną Przemszą przed rozbiorem był marszałek koronny, starosta sokolnicki hr. Łukasz Bniński. Do 1795 roku pozostawała w granicach Rzeczypospolitej. Po trzecim rozbiore została, wraz z innymi ziemiami, zagarnięta przez Prusy i stała się częścią powiatu pilickiego, obejmującego 62 wsie. W latach 1815–1914. miasteczko leżało

Wielka historia niewielkiego miasta

Małgorzata Matera

na ziemiach Królestwa Polskiego, czyli w zaborze rosyjskim. Gdy w sierpniu 1915 roku Niemcy i Austro-Węgry podzieliły Królestwo Polskie na dwie strefy okupacyjne, Poręba przypadła austriakom. Na jej terenie mieściły się wówczas, między innymi, koszary, kasyno i kuchnia wojsk austro-węgierskich.

Po odzyskaniu niepodległości miejscowość nad Czarną Przemszą ponownie zlokalizowano w powiecie będzińskim. a od 1 stycznia 1927 roku w nowym powiecie zawierciańskim. Po klęsce wrześniowej miasto zostało przydzielone rejencji opolskiej i wcielone do III Rzeszy. Niespełna dwa lata po zakończeniu II wojny, 1 stycznia 1947 roku, do Zawiercia włączono gromadę Nowe Zawiercie, dotychczas podlegającą Porębie, a 1 stycznia 1957 roku utworzono osiedle Poręba wraz ze wsiami: Kierszula, Dziechciarze, Krzemienia, Nowa Wieś, Turkowa Góra, Poręba, Zastawie, Kolonia, Niwki.

WPorębie powstał najstarszy w regionie zakład przemysłowy – Fabryka Urządzeń Mechanicznych „Poręba” o ponad 210-letniej historii.

Oddanie w 1798 r. do użytku pieca i wiozy wyciągowej stanowiło oficjalny początek obecnej Fabryki. Był to największy obiekt tego typu w Polsce. Wioska, zamieszkała dotąd przez smolarzy, kuźników, drobnych rzemieślników i kurzaczy węgla drzewnego zaczęła zmieniać się w osadę przemysłową. Przed piecem znajdowała się hala odlewnicza. Rocznie wytwarzano do 600 ton surówki przeznaczonej przeważnie na odlewy. O porębskim piecu wspominał w 1815 roku Stanisław Staszic, który był tu osobiście. Podkreślał z niekrytym uznaniem jego walory, zwracał uwagę na wyjątkowo dogodną pozycję ze względu na bliskość surowca.

Historia gminy i fabryki pozostawiła cenne materialne ślady. Najważniejszym zabytkiem jest wspomniany budynek wielkiej wyciągowej do transportu wsadu wielkopiecowego. Część murów pieca, wraz

z datą budowy odlaną z żeliwa wytopionego z pierwszej odlewni, przetrwała do dzisiaj. Ważnym zabytkiem, nie pozwalającym zapomnieć o świetności fabryki, była hala starego zakładu z 1898 r., która – niestety – spłonęła 2 czerwca 2008 roku.



dj. Autorka artykułu

Wart uwagi jest także pałacyk z przełomu XVIII i XIX wieku, w którym obecnie mieści się poczta oraz pałacyk z początku XX wieku, będący siedzibą Urzędu Miasta (z tego okresu pochodzi także kościół p.w. Ducha Świętego, budynek plebani oraz stara część szkoły podstawowej). Na wyróżnienie zasługują pełne uroku kapliczki przydrożne, a także budynki zwane: „Koszarami”, „Szkłarnią” i „Czerwoną Kamienicą”.

Źródło wiadomości historycznych: *Fabryka Urządzeń Mechanicznych „Poręba”. Historia i współczesność 1798–1998*, opr. K. Kościelniakowski. Poręba 1998.



Sukcesy i gorzkie pigułki

Z wójtem Gminy Psary
Marianem Kozielem rozmawia Dariusz Margiel

Jak Pan ocenia rok poprzedni?

Miniony rok był wyjątkowy ze względu na XXXV-lecie Gminy. W ramach jubileuszu odbyło się wiele imprez społecznych i kulturalnych. Nowe przedsięwzięcia na stałe wpisały się w kalendarz wydarzeń kulturalnych i cieszyły olbrzymim zainteresowaniem mieszkańców. Temat przyjemny, ale były też poważne problemy...

Tak to prawda. Szczególnie gorzką pigułką była kanalizacja – niestety koszt 31 milionów złotych okazał się za duży dla gminnego budżetu. Wyjątkową sytuacją było gradobicie, jakie nawiedziło sołectwa 15 sierpnia zeszłego roku. Wielu mieszkańców poniosło straty dotyczące głównie pokryć dachowych w budynkach mieszkalnych i gospodarczych. Uczestniczyłem osobiście w wizjach lokalnych i wspomnienie to będzie mi długo towarzyszyć. Nieoczekiwany kryzys wyeliminował też w listopadzie ubiegłego roku, wraz ze zmianą rozkładów jazdy i tras autobusowych, bo zmiany wprowadzone przez KZK GOP utrudniają komunikację mieszkańcom gminy. Problemem jest także brak chodników przy DW 913, chociaż w tej sprawie jest nadzieja, ponieważ zakończono procedurę przetargową, więc inwestycja rozpocznie się prawdopodobnie wiosną. Chcemy też ustawić ekrany dźwiękochłonne przy DK 86 w Sarnowie.

A jakie są plusy?

Trudno wymienić wszystkie dokonania Urzędu Gminy i jednostek organizacyjnych. Sukcesem było uruchomienie przy OPS Centrum Kształcenia – „Wioski Internetowej” współfinansowanej ze środków Unii Europejskiej w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. W zeszłym roku w naszej gminie odbyły się zawody europejskiej czołówki psów myśliwskich, tzw. Międzynarodowe Field Trialsy. To wspaniała promocja gminy. Inną imprezą od pięciu lat promującą gminę były V Kolarskie Mistrzo-



Zdj. Robert Pasek

stwa w Gminie Psary, realizowane przez Uczniowski Klub Sportowy Gimnazjum przy wsparciu Stowarzyszenia „RAZEM” na rzecz Gminy Psary.

Udało się zrealizować zamierzone inwestycje?

Jedną z najważniejszych była rozbudowa i remont Przedszkola Publicznego w Strzyżowicach. Kolejne przedsięwzięcie to budowa mostu na drodze z Dąbia na Chrobakowe. Zakład Gospodarki Komunalnej zaczął też wymianę wodociągu przy ulicy Granicznej w Psarach i Strzyżowicach. Rozpoczęto również prace nad nowym Planem Zagospodarowania Przestrzennego Gminy, dzięki któremu uproszczone zostaną procedury inwestycji budowlanych gminy i osób prywatnych. Zakładany termin zakończenia prac to luty 2010.

Jakie wydarzenie w roku 2008 zrobiło na Panu największe wrażenie?

Na tym stanowisku każdy dzień dostarcza olbrzymiej porcji wrażeń. Niestety, nie zawsze miłych. Ale lepiej pamiętać dobre. W minionym roku mogliśmy u nas obserwować wiele przedsięwzięć, które dzięki pracy społecznej ich organizatorów nie tylko zakończyły się sukcesem, ale też przyczyniły do integracji społecznej. Nie sposób wymienić wszystkich, którzy poświęcili czas dla dobra mieszkańców gminy. Chciałbym jednak, aby te osoby wiedziały, że ich praca jest potrzebna i doceniana przez samorząd gminny.

Katalog prasy lokalnej

Głos Wojkowic

Jedną z pierwszych inicjatyw, jaką podjął Zarząd Miasta Wojkowice po nadaniu praw miejskich, była decyzja o wydaniu miesięcznika lokalnego „GŁOS WOJKOWIC”. Pierwszy numer ukazał się we wrześniu 1992 roku. Początkowo gazeta była płatna, czarno-biała i pojawiała się w nakładzie 1000 egzemplarzy, o objętości ośmiu stron w formacie A3. Stopniowo zwiększał się nakład oraz ilość stron. Aktualnie bezpłatna gazeta drukowana jest w połowie koloru, na papierze kredowym, w nakładzie 700 egzemplarzy i objętości 6 stron.

Kolejnymi redaktorami naczelnymi byli: Krzysztof Hetmańczyk, Krzysztof Gajdka, Agnieszka Mikoś, Tadeusz Wojtasik, a od 2004 roku Grażyna Truszkiewicz.



Wydawca: Gmina Wojkowice
Siedziba i adres redakcji: Urząd Miasta Wojkowice, ul. Jana III Sobieskiego 290a, 42-580 Wojkowice
Numer – ISSN 234-9977.

Ukazuje się od 1992 roku.

Redaktor Naczelny – Grażyna Truszkiewicz
Kontakt: Tel. 032-769-64-89, Fax 032-769-50-73,
e-mail: redakcja@wojkowice.pl

Obywatel to przyszłość!

Tekst i zdjęcia Magdalena Kłobusek, współpraca: Piotr Drygała

W 2007 roku podjęto wspólne działania Urzędu Miejskiego i organizacji pozarządowych w ramach partnerstwa „Wspólnie dla Miasta”. Dąbrowa Górnicza przez ten czas dała przykład, pokazując innym, że współpraca z trzecim sektorem (organizacjami pozarządowymi) jest niezbędna dla dobrego funkcjonowania gminy. – Dąbrowskiemu samorządowi bardzo zależy na nawiązaniu partnerskich relacji z trzecim sektorem. Aby nie być gołosłownym, powiem, że więk-

– tłumaczy Zbigniew Podraza, prezydent Dąbrowy Górniczej.

Wśród współpracujących z miastem organizacji w trakcie konferencji zaprezentowało się osiem. Każde wypełnia inną lukę w zabezpieczeniu potrzeb mieszkańców. Konferencja pokazała, że współpraca władz miasta oraz organizacji pozarządowych pozwala widzieć problemy kompleksowo. Wyzwania dla dąbrowskich organizacji to m.in. walka z nietolerancją w szkole, dbanie o politykę zrównoważonego rozwoju i prawa człowieka, walka o przyjazne środowisko, profilaktyka uzależnień i walka z wykluczeniem społecznym, to w końcu – budowanie społeczeństwa obywatelskiego.

Konferencja była przyczynkiem do dyskusji, podczas której zaproszeni goście – przedstawiciele zagłębiowskich organizacji – rozmawiali o aspektach społecznych i ekonomicznych, o problemach, przed którymi stoją organizacje i prognozach na przyszłość. Panel dyskusyjny zdominowała kwestia merkantylizacji trzeciego sektora. – Jestem zadowolony z pierwszego roku współpracy miasta z trzecim sektorem. Jedno tylko bym zmienił, brakuje mi zainteresowania ze strony mieszkańców, brakuje społeczeństwa obywatelskiego – mówił Zbigniew Podraza.

Czy postępująca merkantylizacja organizacji pozarządowych jest potrzebna? Co do tego nie miała wątpliwości Irena Fugalewicz – członkini zarządu Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Pozarządowych. – Trzeci sektor musi się ekonomizować. Nie możemy wciąż polegać na samorządzie. Ale rodzi też niebezpieczeństwa. Korporacje nie wspomo- gą bezintere-

sownie naszych działań, ale będą stosować autoreklame, bo dla nich liczy się efekt marketingowy. Czy jest więc alternatywa dla tego procesu? – Trzeci sektor powinni tworzyć obywatele i ich aktywność; ludzie, którzy chcą coś zrobić, niekoniecznie dzięki środkom od gminy czy sponsorów – co do tego zgodni byli wszyscy dyskutanci. Ważne jest integrowanie społeczności lokalnej. Kluczem do tego jest międzysektorowa współpraca.

Organizatorem festiwalu były Biuro Organizacji Pozarządowych i Dąbrowskie Forum Organizacji Pozarządowych.



sość zapisów strategii rozwoju miasta mówi, jak wiele wyzwań stojących przed Dąbrową mogą skutecznie realizować organizacje pozarządowe. Wiadomo, że rozmaitych zadań nie udźwigną samodzielnie, dlatego tak ważne jest ich partnerstwo z samorządem, instytucjami publicznymi czy przedsiębiorcami



Piotr Drygała, kierownik Biura Organizacji Pozarządowych Urzędu Miejskiego w Dąbrowie Górniczej

Współpracę z sektorem pozarządowym prowadzimy w ramach struktury Urzędu Miejskiego. Obecnie rozpoczynamy współpracę z inkubatorem trzeciego sektora w ramach projektu „18 w sieci” oraz punktem informacyjnym w ramach projektu – wsparcie ekonomii społecznej. Współpracę nawiązaliśmy, realizując w pierwszej połowie 2008 roku projekt „Upowszechnianie ekonomii społecznej w Polsce na podstawie PIE Equal” dotowany przez Fundację Fundusz Współpracy. Był to bardzo ważny projekt dla nowej komórki Urzędu Miejskiego. Jego realizacja wykazała, że pracownicy Biura potrafią zdobywać środki na wsparcie trzeciego sektora.

Celem Towarzystwa jest działalność na rzecz miasta i miejscowej społeczności.

W latach 1992–2008 Towarzystwo przygotowało pięć sesji naukowych. Opiekuje się także Szlakiem Kosynierów. Dotychczas zorganizowało siedem rajdów dla dzieci i młodzieży. Jest inicjatorem Regionalnego Przeglądu Zespołów Ludowych w Szczekocinach, wydaje foldery i książki dokumentujące świeżo poznane wydarzenia (odkryte m.in. dzięki badaniom Jacka Laberscheka z Krakowa). Staraniem członków towarzystwa odrestaurowano zapomniany grób artysty-malarza Jarosława Żochowskiego (1892–1949).

Szczekociny słyną z bitwy rozegranej 6 czerwca 1794 roku między wojskami Tadeusza Kościuszki a siłami prusko-rosyjskimi. Dla upamiętnienia tych wydarzeń wytyczono Szlak Kosynierów. Na jego trasę przyciągają turystów wiązki metalowych kos rozmieszczone na drogach wjazdowych do miasta. Inną atrakcją jest zespół pałacowo-parkowy, zbudowany przez Urszulę z Morsztynów Dembińską oraz jej męża Franciszka (właścicieli miasta i okolic). To właśnie im miasto zawdzięcza gruntowną przebudowę (w latach 80. XVIII w.) kościoła parafialnego p.w. św. Bartłomieja, który stanowi kolejne warte odwiedzenia miejsce w Szczekocinach. Wśród wielu historycznych miejsc i pamiątek przeszłości polecić trzeba pomnik T. Kościuszki na Rynku, barokową figurkę św. Floriana na placu T. Kościuszki ufundowaną przez wspomnianych Dembińskich, kopiec Grochowskiego (Kosynierów), jak również kościół p.w. św. Jana Chrzciciela w Przylęku Szlacheckim z II poł. XVIII w. oraz jednonawowy kościół p.w. św. Marii Magdaleny w Rokitnie. Warto odwiedzić także ponad 200-letni cmentarz przy ul. Krakowskiej z po-

Splyw kajakowy Pilicą



Zwizytą w Towarzystwie Kulturalnym im. T. Kościuszki w Szczekocinach

Jeszcze słychać łopot sukman i szczęk kos...



Kolejna grupa młodzieży przed wyruszeniem na rajd

mnikiem Powstańców Styczniowych oraz żołnierza napoleońskiego Antoniego Groblewskiego z 1860. Można też zobaczyć zachowany na skraju Rynku budynek synagogi ze śladami cmentarza żydowskiego; prócz tego w obojętnej – starym zajezdzie szlacheckim, dziś siedzibie władz miasta i gminy – duży obraz olejny przedstawiający panoramę bitwy kościuszkowskiej z 1794.

Niewątpliwie największą atrakcją turystyczną ostatnich lat stał się spływ kajakowy szlakiem wodnym Szczekocin-Przylęk, o dł. ok. 5 km, który (zgodnie z założeniami) w 2000 r. ma zostać przedłużony do blisko 80 km. Spływ organizuje miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna i trwa on 4 godz. Szczekociny słyną również z pięknych lasów z atrakcyjnymi ścieżkami leśnymi m.in. wytyczoną ścieżką edukacyjną. Coraz też częściej młodzi sportowcy, m.in. z klubów Zagłębia i Śląska odbywają zgrupowania w Szczekocinach, gdzie korzystają z dużej hali sportowej przy ul. Spacerowej, obok ścieżki edukacyjno-przyrodniczej „Gąszcz”. Słowem, dla każdego coś milego.

LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ 2009

BĘDZIN

Koncert NIGHT OF TERROR, Ośrodek Kultury w Będzinie, Małachowskiego 43, 20.02.2009, godz. 17⁰⁰.

Koncert zespołu THE ANALOGS, Ośrodek Kultury w Będzinie, Małachowskiego 43, 28.02.2009, godz. 18⁰⁰.

ANIOŁ XXI WIEKU, Ośrodek Kultury w Będzinie, Małachowskiego 43 – wystawa pokonkursowa czynna od poniedziałku do piątku w godz. 8⁰⁰–16⁰⁰ do końca lutego 2009.

BOBROWNIKI

Wystawa malarstwa Barbary Czuwaj-Grabowskiej, Galeria „Spichlerz” w zabytkowym Dworcu w Dobieszowicach (filia GOK), ul. Kościuszki 23, Dobieszowice 6–28 lutego.

DĄBROWA GÓRNICZA

Dyskusyjny Klub Książki, Biblioteka Główna ul. Kościuszki 25 od stycznia do grudnia 2009.

Komputer dla młodych duchem, Biblioteka Główna ul. Kościuszki 25.

POGOTOWIE DLA RODZICÓW, czyli co robić z dzieckiem, kiedy nie „działa” jak należy, Biblioteka Główna ul. Kościuszki 25, od stycznia do grudnia 2009, każdy pierwszy czwartek miesiąca godz. 17⁰⁰.

„AKADEMIA FILOZOFICZNA”, Biblioteka Główna ul. Kościuszki 25 od stycznia do czerwca 2009, każda pierwsza środa miesiąca godz. 17⁰⁰. Wstęp wolny.

Recital IRENY SANTOR – Powróćisz tu... Sala Teatralna Pałacu Kultury Zagłębia, 7 marca 2009, godz. 18⁰⁰, bilety: 65 zł, 55 zł, 45 zł.

Przyjazne Dusze, spektakl teatralny, Teatr Kwadrat, Pałac Kultury Zagłębia, 09.03.2009, godz. 19³⁰.

Some Girl(s), spektakl teatralny, TEATR WARSZAWA, Pałac Kultury Zagłębia, 21.03.2009, godz. 18⁰⁰.

V Festiwal Nauki, zajęcia odbywają się m.in. Urzędzie Miejskim w Dąbrowie Górniczej, Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej, chorzowskim ZOO oraz Śląskim Planetarium. 23–29 marca 2009.

VIII DĄBROWSKA ŚCIEMA KABARETOWA – ÓSMY PASAŻER NOSTROMO, Sala Teatralna Pałacu Kultury Zagłębia, 27.03.–29.03.2009, bilety: piątek 27.03. – 50 zł, 40 zł; sobota 28.03.–60 zł, 50 zł; niedziela 29.03.–60 zł, 50 zł.

„Noc z Andersenem”, Całonocna międzynarodowa impreza dla dzieci organizowana z

okazji Światowego Dnia Książki Dziecięcej oraz obchodów urodzin J. Ch. Andersena, Biblioteka Główna ul. Kościuszki 25.3.04., godz. 18⁰⁰.

II Półmaraton Dąbrowski, 5.04.2009.

Koncert Kasi Nosowskiej: N/O Nosowska & UniSexBlues Band, Pałac Kultury Zagłębia, 05.04.2009, godz. 18⁰⁰.

JAWORZNO

XXVII Dni Muzyki Jeunes Musicales, Miejskie Centrum Kultury i Sportu, 19–22 lutego 2009, 19 lutego – godz. 18⁰⁰ Koncert grupy eM Band, bilety 10 zł, 20 lutego – godz. 18⁰⁰ String Connection – Sala Teatralna, bilety 20 zł; 21 lutego – godz. 19⁰⁰ AVOCADO – Sala Teatralna, bilet 10 zł, 22 lutego godz. 18⁰⁰ „Muza Pomyślności, czyli piosenki Marka Gruchuty” – Hala MCKiS, bilet 20 zł, karnet 55 zł.

Deбата o szkolnictwie zawodowym, Miejskie Centrum Kultury i Sportu – Sala Teatralna. 26 lutego 2009.

Spektakl TGW – Ewa Sałuzanka, Miejskie Centrum Kultury i Sportu – Sala Teatralna, 20 marca 2009, godz. 18⁰⁰, bilety 10 zł.

„Sztuka kochania, czyli serdeczne porachunki” Olga Bończyk, Dariusz Kordek, Miejskie Centrum Kultury i Sportu – Sala Teatralna, 21 marca 2009, godz. 18⁰⁰, bilety 30 zł.

„Kolega Mela Gibsona” Teatr Korez, Miejskie Centrum Kultury i Sportu – Sala Teatralna, 22 marca 2009, godz. 18⁰⁰, bilety 25 zł.

PSARY

Biesiada z okazji Dnia Kobiet, GOK Gródków, 6 marca 2009.

Gminny konkurs recytatorski „Mały OKR 2009”, GOK Preczów, 13 marca.

Regionalny Obrzęd Topienia Marzanny – „Marzania Niedziela”, GOK Preczów 29 marca.

Warsztaty „Marzanna i Gaik”, warsztaty ozdób wielkanocnych, wystawa ozdób wielkanocnych połączona z kiermaszem, GOK Sarnów, marzec 2009.

VI Regionalny Konkurs Plastyczny na Tradycyjne Ozdoby Ludowe związane ze Świętami Wielkiej Nocy, GOK Gródków, kwiecień.

SOSNOWIEC

Spektakl teatralny pt. OMYŁKA (według W. Szekspira) w wykonaniu TEATRU UMOWNEGO. Miejski Klub im. Jana Kiepury, 16 lutego, godz. 18⁰⁰.

Prześlądz imprezy i wydarzeń PTTK, Miejski Klub im. Jana Kiepury, 20 lutego, godz. 17⁰⁰.

Recital wokalny Andrzeja Wiśniewskiego – tenor. Miejski Klub im. Jana Kiepury, 23 lutego, 18⁰⁰, Bilety; 10zł normalne, 8zł ulgowe.

Wystawa fotografii PATRYCJI PAWŁY-ZOWSKIEJ. Miejski Klub im. Jana Kiepury, 27 lutego, 17⁰⁰, Wstęp wolny

JEDNA ZIEMIA, JEDNO NIEBO – WYSTAWA, Biblioteka Główna MBP w Sosnowcu 2009.01.20–2009.02.28.

„Ogrody. Wystawa malarstwa Teresy Miszkin, Jacka Rykały, Tomasza Psuji, Bogdana Wojtasika, Jarosława Eysmonta” – ze zbiorów Zamku Książąt Pomorskich, Muzeum w Sosnowcu, marzec – kwiecień 2009.

MOTYW ANIOŁA W LITERATURZE I SZTUCE – WYSTAWA, Biblioteka Główna MBP w Sosnowcu 2009.03.10 – 2009.04.24

Warsztaty z cyklu: „Polskie Tradycje Świąteczne z uwzględnieniem tradycji regionu: Wielkanoc”, Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki, 16.03.–5.04.

Warsztaty „Współobecność sztuki filmowej i plastycznej w kierunkach awangardowych pierwszej połowy XX wieku – konfrontacje filmowo – plastyczne prezentujące największe dzieła w obrębie obydwu dziedzin sztuki.”, Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki, 16.03 – 20.03.2009.

DNI TEATRU, Sosnowieckie Centrum Sztuki – Zamek Sielecki, od 25.03 do 29.03.2009.

ZAWIERCIE

Rok obrzędowy w Zagłębiu Dąbrowskim – zwyczaje i tradycje rodzinne – V edycja konkursu literacko-plastyczno-etnograficznego. Współrealizacja z Muzeum Zagłębia, styczeń – kwiecień 2009.

Mała Akademia Jazzu, styczeń-grudzień 2009.

Koncerty kameralne „Recital Mistrzowski” w wykonaniu: Beaty Musialskiej – fortepian, Adama Musialskiego – skrzypce, Marcina Mogiły – fortepian, Olimpii Karbownik – sopran, Barbary Kucery – sopran, 22 lutego, godz. 17⁰⁰.

Konkurs fotograficzny i wystawa pokonkursowa „Kromolów w obiektywie”, luty – wrzesień.

Wystawa – Rotmistrz Pilecki – ochotnik do Auschwitz, 23 marca – 20 kwietnia.

„Wielka wojna na Jurze” – wieczór autorski z autorami książki, przewodnikami jurajskimi: Piotrem i Krzysztofem Orman, Pałacyk nad Wartą, marzec.

Oprac. Ewelina Kozak i Konrad Łoboda